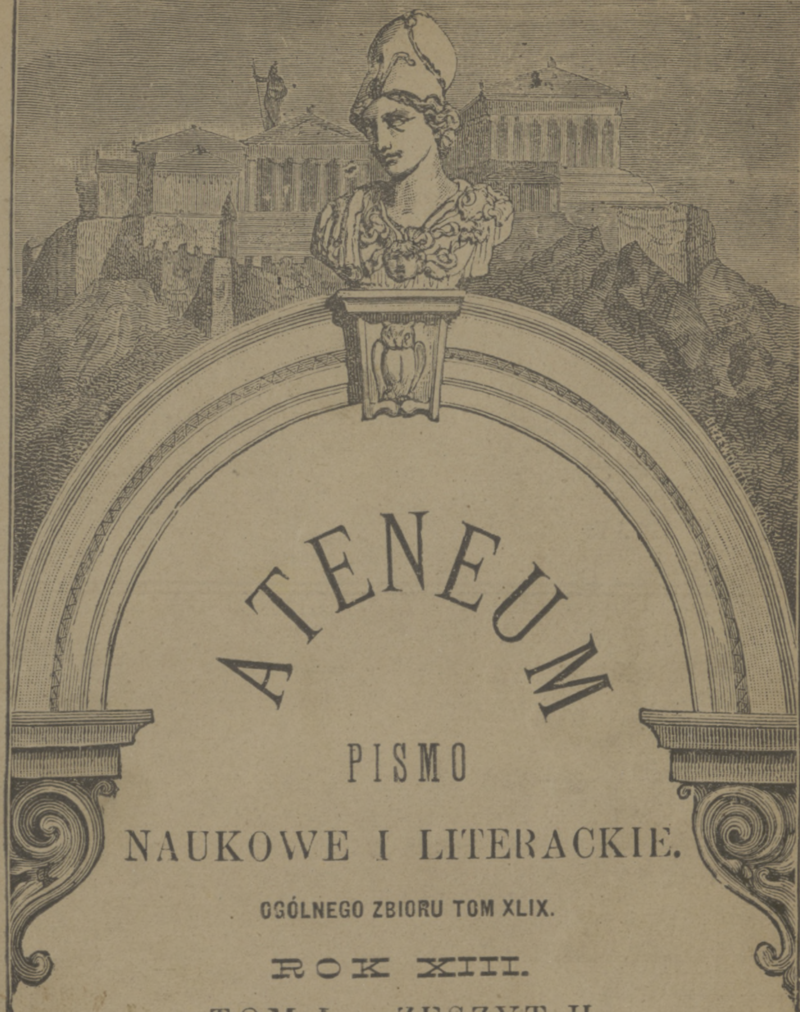


ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XLIX.

ROK XIII.

TOM I. — ZESZYT II.

Luty.

WARSZAWA.

Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1888.

I. HAZARD. Przez *K.* 193
II. O UCZENIU RZEMIOSŁ. Przez *Dr. Ludwika Natansona* 203
III. Z ZAWIĄZANEMI OCZYMA. Obraz z życia krainy podkarpackiej. Przez *Juliusza Turczyńskiego* 233
IV. POLITYCZNE I SPOŁECZNE OBYCZAJE XVIII W. W POLSCE I W ANGLII. Przez *K. Waliszewskiego* . . 266
V. KRÓLOWA. Dramat w pięciu aktach. Przez *Felicyana.* (Dalszy ciąg) . . . . , ... 277
VI. ZASIEDLENIE UKRAINY. Przez *Aleksandra Jabłonowskiego.* (Dokończenie) 308
VII. CZEM SIĘ KIERUJĄ PTAKI PRZELOTNE W CZASIE SWYCH WĘDRÓWEK? Przez *Michała Wierzbowskiego.* 320
VIII. Z LITERATURY ŚREDNIOWIECZNÉJ. Miracles de Nostre-dame par personages. Przez *Edwarda Porębowicza.* 326
IX. CZŁOWIEK Z EPOKI DYLUWIALNEJ NA MORAWII. Przez *J. H. Nowalskiego* 337
X. Z ZIEMI NADODRZAŃSKIÉJ. Przez *J.* 340
XI. ROZBIORY, SPRAWOZDANIA I WRAŻENIA LITERACKIE.
1. August Wrześniowski. Zasady zoologii. Z 499 rysunkami w tekscie i jedną tablicą chromolitografowaną. Warszawa, 1888. Ocenił *S. Grosglik.* 343
2. Adam Szymański. Szkice Tom I. Ocenił *P. R.* 348
Wrażenia literackie. 352
XII. KRONIKA MIESIĘCZNA p. *L. Straszewicza* i (—X—) 363
XIII. NEKROLOGIA 382

Druk ukończono 4 Lutego 1888 r.



HAZARD.

Wrodzoną i powszechną jest wśród ludzi chęć poznania tak dobréj jak i złéj przyszłości; ale kiedy jedni opierają to poznanie na rachunku prawdopodobieństwa i tylko wtenczas przystępują do czynu, gdy widzą liczne szanse powodzenia: drudzy, najliczniejsi powierzają swoję przyszłość losowi. Los, fortuna, przypadek, hazard, są-to bliźniaki tak do siebie podobne, że najbystrzejsze oko nie wykryje między nimi różnicy. Więc téż i my możemy podstawić jedno za drugie, a wnioski zawsze będą jednakowe.

Jeżeli chęć poznania własnéj przyszłości czy indywidualnéj, czy zbiorowéj jest tak powszechną; to oczywiście winna się przejawiać w najrozmaitsnych zdarzeniach życia, na każdym kroku. I tak jest w istocie: chory chce wiedziéć, czy zdrów będzie; ten, co zasiał, czy zbierze; ten, co gra, czy wygra; ten, co wojnę rozpoczyna, czy zostanie zwycięzcą i t. d. O ile to oczekiwanie, ta nadzieja oparte są na rachunku, nic im zarzucić nie można; powiadamy, że są rozsądne. Przeciwnie, gdy nadzieja opiera się na przypadku, na hazardzie, już oddawna matką głupich ją nazwano. A chociaż przypadek, los, hazard także ulegają pewnym prawidłom matematycznym; jednakże ci, co od przypadku i losu czekają ziszczenia swojéj nadziei, zwykle nie rachują, rachunek bowiem taki nigdy w ich głowach nie powstał, a gdyby powstał, gdyby go zastosowali do przedsiębranych czynności, jużby wyszli z pod oczarowania hazardu i na sto razy, w 99-ciu pewnieby się cofnęli od zamierzonego kroku.

Niepodobna tutaj rozważać wszelkich, możliwych czynności ludzkich, w których hazard decyduje: dość będzie jeżeli częstsze, ogólniejsze roztrząśniemy. Do takich ogólniejszych zaliczam gry,

loterye wszelkiéj nazwy i wojnę: rozważać je myślę nie ze strony technicznéj, lecz etycznéj i ekonomicznéj.

Uważmy najprzód, że wszelkie gry mogą być dwóch rodzajów: dla zabawy i dla zysku; pierwsze nazywamy towarzyskiemi, drugie hazardowemi. Przeciwko pierwszym nie mamy nic do nadmienienia. Jeżeli ludzie, zebrawszy się w towarzystwie, nie mogą się inaczéj zabawić; jeżeli nie mają sobie nic do powiedzenia ani o sprawach osobistych, ani o publicznych; jeżeli ich nie zajmuje ani literatura i sztuka, ani przemysł lub rzemiosło, handel lub rolnictwo: niech się bawią bilardem czy kartami, *dyrdymałką*, czy whistem. Na to niemasz żadnéj rady: ze spróchniałych mózgów nie wykrzeszesz zdrowéj myśli. Inaczéj ma się rzecz z grami hazardowemi. Ale tu zaraz z początku spotykamy trudność, mianowicie, co rozumiéć przez gry hazardowe. Jedyny mój mistrz, ten, który przez skromność autorską utaił swoje nazwisko, mianując się tylko „Starym Graczem,“ nie wdaje się w definicye gry hazardowéj, wylicza jedynie jako hazardowe gry następujące: kwindecz, wentuń *(vingt-et-un)*, halbik czyli *halbe zwelwe*, makao czyli maczek, faraon, stos, lancknecht v. dyabełek i lamorek, czyli *à la mort*. (Czytaj: Gry w karty dawniejsze i nowe. Ułożył Stary Gracz. Warszawa 1888).

Przewodnik mój w przedmowie do swojego dzieła potępia gry hazardowe; rozumié, iż są wynikiem brzydkiéj namiętności a nierzadko haniebnéj spekulacyi, że prowadzą do ruiny bliźniego a prawie zawsze kończą się własną, w przytułku lub na śmieciu. Co się tyczy gier towarzyskich, jest dla nich pobłażliwy, nazywa je *potrzebą*, niemal *koniecznością*, złem nieuniknioném. Z dalszych uwag autora zdawałoby się wynikać, że gry towarzyskie, dla zabawy, czyli tak zwane komercyjne „nie są oparte na ślepym hazardzie“, że zatém whist, bezig, wint, boston i t. p. mogą być tolerowane; a znów hazardowe, w których łatwe jest oszustwo, winny być tępione. Otóż, rozróżnienie takie nie zdaje mi się być zasadném: tak w jednych jak i w drugich cechą różniącą je nie jest hazard, lecz pieniądz, lub jego równoważnik, zysk w téj lub owéj postaci: gra nadwiślańskich piaskarzy w guziki i gra nadwiślańskich hrabiów w Monte Carlo na rulony złota i gra warszawskich obywateli na mizerne grosze lub półgroszki, to w gruncie ta sama gra w widokach zysku. Gdybym się mylił, daruje mi „Stary Gracz“, jako profanowi, ale dla mojego celu potrzeba jasnego określenia, co rozumiéć przez gry hazardowe, a co przez towarzyskie. Ponieważ towarzyskie uważam za wolne od widoków zysku i o tyle za dające się tolerować; zatém hazardowemi będę nazywał wszystkie te, w których zachodzi stawka pieniężna lub jéj równoważnik. Nie

chodzi tu o ilość stawki, a tém samém i wygranéj: dość, żeby w grze była rzecz mająca wartość; na orzechowe łupiny chyba ludzie nie grają. Nawet dla powierzchownego obserwatora widoczna jest różnica w intonacyi głosu, rysach twarzy graczów grających o pięć punktów za grosz, albo o pięć pacierzy. Cokolwiek-by obrońcy gry dla zysku choćby najmniejszego na jéj usprawiedliwienie powiedzićć mogli, nigdy to nie wytrzyma krytyki wobec zdrowéj moralności: nie ma argumentu, którymby ten zysk usprawiedliwić można.

Bądź-co-bądź, nie zamierzyłem pisać krytyki dzieła Starego Gracza, lecz chciałbym dotknąć punktu, którego on nie dotknął, mianowicie, jaki tytuł prawny ma wygrywający do przywłaszczenia sobie wygranéj sumy, mniejsza o to, większéj czy mniejszéj. Leży w tém strona etyczna całéj sprawy.

Gra dla zysku w kości, czy w karty, w cetno i licho, czy w bilard—jest niezmiernie stara. Czy się poczęła z rodem ludzkim na ziemi, trudno z pewnością orzec; ale to pewna, że ją znali i Grecy i Rzymianie, jak to widać z praw zakazujących gier hazardowych. O starych Germanach pisze Tacyt w tłómaczeniu Naruszewicza: „Grając w kości, po trzeźwu nawet, tak są, rzecz dziwna, w zysku lub stracie zapamiętali, że przegrawszy wszystko, stawią nakoniec na los szczęścia ostateczny, ciała i wolność własną. Zwyciężony oddaje się samochcąc w niewolę; a lubo młodszy i duższy, dopuszcza siebie wiązać i zaprzedawać...“ Panowie wygranych, zaraz ich obcym przedają, wstydząc się sami nikczemnego zwycięztwa“ (XXIV). O przegrywanych majątkach, a nawet żonach (jeżeli prawda) dotychczas jeszcze słychać—oczywiście nie u nas.

Gdyby grę dla zysku, hazardową, można było wytępić prawnym zakazem, satyrą, komedyą, morałem, jużby oddawna znikła zpośród ludzi; tymczasem istnieje ona dotychczas i póty istnićć będzie, póki się nie podniesie poziom moralności publicznéj. Przykłady jéj skutków są zastraszające — ale nie dla graczów. Oto jeden z wielu, a ten najświeższy. Pisma nasze powtórzyły za obcemi o Monte-Carlo co następuje: Wielka radość panuje między akcyonaryuszami banku ruletowego. Dywidenda bowiem za sezon ostatni przewyższyła wszystkie dochody lat ubiegłych. Prawda, że i ofiary banku były w tym roku liczniejsze: odebrało sobie życie 76 osób. Aby zaś nikt się nie zrażał widokiem pogrzebów, zarządzono teraz prowadzenie zwłok na cmentarz zaułkami, przez most Santa-Devota, tak, że kondukt mija Monaco i Condamins.

Ale po co mamy szukać cudzych bogów. Oto „Stary Gracz“ opowiada, że u nas gra w karty upowszechniła się w XVI w., przedtém bowiem grywano w kości! Konstytucya z 1593 r. pisze: Koste-

rów nigdzie żaden urząd cierpiéć nie ma, ale takowych każdego stanu, po upomnieniu pierwszém i wtórém, a za trzeciém rózgami bijąc, wygnać precz z miast. Prawo pozostało prawem, a szulerstwo wzrastało swoją drogą coraz groźniéj. Grano już szalenie za Sasów, ale szczególniéj za Poniatowskiego. Adam Poniński, marszałek pierwszego sejmu rozbiorowego; Gurowski, marszałek koronny; książe biskup Massalski byli zapamiętałymi graczami. Kamerdyner Ponińskiego zostawił synom piękne dobra na Wołyniu, nabyte za dukaty (po 2 od gościa) zebrane przy dostojnym panu podskarbim. Wnukowie tego kamerdynera cisną się już do arystokracyi, jak „Stary Gracz“ zapewnia. Grano nie gorzéj na początku bieżącego wieku, grają aż do naszych czasów.

Patrz łaskawy czytelniku, oto czteréj stróże wynoszą stołek przede drzwi na ulicę, siadają na kamieniach i grają póki ich policyant nie spędzi do polewania ulicy; *dyski* lokatorów idą na stawkę. Jesteś w towarzystwie, proszą cię do gry — nie umiész, dziwią się i patrzą jak na człowieka z epoki mamutowéj. Pojechałeś na wieś, na wakacye, na święta; zjechało się kilku szlachciców i ksiądz proboszcz. Jest preferans dla zabicia troski i odemszczenia Bismarckowi za podniesione cło od naszego zboża. Wstąpiłeś w przejeździe do cukierni małego miasteczka: oto gromadka piszczyków tłucze bile po rozklekotanym bilardzie. Można się założyć, że w naszych zebraniach towarzyskich w 90 razach na sto bez gry się nie obejdzie, a zawsze nie na orzechy, ani na pacierze. A cóż dopiéro powiedziéć o dużém mieście, jak Warszawa? Tu już nietylko na towarzyskich zebraniach, ale po cukierniach i rozmaitych norach, na poddaszach zgrywają się całe setki młokosów i niemłokłosów. Szuka matka czy ojciec syna; wskazano im ulicę i dom, gdzie synalek trwoni ich pracę: idą, szukają, wszelki ślad zatarty. Na poddasze prowadzi drabina, którą odstawiono, okna zasłonięto, drzwi zaryglowano, przyszli obywatele, ozdoby ojczyzny, do koszuli rozebrani, pracują. Szukaj wiatru po świecie.

Czy ci wszycy. począwszy od stróżów a skończywszy na porządnych szlachcicach, grają dla rozrywki? Nie trzeba znać ludzi, żeby w tém widziéć tylko zabawę: tam chodzi o zysk; towarzyszą mu nadzieja i obawa, dwa potężne wzruszenia—i oto tajemnica zagadki niezrozumiałéj dla obojętnego widza, jak niezrozumiałą jest dla trzeźwego przyjemność pijaka.

Jaki mają prawny tytul do przywłaszczenia sobie wygranéj? Własność nabywa się prawnie: przez zajęcie rzeczy nie należącéj do nikogo *res nullius*, — przez pracę, darowiznę, spadek, kupno i sprzedaż. O wygranéj nic nie słychać. Ale przecież wygrywający

nie są złodziejami! Uchowaj Boże, oni tylko dla wygranéj nie mają żadnego tytułu prawnego i opinia zysk ten *toleruje* i w tém jedyny ich tytuł. Gdy się opinia lepiéj oświeci—zapewne na zysk z hazardu będzie patrzyła jako na zysk nieprawy, a wtedy i gry hazardowe znikną bez zakazu. Wszyscy w braku środka na wykorzenienie złego, apelujemy do przyszłéj, lepszéj i moralniejszéj opinii. Tymczasem opinia ta niezmiernie wolno się doskonali. „Gdyby rozum, powiada Jan Śniadecki, był zawsze skuteczném lekarstwem na namiętność i głupstwa ludzkie, znalazłby w nauce rachunku losów, najmocniéjszą broń na poskromnienie pasyi prawdziwie szalonéj do gier losowych czyli azardowych, prowadzących do zguby zniszczenia, zepsucia obyczajów i do tysiącznych nieszczęść zrujnowanych domów i familii“ (O rachunku losów). Pomimo, że te słowa były wyrzeczone lat temu kilkadziesiąt, opinia publiczna tak mało naprzód postąpiła, że zysk z hazardu i dzisiaj jeszcze nie dręczy sumienia graczów. Wobec takiego stanu rzeczy byłoby może pożądaném zawiązywanie towarzystw przeciw grom połączonym z zyskiem, tak jak są towarzystwa antypojedynkowe i antypijackie.

Drugą ogólniejszą formą hazardu są rozmaitego rodzaju loterye. Gra w loteryą, niezmiernie u nas szczególniéj w Warszawie rozpowszechniona, jest wynikiem téj saméj pobudki, co i gra w karty, mianowicie, chęci znacznego zysku bez pracy, za opłatą małéj stawki. Urok, jaki ma dla człowieka nadzieja wygranéj, ufność do tak zwanego szczęścia czyli hazardu, popychają uboższe przedewszystkiém klasy ludności do gry loteryjnéj. Ludność ta nie ma wyobrażenia o rachunku prawdopodobieństwa, ażeby mogła ocenić szanse wygranéj lub przegranéj; owczym pędem leci do kantorów po bilety loteryjne—a gdy nadejdzie pora ciągnienia i kantory wystawią listy wygranych, tłumy publiczności oblegają sklepy szukając swoich numerów. Ciągnienie staje się ważnym *ewenementem* dnia dla mieszkańców Warszawy. Reporterzy *Kuryera* pędzą w zawody do kolektorów, chcąc uprzedzić jeden drugiego w ogłoszeniu czytelnikom radosnéj nowiny, gdzie padła najwyższa wygrana. Nigdy politycy Saskiego i Krasińskiego ogrodów nie czytali z taką gorączką telegramów z pola bitew, z jaką conajmniéj ćwierć warszawiaków czytała biuletyny o ostatnich znaczniejszych wygranych w Warszawie.

Gdy się biedakom tłómaczy, o ile nadzieja wygranéj na loteryi jest słaba—jedni nie rozumieją, drudzy powiadają, że nie należy przed szczęściem drzwi zamykać. Alboż to mała roskosz przez miesiąc łudzić się we dnie i w nocy złotemi snami poprawienia swojéj

doli? A jeżeli fortuna chybi na ten miesiąc, może się zmiłuje na drugi: więc w pomoc fortunie wzywa się Boga przez posty, modlitwy i czarodziejskie zaklęcia (1). Zawiedzione nadzieje wygranéj nic nie pomagają; znaliśmy wytrwałych, którzy grali całe życie, wygrywając co najwięcéj, i to nie zawsze, stawkę.

Zresztą, nie chcę dłużéj mówić o rzeczy tak powszechnie znanéj, tyle razy i tak wymownie potępianéj, a pomimo tego trwającéj w całéj sile dotychczas; chodziło mi jedynie o zastanowienie uwagi czytelnika, jaki to wielki procent naszéj ludności zarówno przez karty jak i przez loteryą rujnuje siebie i innych, jakie moralne i materyalne straty ponosi ztąd ogół i jakimi jesteśmy barbarzyńcami. Przypominać o tém godzi się nawet wtenczas, gdy nie ma nadziei uleczenia natychmiast zarazy.

Nie mając nadziei wykorzenienia złego morałem, którego zapewne żaden z graczów czytać nie będzie; pozwolę sobie, gwoli swadzie literackiéj, przytoczyć krótkie zdania teoretyków skarbowości o grze loteryjnéj. Fr. hr. Skarbek pisał przed 60 laty; „Jeżeli robotnik mniéj zważa na to, co zasady uczciwości i obowiązki względem bliźnich nakazują, jeżeli łatwo ulega ponętom do złego, loterya zaprowadzi go stopniowo na bezdroża występku i przywiedzie go ostatecznie do téj kary, jaka winowajców czeka. W pierwszym razie powiększa loterya wydatki szpitalne, a w drugim koszta policyjne, sądowe i utrzymania więzień. Gdyby można było porównać z sobą zyski loteryjne z wydatkami, do których powód dają, przekonanoby się zapewne, iż nie masz podatku kosztowniejszego dla skarbu i szkodliwszego pod względem zepsucia moralnego i zubożenia ludzi“ (Dykcyon. ekon. polit.).

Cytowany wyżéj Śniadecki, jakkolwiek nie finansista, mówiąc o użyciu rachunku losów w loteryi, tak o niéj dojmująco się wyraża: „Chciwość jest namiętnością szkodliwą prowadzącą do licznych występków i zbrodni; nie godzi się téj namiętności karmić i drażnić troskliwemu o dobre obyczaje rządowi; nie godzi się wybierać podatku od grzechu, do którego sam rząd prowadzi i pobudza; nie godzi się wyłudzać zarobku i funduszu oszczędności od ubogiéj i najliczniejszéj klasy mieszkańców, sprowadzając ją z drogi pracy i przemysłu na drogę losu i niepewności. Nadto, cały zysk rządu z loteryi jest niesprawiedliwością i oszukaniem; bo wygrana nie jest proporcyonalna niebezpieczeństwom straty, jak się z rachunku po-

(1) Zauważono we Włoszech, że w dniu ciągnienia loteryi zmniejsza się w niektórych miastach spożycie chleba—robotnicy poszczą na intencyą wygranéj (P. Leroy-Beaulieu, Traité de la science des finances T. II. 1883).

kazuje. Rząd nie narażając się na żadne niebezpieczeństwo, przywłaszcza sobie znaczną część losu grających. W loteryi angielskiéj chciano lud ubogi od loteryi odsunąć przez wysoką cenę biletów, gdzie jeden kosztuje 10 funt. sterl. Ale że minister wszystkie bilety sprzedaje bankierom za sumę ryczałtową; pod ich opieką chciwość znalazła sposób dzielenia jednego biletu na 4 aż do szesnastu części, przez co wciągniono lud ubogi w tę grę, na któréj rząd zarabia corocznie 344,790 funt. sterl.; jestto nagroda wybierana za zepsucie i oszukanie ludu.“ (O rachunku losów).

Austryacki skarboznawca, Lorenz Stein, nie przewidując czasu, w którymby gry mogły w społeczeństwie zniknąć i lękając się, żeby po przymusowym zakazie nie weszły między ludzi drogą niedozwoloną; zastrzega dla loteryi tytuł rządowego regale. Że jednak dochód ciągniony z tego źródła (tj. z loteryi) nie może być skarbowi zalecany, na to wszyscy się zgadzają (*Lehrb. d. Finanzwissenschaft.* II, 345. wyd. z 1885).

Dosadniéj o loteryi wyraża się profesor królewiecki, K. Umpfenbach: „Przywiléj państwa na wyłączne zawiadywanie grą hazardową i wyzyskiwanie zgubnych namiętności swoich poddanych, może wprawdzie skarbowi znacznego wpływu dostarczyć, trzeba jednak to źródło dochodu uważać za haniebne i niegodne państwa. Rozmaite formy gier hazardowych (jak ruleta, faraon, loterya klasyczna i liczbowa) są pod względem moralnym i ekonomicznym tak szkodliwe, że tylko z pomocą najniesłychańszych sofizmatów, o szkodliwości ich wątpićby można. Złudna, fantastyczna wiara, do jakiéj każdy już i tak jest zanadto skłonny, że właśnie szczęście specyalnie na niego czeka, sprawia, że rak ten coraz bardziéj toczy dorobek ludzki i paraliżuje zmysł do uczciwéj pracy. Niespokojna żądza szybkiego i łatwego zbogacenia się nietylko ciągle bywa podsycaną przez owe gry hazardowe, lecz nadto jest drażnioną i potęgowaną“ (*Lehrb. d. Finanzwissenschaft,* 392—wyd. z 1887).

Wiadomo, że najgruntowniejsze argumenta i bolesne doświadczenie rzadko którego z szulerów poprawiły: bankrut i gracz odzienie z siebie sprzeda, a bilet na loteryą wykupi i będzie się odegrywał póty, póki nie wygra przytułku w szpitalu lub hańby w więzieniu.

Jest jeszcze jedna forma loteryi, tak zwane pożyczki premiowe, zaciągane przez rządy w kłopotach finansowych. O pożyczkach takich i o wygrywanych losach teoretycy finansowi mniéj potępiająco mówią, niż o zwyczajnych loteryach. Tu nabywca papieru, nie traci przynajmniéj stawki, w potrzebie może go sprzedać, otrzymu-

je pewien procent, słowem ma jakiś równoważnik za wyłożony kapitał. To przecież mamy za pewne, że gdyby do takiéj pożyczki nie była przywiązana nadzieja wysokiéj wygranéj, mało kto skusiłby się na nią — że więc do wielu form hazardu przybyła w nowszych czasach jeszcze jedna. Obrońcy pożyczek premiowych widzą w nich nawet pobudkę do oszczędności i dziś, gdy nabycie kawałka ziemi staje się coraz trudniejsze dla ubogiego, premiówka może mu go poniekąd zastąpić. Korzystne i ujemne strony podobnych operacyi finansowych rozważają teoretycy i praktycy skarbowości; my wspominamy o nich o tyle, o ile się przyczyniają do podsycania gry hazardowéj i żądzy zysku bez pracy. Możnaby tu przypomniéć wszystkim graczom słowa Franklina wyrzeczone do robotników: „Ktokolwiekby wam mówił, że do bogactwa można przyjść inną drogą niż przez pracę i oszczędność, podaje wam truciznę.“

Najwyższą i razem najniebezpieczniejszą formą hazardu jest wojna. Kiedy bowiem przez grę w karty, loteryą, ubożą się i demoralizują jednostki lub pewne warstwy ludności; przez wojnę może zginąć cały naród. Tam stawka wynosi pewną, w stosunku do całego bogactwa kraju, niewielką cząstkę; tutaj wszystko chłonie przegrana. Ale jest-że wojna hazardem i jakie jéj podobieństwo z grami hazardowemi?

Wojna, pomimo wszelkich wyrachowań, pomimo znajomości sił strony przeciwnéj, jest hazardem. Nigdy bowiem najzdolniejszy strategik nie zdoła przewidziéć tego, co właśnie stanowi hazard. Nie przewidzi ciężkiéj zimy, odwilży i roztopów, ulewnych deszczów i burz, chorób zaraźliwych i kombinacyi politycznych, jakie w razie powodzenia, obmyślą zazdrośni sąsiedzi. Rozumieli to i starożytni mówiąc, że rezultat wojny zawsze jest wątpliwy — *eventus belli dubius.*

Podobieństwo wojny do gier hazardowych leży w następujących okolicznościach: Motywem, jedyną (prawie) pobudką do wojny, jak i do gry, jest zysk — wyrażamy to pospolicie maksymą, że wojny prowadzą sie o interesa, nie o idee. Może ten zysk nazywać się stadem baranów, jak bywa między hordami, albo może nosić tytuł wolnéj granicy dla handlu, albo mogą stanowić go miliardy kontrybucyi i parę prowincyi — zawsze to zysk. A ileż to potém awansów i posad zyskownych w zdobytym kraju! Jakże tu nie szczuć międzynarodowych namiętności?

Daléj, jest stawka i to gruba, miliony w ludziach i miliony w broni, twierdzach i zapasach — jest obawa i nadzieja, tak samo jak przy zielonym stoliku; słowem, jest hazard, który taki urok wy-

wiera na imaginacyą graczów i widzów. Wprawdzie namiętności w wojnie huczą potężniéj, niż przy dyabełku; ale są to te same namiętności, chciwość cudzego i strach o własną skórę. Wojna może być odporną i wtedy nazywamy ją sprawiedliwą, konieczną dla zachowania własnego bytu; może być zaczepną i taką najczęściéj bywa, co wcale nie przeszkadza prawnikom koronnym wynaleźć dla niéj tytułu konieczności: ale te względy etyczne wcale jéj nie odejmują cechy hazardu.

Tak więc stary, niewygładzony instynkt do grabieży, odzywający się echem u praszczurów, ten sam, jaki rzucał hordy przeciw hordom, odzywa się do dziśdnia w cywilizowanych narodach. Dlatego słusznie poniekąd mówią, że końca wojen na świecie nawet przewidziéć niepodobna. Témbardziéj, że nie brak im obrońców nie tylko wśród dziennikarzy, nie ryzykujących nic, oprócz atramentu, ale i w sferze teoretyków-ekonomistów, prawników i filozofów.

Zostawmy wszakże w spokoju teoretyków, a posłuchajmy wielkich przemysłowców, jak oni bronią wojny.

Kto ma uszy ku słuchaniu, mógł się nasłuchać obecnie stękania na wszystkie tony, dochodzącego nietylko z ust sklepikarzy, lecz i poważnych naczelników firm rozmaitych, że czasy są złe, okrutne, że tylko wojna mogłaby przynieść ulgę. Dziwne zaiste lekarstwo — a przecież nie bez pozorów uzdrawiających. Te jęki całego świata handlującego i produkującego spotykają echo w argumentacyi, która mniéj więcéj tak rozumuje:

Wojny, klęski wynikające ze wstrząśnień przyrody, czyli tak zwane elementarne i cła ochronne, mają to za sobą, że ożywiają produkcyą i dostarczają pracy rękom próżnującym. Zniszczone przez wojnę dobra materyalne muszą być nanowo wytworzone; ołowiana atmosfera, tamująca oddech, oczyszcza się niby po burzy, zakwita nowe życie. Niech żyje zatém wojna! Przez nią kształcą się cnoty męskie, hartują charaktery, ludzkość o krok naprzód się posuwa.

Co zdanie, to sofizmat. Zniszczone dobra materyalne trzeba na nowo wytwarzać; potrzebne do tego siły mogłyby być użyte do produkcyi nowych dóbr, któreby stanowiły wraz z dawnemi większą sumę, a tém samém byłyby dostępniejsze dla większéj liczby ludzi. Próżnujące ręce wprawdzie znajdują po wojnie chwilowe zatrudnienie, ale tylko póty, póki wyłom sprawiony przez wojnę, nie zostanie zapełniony. Burze oczyszczają atmosferę, ale wojny ani nędzy ludzkiéj nie zmniejszają, zużywając nieprodukcyjnie istniejące już dobra, ani cnót prawdziwie ludzkich nie rozwijają. Religia ma słuszność, prosząc Boga o odwrócenie moru, głodu

i wojny; wojna cofa ludzi do stanu pierwotnego, w którym kły i pazury decydowały o losie jednostek. Jeżeli się ludzie doskonalą, to tylko w pracowitym pokoju.

Dowodzić rzeczy jasnéj jak słońce — jest to samo, co nosić wodę do studni. Interes, zysk, tych, czy innych warstw społecznych zawsze znajdzie argumenta na obronę wojny.

Zabawiliśmy czytelnika, może dłużéj, niż należało; ale chodziło nam o zwrócenie uwagi, jak wielu czcicieli ma wszędzie, a u nas szczególniéj bożek hazard. Tysiące ludzi zamiast w uczciwéj pracy, szuka poprawy swojéj doli w kartach, loteryi, w tém specyalnie naszém: jakoś to będzie.

K.





O UCZENIU RZEMIOSŁ.

Wyrabianie przedmiotów służących do zaspokojenia potrzeb ludzkich, lub do udogodnienia i ułatwienia pracy, jako objaw przemyślności rozumu ludzkiego, napotyka się w najdawniejszych podaniach historyi. Jako dowody téj przemyślności służą znajdywane w jaskiniach i na innych miejscach pobytu pierwotnych ludzi, narzędzia z krzemienia, kamienia, gliny i kości, służące do walki lub obrony, do przygotowywania jadła, przechowywania napojów, przyrządzenia odzieży, grzebania zwłok, a nawet do ozdoby: siekierki, noże, strzały, młoty, żarna, iglice, obrączki itp.

Naturalném następstwem zajmowania się wyrobem danych przedmiotów, jest wprawa w zażywaniu materyału i narzędzi, obmyślanie środków pomocniczych dla ułatwienia pracy i stopniowe a ciągłe wydoskonalanie wyrobu. Pierwotne a stałe ślady postępu w wyrabianiu najprostszych przedmiotów, wyraźnie występują w powyżéj wzmiankowanych zabytkach sztuki przedhistorycznéj.

Nabyta wprawa, wynalezienie odpowiedniego materyału, obmyślenie lub odkrycie jakiego rękoczynu, lub pomocniczego narzędzia, same przez się wpływały już na wyłączne zajmowanie się niektórych osób pewnemi robotami specyalnemi, w których téż indywidua biegłością nad innemi spółpracownikami wyższość a zatém i korzyść przedstawiały.

Tym sposobem powstawali rzemieślnicy.

Nabyta biegłość a obok tego wrodzone uzdolnienia, skłonności, stopień siły fizycznéj itp. wywoływały rozmaitość zajęć, a zatém i podział pracy w społeczeństwie. Gdy jedne indywidua zajmowały się robotą, inne poszukiwaniem lub przygotowywaniem pożywienia, (polowanie, rolnictwo), inne znowu zdobyczą lub obroną (rycerstwo). W dalszym dopiero ciągu uobyczajenia występuje nowa klasa za-

jęć, uszlachetniających istotę ludzką: sztuka i nauka; a jeszcze późniéj klasa osób pośredniczących pomiędzy wytwórcami a potrzebującymi wyrobu: kupcy.

Nie tu jest miejsce wykazywać, jak wpływy powyższe działały na rozwój historyczny społeczeństw, jak w następstwie podziału pracy wytworzyły się u ludów kasty i klasy, które z początku istniały obok siebie a stopniowo układały się jedne nad drugiemi, jak klasy wojujące powoli zawładnęły klasami pracującemi, a mając broń i siłę, zagarnęły ziemię na własność oraz wpływ w rządzie, wyrobiły sobie przywileje, a z rzemieślników porobiły niewolników, albo niewolników kształciły na rzemieślników. Dosyć wskazać, że taki stosunek prawie u wszystkich ludów poniżył pracę rzemiosłową.

Samą więc siłą stosunków rzemieślnicy utworzyli korporacye, mające na celu dogodności osób zajmujących się jednego rodzaju wyrobami. Dla wzajemnéj między różnemi rzemiosłami pomocy, dla ułatwienia zbytu jako téż skuteczniejszéj ochrony swych pracowni i nabytego mienia skupiali się w miastach, gdzie również pomieszczali się pośrednicy zbytu, kupcy. Tym sposobem wytworzyła się z rzemieślników i kupców klasa mieszczan, obywateli miejskich.

W średnich wiekach korporacye miejskie (gildy) toczą groźne boje ze stanem rycerskim a nawet z panującymi i wywalczają sobie przywileje, a w razie przegranéj przygniatane bywają ciężkiemi kontrybucyami, podatkami i powinnościami; albo téż otrzymują jedno i drugie zarazem.

Jedną z najpospolitszych form takiego przywileju było zyskanie monopolu, wyłącznego prawa wyrobu danych przedmiotów, zakaz wyrabiania ich przez osoby do korporacyi nie należące lub zakaz wprowadzania i sprzedawania takichże przedmiotów w inném mieście lub za granicą wyrobionych.

Zajmujący się jednego rodzaju wyrobem rzemieślnicy dla obrony swoich interesów wiązali się w cechy (*maitrises*, *jurandes*, we Francyi, *Zünfte* w Niemczech), ustanawiali surowe reguły hierarchii rzemieślniczéj, przepisy dla podwładnéj czeladzi, wytworzyli pewne zwyczaje i obyczaje, które tradycyą przechodziły z pokolenia na pokolenie.

Ponieważ w takich korporacyach pierwsze słowo mieli najstarsi i najzamożniejsi, a zatém majstrowie, wynikło ztąd naturalnie uprzywilejowanie ich stanowiska w cechu a upośledzenie i zależność czeladzi i uczniów.

Im trudniejsze było osiągnięcie stanowiska majstra, im cięższą rzeba było przejść kolej, zanim uczeń i czeladnik zdołali dojść do

celu swych zabiegów, tém bardziéj tenże czeladnik, zostawszy majstrem, starał się osiągnięte stanowisko wyzyskać.

Przy pracy mechanicznéj, od wieku dziecęcego poczynającéj się, nieustannie przez lata młodzieńcze, pośród ciężkich warunków, znoszonéj bez żadnego naukowego lub obyczajowego wykształcenia, do nabycia którego brakło i czasu i sposobności, w klasie poniżonéj i wzgardzonéj w społeczeństwie, wśród praktyk, tradycyą uświęconych a uderzających skażeniem obyczajów, grubiaństwem i rozpustą, połączonych dziwną sprzecznością nieraz z nastrojem religijnym lub wyłącznie wyznaniowym, wyrabiała się ta klasa mieszczan obywateli.

Jakkolwiek cechy dawały niekiedy dowody heroizmu i poświęcenia, jakkolwiek w ustawach cechowych zapisaną była opieka nad czeladzią i uczniami, to jednak stałą niemal regułą tych urządzeń były ciasne pojęcia, samolubna wyłączność, tradycyjny konserwatyzm rutyny, sprzeciwianie się wszelkim ulepszeniom i postępowi. Tyrania starszych, ścieśnienia w pracy, przemyśle i handlu, zastój w wydoskonalaniu wyrobu uczyniły instytucye te nienawistnemi w oczach ludności.

To téż przewrót społeczny, wywołany w końcu zeszłego wieku rewolucyą francuską, zburzył te instytucye we Francyi raz na zawsze, a na miejsce ich wystąpiła swoboda pracy.

Obrońcy urządzeń cechowych przepowiadali upadek rzemiosł, zniżenie wartości i dokładności wyrobów, zubożenie ludności rzemieślniczéj. Przepowiednie owe nie ziściły się: wyroby swobodnéj pracy i spółubiegania się nieścieśnionego przerosły rutyniczne produkcye krajów, rządzonych ustawami cechowemi. Jednocześnie podniósł się znakomicie dobrobyt klas pracujących.

Z innéj strony spadł na korporacye rzemieślnicze cios niemniéj dotkliwy, który ostatecznie zachwiał ich podstawy.

Postępy nauk przyrodniczych i ścisłych, a szczególniéj mechaniki i chemii, doprowadziły do odkryć i wynalazków, które pracę mechaniczną człowieka zastąpiły pracą maszyny. Zastosowanie pary, wynalezienie dowcipnych przyrządów, wytwarzających pewne przedmioty prędzéj, łatwiéj i taniéj aniżeli rzemieślnik, uniemożliwiły jego spółubieganie się w wyrobach i zniosły znaczną liczbę rękodzieł, lub ograniczyły pracę rzemieślniczą w wysokim stopniu.

Na miejscu rzemiosł i rękodzieł wytworzył się przemysł, na miejsce pracowni (warsztatu) stanęła fabryka, miejsce rzemieślnika zajął robotnik.

Przemysł fabryczny rozwija się potężnie. Rozległością mechanicznych urządzeń, maszynowéj siły, organizacyą i podziałem pracy,

dokładnością i taniością, a zarazem nieznanym przed tém ogromem produkcyi, usuwa rzemiosła domowe lub zacieśnia zakres ich zajęcia. Niektóre rzemiosła znikły zupełnie: szpilkarze, gwoździarze, nożownicy, tkacze, sukiennicy, a ich miejsce zastępują robotnicy. Innych rzemiosł warunki zmieniły się rdzennie. Fabryka dostarcza im w części lub w całości gotowe wyroby, a rzemieślnikowi pozostaje tylko ich złożenie, zestawienie lub przystosowanie, jako to: kowalom, zegarmistrzom, puszkarzom, ślusarzom i t. p. W innych rzemiosłach bierze na siebie znaczną część roboty maszyna, wykonywa ją nierównie lepiéj, prędzéj i taniéj, a tym sposobem zmienia warunki i naturę rzemiosła, np. maszyna do szycia dla szewców, krawców, rymarzy i t. p. Ztąd i uzdolnienie i praktyka rzemieślnika musiały zmienić kierunek i zastosowanie. Nieustanne wynalazki i ulepszenia codzień niemal wstrząsają rutyną rzemieślników i wyrywają ich z pod urządzeń cechowych.

Zmiany stosunków politycznych i społecznych, dokonane w ciągu bieżącego stulecia w największéj części krajów ucywilizowanych, również silnie wpłynęły na stosunki rzemieślników. Zniesienie przywilejów, równouprawnienie stanów i wyznań, autonomia zarządów miast, zmiana i swoboda stosunków handlowych, niezmierne ułatwienie komunikacyi i przewozu, nowe urządzenia humanitarne i ekonomiczne, powołały mieszczan do nieznanéj im przedtém roli, wytworzyły niebywałą przedtém konkurencyą i zmusiły do przejścia na inne drogi kształcenia się.

Jeżeli z jednéj strony klasy rzemieślnicze straciły na przywilejach cechowych, na wyłączności prawa wyrobu, na możności wyzyskiwania pracy czeladnika i uczniów, z drugiéj zyskały na podniesieniu godności osobistéj, na zrównaniu stanów, na powołaniu do życia obywatelskiego.

Podniósłszy się z dawnego upośledzenia i wchodząc w stosunki i bliższe zetknięcie z warstwami ludności, posiadającéj wyższe wykształcenie, poczuli rzemieślnicy potrzebę nauki i uobyczajenia, których niedostatek, wobec podniesienia godności każdéj uczciwéj pracy, utrzymywał ich jedynie jeszcze na niższym szczeblu stanowiska społecznego.

Z innéj strony rządy uznały błogosławieństwa ogólnéj oświaty i konieczność rozprzestrzenienia jéj i udostępnienia dla wszystkich klas społeczeństwa i tym sposobem zmusiły i rzemieślników do jéj nabywania.

Nauka tak zwana elementarna stała się więc obowiązującą obok nauki rzemiosła, a w ślad zatém i nauka rzemiosła uległa rozmaitym zmianom.

W początkach rozwoju rzemiosł, kiedy specyalne zajęcie, wyłączny wynalazek w tajemnicy utrzymywany, stanowiły niejako bogactwo i spuściznę rodziny, a rzemiosło, przechodząc z ojca na syna, utrzymywało się przez pokolenia w jednéj familii, nauka rzemiosł udzielana bywała bez określenia czasu i warunków, w sposób patryarchalny. Wraz z wytworzeniem się korporacyi cechowych i przyjmowaniem uczniów z po za obrębu rodziny, tradycya wyrabiała pewne zwyczaje, w następstwie uświęcane przez przepisy cechowe. Jak już wyżéj wspomniano, tak zwani majstrowie, to jest rzemieślnicy, prowadzący własny warsztat, w zamian za udzielanie nauki rzemiosła i utrzymanie, wymagali od ucznia pracy wieloletniéj, w któréj mieściła się nie tylko praca warsztatowa, ale wszelkiego rodzaju wysługa i posługa. Uczeń stał się posługaczem majstra i jego rodziny, nieraz i czeladników; posługa, według zwyczaju, trwała od lat 5 do 7, stosownie do wieku ucznia i do rodzaju rzemiosła, a od tego terminu czyli czasu trwania uczenia się początków rzemiosła, uczeń zwał się terminatorem.

Biorąc na uwagę otoczenie, śród którego odbywało się terminowanie, stopień uobyczajenia, zwyczaje i pewną tradycyą, nakazującą ile można surowe i grubiańskie obchodzenie się z uczniem, karność i tyranią starszych i przełożonych; z drugiéj strony brak wszelkiego wychowania i początków nawet nauki szkolnéj u terminatora, wnosić można łatwo, że lata terminatorskie, przy lichém pożywieniu i jaknajskąpszém zresztą utrzymaniu, upływały śród nieustannych upokorzeń i prześladowań, z krzywdą dla najpospolitszych uczuć ludzkich, ze spaczeniem moralnéj strony rozwoju przyszłego rzemieślnika.

Tak twarde życie uważane było jako konieczny warunek kształcenia terminatora i wynoszone było do godności zasady.

Nie należy mniemać, że te warunki nauczania fachowego wyłącznie stosowane były tylko u rzemieślników. Z małemi zmianami, a mianowicie pod względem lepszego nieco utrzymania uczniów, były one w użyciu i względem uczniów handlowych, a po dziś-dzień jeszcze w wielu domach handlowych uczniowie używani bywają do posług, z przyszłym ich zawodem związku bynajmniéj nie mających. Są jeszcze pryncypałowie, którzy trzymają się téj zasady, że uczeń, zanim przypuszczony będzie do wagi lub łokcia, zanim pocznie przepisywać listy lub prowadzić księgi, powinien zacząć od zamiatania kantoru lab dźwigania ciężarów.

Uczenie się rzemiosła było rzeczą podrzędną. Terminator, z początku wyłącznie do posług używany, powoli używany bywał do pomocy przy pracy warsztatowéj, przyczém przypatrując się ro-

bocie czeladników i majstra, obznajmiał się ze stroną techniczną rzemiosła, a nareszcie stopniowo przechodził, stosownie do dobréj woli majstra i jego pomocników, do właściwego zajęcia. Naturalnie nie można było oczekiwać, żeby nauka rzemiosła udzielana była systematycznie lub według jakiéj metody pedagogicznéj. Wskazówki dawane od niechcenia, według przyjętéj rutyny, przy pomocy plag i szturchańców, nie bardzo przyczyniały się do szybkiego postępu ucznia. Tak jak przyjmowano ucznia do terminu bez względu na jego fizyczne uzdolnienie do danego rzemiosła, na odpowiedniość jego wieku i sił, na szczególną jego zdolność do obranego zawodu, tak téż i w ciągu terminowania obarczano go często pracą, przechodzącą jego siły lub nie odpowiadającą zdolnościom. Następstwem tego było, że największa liczba terminatorów wychodziła na partaczy i tylko jednostki wyjątkowo uzdolnione lub faworyzowane wyrabiały się na dobrych rzemieślników.

Ustawy cechowe z początku samowolnie na zasadach zwyczaju miejscowego i rutyny stanowione, bywały następnie rewidowane i zmieniane przez władze, którym cechy podlegać musiały. W ustawach tych zamieszczane bywały przepisy, mające na celu opiekę nad terminatorami i ograniczające do pewnego stopnia samowolę majstrów. Niemożliwość jednak skutecznéj kontroli, zakorzenione wiekami zwyczaje, niskie wykształcenie samych majstrów i brak wszelkiéj w tych sferach kultury obyczajowéj, czyniły owe zastrzeżenia złudnemi. Rzadko kiedy rodzice lub opiekunowie odwoływali się do tych postanowień i to chyba w razie ciężkiéj krzywdy uczniowi wyrządzonéj, wiedząc dobrze, że taka interwencya władzy zwykle gorsze dla terminatora miewała następstwa, aniżeli znoszenie twardych warunków, którym terminator poddawać się musiał.

Po wytrzymaniu przez ucznia ciężkiéj doli lat terminatorskich, majster z dobréj woli lub stosownie do zobowiązań przyjętych przy zapisaniu terminatora, wyzwalał go na czeladnika.

Stanowisko czeladnika dawało mu już niejakie prawa, a przedewszystkiém prawo żądania płacy za pracę. Nie podlegając już obowiązkom posługi, czeladnik musiał nieokreśloną liczbę lat pracować, zanim po zrobieniu tak zwanego majstersztyku, zdołał osiągnąć stopień majstra. Praca w warsztacie, do któréj czeladnik usposobił się terminowaniem, przeplatana bywała odpoczynkiem w niedzielę i święta, święcone według odwiecznego zwyczaju hulanką i pijatyką, przeciągającemi się do poniedziałku i poświątku, nieodzownemi również przy wyzwoleniu, a w radzającemi się bardzo często w sprośne bachanalie.

Dla doskonalenia się w rzemiośle czeladnikowi wolno było, a nieraz miewał sobie nakazane obowiązkowo wędrowanie. Nie można zaprzeczyć, że wędrówka, rozumnie podjęta, mogła istotnie przyczynić się do poznania świata i ludzi, do rozjaśnienia pojęć czeladnika i do poznania postępów w rzemiośle, po za granicami rodzimego miasta zrobionych. Do ostatnich czasów wędrówki te odbywane bywały pieszo, zabierały wiele stosunkowo czasu i wystawiały czeladnika na wiele trudów niepotrzebnych i na ciężkie nieraz przygody. Przybywający do obcego miasta odszukiwał właściwą dla każdego cechu gospodę, gdzie za ustanowioną opłatą bywał przyjmowany i gdzie wynalezienia roboty wyczekiwał. Czas przebywania w gospodzie poświęcany bywał najczęściéj pijatyce i rozpuście, stosownie do środków, jakiemi przybysz rozporządzał.

Czeladnik obowiązany był do pewnych terminowych i nadzwyczajnych składek tak zwanéj anflegi. Sumy tak zbierane zachowywały się u starszego cechu. Miejscem zachowania wraz z dokumentami, do cechu i jego składu osobistego należącemi, była tak zwana lada. Z sum tych opędzano wydatki ogólne cechu, jako to: sprawianie chorągwi, msze święte, koszta uczt wspólnych przy wyborach starszych, a nareszcie opłaty kuracyjne, szpitalne i pogrzebowe. Niekiedy wydawano stąd zapomogi biednym i podupadłym majstrom. Humanitarne jednak cele składek czeladzi zwykle grały rolę podrzędną, główna część sum wydawana bywała na uczty. Nadużycia w pobieraniu opłat i malwersacye w wydatkach bardzo często się wydarzały.

W warunkach wyżéj wyłuszczonych nauka rzemiosła nie bywała bynajmniéj ponętna. Skutkiem tego oddawano do niéj dzieci niemal wyłącznie z najbiedniejszéj klasy, sieroty, dzieci upośledzone zmysłowo lub leniwe do nauki szkolnéj i nie mające przed sobą widoków innéj karyery. W wielu razach oddanie do rzemiosła było rodzajem kary dla dzieci złego prowadzenia się, lub sposobem pozbycia się ciężaru w rodzinach, tém błogosławieństwem obarczonych.

Wynikało stąd koniecznie poniżenie społeczne rzemiosł coraz wzrastające, a za niém odosobnienie rzemieślników wobec innych klas obywatelskich. Odosobnienie to strącało znowu do niższego poziomu obyczajowego samych rzemieślników.

Z tego błędnego koła było tylko jedno wyjście: nauka szkolna. Środek ten jednak zastosowany został dopiéro w bieżącém stuleciu.

Jak człowiek pogrążony w ciemności traci poczucie światła, tak klasy nieoświecone nie uczuwają potrzeby nauki. Jak przywykłego do ciemności światło olśniewa i przykre nań wywiera wra-

żenie, tak nieoświecony unika nauki, poczytuje ją za nieużyteczną, niepotrzebną i uciążliwą.

W warsztatach terminatorowi nie wolno brać się do książki. To bałamuctwo i marnowanie czasu; to zawraca głowę i odejmuje chęć do pracy. Jeżeli lada cechowa otwierała się na opędzenie wydatków na uczty, a niekiedy dla celów humanitarnych, to nigdy jednak na szkołę lub na bibliotekę. Wprowadzenie obowiązku posyłania uczniów do szkoły niedzielnéj natrafiało na uporczywą opozycyą lub niedbalstwo majstrów i zaledwie przymusem policyjnym mogło być dokonane.

Stan jednak zaniedbania rozwoju umysłowego uczniów rzemieślniczych zwrócił uwagę filantropów i władz rządowych i wywołał różne instytucye, mające zaradzić wykazanym wyżéj niedostatkom i ich smutnym następstwom.

Przedewszystkiém, brak opieki nad uczniami rzemieślniczymi i potrzeba kontroli nad postępowaniem majstrów wywołały utworzenie osobnych towarzystw, których celem było zajmować się losem terminatorów - sierot i innych, pozbawionych opieki naturalnych opiekunów. Towarzystwa te starały się o zawieranie umów czy kontraktów z majstrami, w których wyszczególniane były warunki, zapewniające uczniowi dobre obchodzenie, odpowiednie utrzymanie, dotrzymanie terminu wyzwolenia, ograniczenia pracy nie przechodzącéj siły dziecka, zapewnienie pomocy w chorobie i t. d., a na pierwszém miejscu—danie możności nabycia elementarnéj nauki. Towarzystwa te wyjednywały u władz rządowych prawodawcze rozporządzenia, zapewniające wszystkim wogóle terminatorom dobrodziejstwa opieki i oświaty, a co ważniejsze, ustanawiały ze swego ramienia kuratorów, zajmujących się ścisłym a zbawiennym nadzorem nad wykonywaniem wyżéj wspomnianych warunków umowy.

Uznana powszechnie potrzeba oświaty dla klas pracujących wywołała ustanowienie dla rzemieślników rozmaitych zakładów naukowych. Uwzględniając konieczność codziennego zajęcia uczniów w warsztacie, starano się wyzyskać dni świąteczne i niedzielne dla umysłowego ich kształcenia. Najpospolitszą tedy instytucyą naukową dla rzemieślników stały się szkoły niedzielne, w których w przedpołudniowych godzinach wykładane bywają przedmioty nauki początkowéj, mianowicie religia i moralność, czytanie i pisanie w jedym lub kilku językach, arytmetyka, niekiedy historya i geografia, geometrya i rysunki. Jak z jednéj strony ograniczony był zakres wykładanych przedmiotów, tak z drugiéj szczupłość czasu poświęconego nauce dozwalała zaledwie w ciągu kilku lat

udzielić uczniom najelementarniejszych potrzebnych im wiadomości, témbardziéj, że w ciągu całego tygodnia, przy braku czasu do powtarzania, do przygotowywania się na lekcye, do ćwiczenia się i wprawy, mianowicie w pisaniu i w rysunkach, niepodobna było osiągnąć pożądanych postępów.

Usiłowano temu zaradzać przez dodanie wykładów wieczornych, urządzanych dwa lub trzy razy w ciągu tygodnia. Szkoły wieczorne miały również a raczéj przeważnie na celu przypominanie nauki, powtarzanie jéj dla starszych rzemieślników i robotników, którzy bez téj pomocy łatwo zapominali to wszystko, czego się przedtém w szkole niedzielnéj nauczyli. Dla wielu były to szkoły dalszego kształcenia się z rozleglejszym nieco programem, zastosowanym tu i owdzie do specyalnych gałęzi przeważającego w danéj miejscowości przemysłu. I tak w niektórych szkołach wieczornych wykładano matematykę, geometryą w szerszym zakresie, miernictwo; w innych początki fizyki, chemii, technologii, hygieny; w innych nareszcie urządzano oddzielne lekcye dla cieśli, piwowarów, destylatorów, garbarzy, maszynistów i t. p. Takie szkoły przeważnie w ostatnich czasach urządzono w Niemczech.

Nie można zaprzeczyć, że szkoły niedzielne i wieczorne stanowią ważny i z wielu względów pożyteczny środek kształcenia rzemieślników. W danych okolicznościach jest to jedyny środek umożliwienia im nabycia jakichbądź początków nauki.

Z drugiéj strony widoczne są niedostatki tych zakładów, ze względu na krótkość czasu poświęcanego nauce, na długie tygodniowe przerwy pomiędzy wykładami. Użycie niedzieli i świąt do nauki pozbawia rzemieślników sposobności uczęszczania na nabożeństwa, a zarazem jedynego dnia, w którym robotnik po całotygodniowéj pracy mógłby użyć wypoczynku i rozrywki. Potrzebę wypoczynku najlepiéj mogą ocenić ci, którzy z doświadczenia wiedzą, czém jest codzienna, nieustająca, przymusowa a nieraz ciężka i siły wyczerpująca praca, w dusznéj i ciasnéj atmosferze warsztatów, w brudnych i ciasnych ulicach miejskich. To téż szkoły niedzielne napotykają niechęć i opór ze strony uczniów, obojętność ze strony majstrów i tylko pod ścisłą kontrolą i przymusem utrzymać się mogą. Jak ujemnie taka niechęć wpływa na postęp w nauce, łatwo osądzić.

Szkoły wieczorne znowu tę przedstawiają niedogodność, że wykłady odbywają się wobec słuchaczy znużonych całodzienną pracą fizyczną, nie będących w stanie utrzymać i wytężyć uwagi na słowa nauczyciela. Robotnik, który pracował od 5-téj lub 6-téj godziny zrana, przychodzi na wykład po godzinie 7 wieczorem ze znu-

żeniem, które gwałtownie wypoczynku lub snu wymaga. Osadzony w ławie, w stanie przymusowego unieruchomienia, słuchacz musi wytężyć całą siłę swéj woli, by oprzéć się wpływowi owładającéj nim senności, którą chyba bardzo żywy i bardzo zajmujący wykład spłoszyć byłby w stanie. Doświadczenie uczy, że na wykładach wieczornych znaczna część słuchaczy mimowolnie usypia. Łatwo osądzić, jak ograniczoną jest z tych powodów korzyść nauki, i tak w porze wieczornéj zaledwie godzinę trwać mogącéj.

Ze względu na niemożność wynalezienia czasu na kształcenie umysłowe rzemieślników bez przerywania pracy warsztatowéj, która bądź-co-bądź stanowi główne zadanie ich życia i podstawę ich przyszłości, konieczność zmusiła do ograniczenia się do szkół niedzielnych i wieczornych, pomimo uznanéj ich niedostateczności.

Niebawem inny wzgląd zwrócił uwagę ludzi myślących, a mianowicie sama metoda uczenia technicznéj strony rzemiosła. Odkryto tu wady i niedostatki, o których wyżéj już nadmieniono, a to poprowadziło nauczanie rzemiosł na nowe zupełnie drogi.

W niektórych miejscowościach, przedstawiających naturalne warunki, ułatwiające szczególne wyroby, lub obfitujące w materyał do wyrobu potrzebny, wytworzyły się rzemiosła specyalne, miejscowe. W innych miejscowościach po wsiach niedostateczność produkcyi rolnéj przy znaczném zaludnieniu zmusiła ludność do pracy przemysłowéj, albo do zużytkowania w taki sposób czasu niezajętego pracą około roli zwłaszcza w miesiącach zimowych. W takich miejscowościach, przy niedostatecznéj możności nauczenia rzemiosła w warsztatach, urządzono specyalne szkoły rzemiosłowe (1). Tak to powstały szkoły garncarskie, koszykarskie, koronkarskie, tkackie i t. p.

Wobec szybkich postępów w technice niektórych gałęzi przemysłu i zastosowania środków i sposobów odkrytych i podanych przez nauki ścisłe i przyrodnicze, wobec używanych i coraz bardziéj upowszechniających się pomocy mechanicznych, uznano konieczność specyalnego przygotowywania uczniów, uprzedniego nabycia pewnych wiadomości naukowych zanim przystąpią do nauki właściwego zajęcia. W innych razach, po uprzedniém nabyciu technicznych rękoczynów i wprawy mechaniczeéj, wykazała się potrzeba naukowego wykształcenia dla możności dalszego uzdolnienia do wykonywania danego zawodu.

---

(1) Odróżniamy szkoły rzemieślnicze od szkół rzemiosłowych tą mianowicie cechą, eż gdy pierwsze służą do udzielania nauki elementarnéj ogólnéj rzemieślnikom pracującym w warsztatach, drugie nauczają zarazem praktycznie saméj techniki rzemiosła.

Na tych zasadach urządzono szkoły fachowe: zegarmistrzów, stolarzy wytwornego wyrobu (*ébénistes)*, cieśli, mechaników i maszynistów, szkoły podmajstrzych (*écoles des contremaitres*), na wzór oddawna istniejących szkół felczerskich i aptekarskich. Tu również zaliczyć należy szkoły kupieckie (handlowe), szkoły ogrodników i niższe szkoły rolnicze. Tu nie mniéj należą wyższe szkoły techniczne (*écoles des arts et métiers* we Francyi, *Gewerbeschulen* w Niemczech).

W Anglii lekarze, równie jak aptekarze stawiają pierwsze kroki w nabywaniu wiadomości, do zawodu potrzebnych, od praktycznych zajęć przy lekarzach albo w szpitalach, jakotéż w aptekach i pracowniach chemicznych, a następnie dopiero przechodzą do uniwersytetów lub szkół specyalnych. W innych krajach zajęcia praktyczne poprzedzić muszą rozległe prace naukowe teoretyczne a po nich wymaganą jest przed uzyskaniem stopnia, upoważniającego do zawodowego zajęcia, praktyka techniczna mniéj lub więcéj długo trwająca, jak klinika dla lekarzy, praktyka rolnicza dla agronomów, praktyczne zajęcia dla inżynierów i budowniczych itp.

Z powyższego już wnioskować można, jak nauka teoretyczna zastosowana do rzemiosł podniosła godność i stanowisko rzemieślnika do równi niemal z zawodami zajmującemi zaszczytne miejsce w społeezeństwie.

Z tém wszystkiém szkoły fachowe do ostatnich czasów ograniczane były do małéj liczby zawodów przemysłowych, a największa liczba rzemieślników, czerpiąc szczupłe zasoby oświaty w szkołach niedzielnych i wieczornych, pod względem technicznéj nauki rzemiosła pozostawała i pozostaje w opłakanych warunkach terminowania takiego, jakie im daje rutyna i średniowieczne urządzenie cechowe.

Gorętsze zajęcie się losem rzemieślników wykryło całą wadliwość nauki terminatorskiéj, marnowanie życia i sił uczniów, zgubny wpływ tego systematu na ich moralność i obyczaje, niemożność udzielania im dostatecznéj nauki elementarnéj i wogóle oświaty. Ogólne uznanie godności uczciwéj pracy w każdym zawodzie, równouprawnienie społeczne stanów i powołanie rzemieślników do życia obywatelskiego i politycznego, uczyniło zawód rzemieślniczy, jako dający karyerę niezależną i zapewniający godziwe a pożyteczne utrzymanie, pożądanym dla klas średnich.

Klasy te wobec warunków terminatorskiéj nauki rzemiosła cofały się przed oddawaniem dzieci do rzemiosł, skutkiem czego przeludniały się zawody tak zwane wyzwolone i karyery urzędnicze i tém samém utrudniały się widoki godziwego utrzymania. Stosun-

ki te pogorszały się coraz bardziéj wobec coraz bardziéj rosnących i mniéj więcéj usprawiedliwionych wymagań władzy od młodzieży, garnącéj się do wyższéj nauki szkolnéj i uniwersyteckiéj. Ogrom wiadomości teoretycznych, których nabycie jest koniecznėm dla osiągnięcia stopnia lekarza, prawnika, inżyniera, budowniczego, itp. wymaga z jednéj strony wyższych zdolności umysłowych, a z drugiéj, wielu lat nauki i usilnéj pracy, połączonéj z wydatkami, przewyższającemi środki wielu rodzin średniego stanu.

Jednocześnie cechy zniesione zostały lub straciły wyłączne swe przywileje, a przymus terminowania, należenia do cechu i wyzwolenia nie krępuje już rzemieślnika. Każdy ma prawo założenia warsztatu i sprzedawania swych wyrobów za opłatą patentu.

Przedstawiało się więc w następstwie naglące zadanie społeczne:

1) urządzić zakłady, mogące dać młodzieży wszelkich stanów sposobność nabycia nauki rzemiosłowéj bez konieczności terminowania;

2) podać możność jednoczesnego ukształcenia naukowego, tak pod względem nauk elementarnych, niezbędnych dziś dla każdego członka społeczeństwa, jakotéż i wiadomości teoretycznych, potrzebnych dla obranego zawodu;

3) kształcić smak artystyczny rzemieślników, dając im w najrozleglejszych ile można rozmiarach naukę rysunków i modelowania, a zarazem usposobić ich do możliwego spółubiegania się z rzemieślnikami zagranicznymi przez udoskonalenie sposobów produkcyi.

Wprawdzie już u starożytnych ludów i w wiekach średnich napotykamy wyroby stolarskie, ślusarskie, bronzownicze, jubilerskie, garncarskie i tkackie, odznaczające się wysoką artystyczną wartością; były to jednak dzieła wyjątkowo uzdolnionych artystów—dzieła, które dla swego wykonania pochłaniały całe lata życia rzemieślnika-artysty.

W ostatnich czasach zastosowanie sztuki do przemysłu coraz szersze zyskuje pole i coraz bardziéj się upowszechnia. Wyroby nacechowane piętnėm sztuki i dobrego smaku coraz bardziéj usuwają z użycia wyroby proste i niezdarne. Rywalizacya w zbycie wyrobu staje się jedynie możliwą, przez wykształcenie smaku i strony artystyczniéj rzemieślnika.

Rozwiązanie powyższych zadań znaleziono w ustanowieniu specyalnych szkół rzemiosłowych.

Kiedy dawniéj szkoła stanowiła uboczny dodatek do warsztatu, obecnie przeniesiono warsztat do szkoły, a nauczaniu teoretycz-

nemu, estetycznemu i praktycznemu wyznaczono równoważne odpowiednie miejsca.

Obszerność programu naukowego musi się naturalnie stosować do jakości zawodu, jaki sobie obiera przyszły rzemieślnik i dla tego wykład nauk powinien mićć na widoku albo specyalne rzemiosła, albo przedstawiać dosyć szerokie ramy, aby w stopniowaniu klas dawał sposobność objęcia ciaśniejszego lub obszerniejszego zakresu umiejętności.

Specyalne szkoły rzemiosłowe urządzają się przy większych fabrykach, lub w miejscowościach, osobliwie sprzyjających szczególnemu rodzajowi produkcyi, jak szkoły tkackie, koszykarskie, garncarskie, górników, metalurgów, cieśli, piwowarów itp. Program nauk może tu być ściśle zastosowany do jakości przeważnie uprawianego rzemiosła, zawierać mogący, oprócz nauk ogólnie potrzebnych, wiadomości z technologii bliżéj wchodzące w zakres przyszłego zajęcia.

W miastach, gdzie ludność mieszana i rozmaitość rzemiosł wskazuje potrzebę różnostronnego kształcenia, program nauki musi być rozleglejszy i pracownie również więcéj urozmaicone.

Ze względu na niezamożność wielkiéj liczby aspirantów do szkół rzemiosłowych, życzyć by należało, aby one były albo zupełnie bezpłatne, albo przystępne za umiarkowaną bardzo opłatą.

Uwzględnić tu należy i tę okoliczność, że dzieci oddawane do terminu, często nie tylko nie są w stanie płacić za pobieraną naukę, ale nie mając środków utrzymania, zmuszone są przyjąć ciężkie warunki terminowania, chociażby tylko jako wypłatę za żywność i utrzymanie, zapewnione przez majstra do czasu wyzwolenia. Bez pomocy więc ze strony dobroczyńców lub społeczeństwa nie można spodziewać się, aby szkoły rzemiosłowe zupełnie wyrugowały terminowanie.

Ze względu na program i czas trwania nauki, byłoby odpowiedniém urządzenie szkół rzemiosłowych niższych dla rzemiosł pospolitych i szkół wyższych dla rzemiosł wymagających wyższego ukształcenia naukowego. Odpowiednie biblioteki i gabinety dla wzorów i modelów byłyby cenną pomocą w doskonaleniu rzemieślników.

Należy również urządzić warsztaty przy szkołach żeńskich, aby dziewczętom dać sposobność nauczenia się pracy ręcznéj w rozmaitych rzemiosłach przystępnych dla płci słabéj. Dotąd roboty ręczne dziewcząt ograniczały cię do szycia bielizny i kroju sukien. Z wielką korzyścią możnaby tu zastosować: szewctwo damskie, wyrób kwiatów sztucznych, pasamonictwo, pozłotnictwo, rzeźbę na drzewie, rytownictwo itp.

Wprowadzenie nauki technicznéj ręcznéj w zakres zakładów pedagogicznych przedstawia niezaprzeczone korzyści, tak dla uczniów indywidualnie, jak i dla całego społeczeństwa. Wymienimy tu najważniejsze:

1. Zawarty w programie wykład religii i moralności z wyznaczeniem na to odpowiedniéj liczby godzin, daje rękojmię odpowiedniego ukształcenia moralnego.

2. Młodzież wyrwana z pośród otoczenia nieokrzesanego i nieobyczajnego, a kierowana przez ludzi ukształconych moralnie i obyczajowo, nie tylko ustrzega się od poniżenia, grubiaństwa, demoralizacyi i rozpusty, ale wyrabia korzystnie swój charakter i kształci obyczaje.

3. Młodzież czas wolny od nauki przepędza wśród swéj rodziny i nie staje się dla niéj obcą. Dni niedziel i świąt poświęcane być mogą nabożeństwu, odpoczynkowi i rozrywce.

4. Równoważny rozkład pracy umysłowéj i fizycznéj wywiera najpomyślniejszy wpływ na zdrowie i ochotę do pracy. Nauka jest wypoczynkiem dla pracy fizycznéj i odwrotnie; jedna jest dopełnieniem drugiéj.

5. Nauka techniczna, rzemiosłowa zarówno jak teoretyczna, udzielane są metodycznie przez dobranych przewodników, pod okiem wytrawnych pedagogów, zastosowane do sił ucznia i jego właściwych zdolności.

6. Pomimo znacznego skrócenia czasu przeznaczonego na pracę warsztatową, skutkiem metodycznego nauczania, uczniowie nierównie prędzéj i łatwiéj nabywają potrzebnéj im wprawy mechanicznéj.

Rozwijanie zdolności umysłowych, potęgując władze pojmowania, czyni z uczniów robotników rozumnych, i szybko nabywających zdatność mechaniczną.

7. Żaden warsztat terminatorski nie jest w możności dać uczniom sposobności artystycznego wykształcenia w rysunku i modelowaniu na równi ze szkołą.

8. Społeczeństwo zyskuje rzemieślników ukształconych i wyżéj uzdolnionych. Przemysł może rozwijać się swobodnie i postępowo i nietylko współubieganie się wyrobów krajowych z zagranicznemi staje się możliwém, ale nastręcza się sposobność zapewnienia wyższości nad konkurentami.

Przy otwartych polach zbytu zapewnia się tą drogą najlepiéj dobrobyt klas pracujących i zwiększa bogactwo krajowe.

9. Społeczeństwo zyskuje obywateli z rozwiniętemi władzami umysłowemi, wychowanych należycie pod względem moralnym

i obyczajowym, stanowiących jądro a czasem i większość stanu średniego, grającego tak ważną rolę w nowożytnych dziejach narodów.

Kształcenie rzemieślników w szkołach ma jednakże i słabe strony i dlatego system ten ma przeciwników.

Zarzuty stawiane szkołom rzemiosłowym dadzą się streścić w następujących twierdzeniach:

1. Że nauka szkolna rzemiosła nie odpowiada rzeczywistym warunkom przemysłowego wyrabiania i nie przedstawia takiego podziału pracy, jaki się odbywa i odbywać musi w praktyce.

2. Że uczniowie nie uczą się oszczędnego obchodzenia się z materyałem, co jest warunkiem niezbędnym korzystnéj produkcyi przemysłowéj.

3. Że nie przywykają do roboty szybkiéj, do niemarnowania czasu przy robocie, od czego zależy możność korzystnego zarobkowania.

4. Że szkoła, poświęcając kilka godzin dziennie nauce rzemiosła, nie przygotowuje do rzeczywistéj a znojnéj pracy warsztatowéj.

5. Że wogóle stosunki życia w warsztacie i w zawodzie rzemieślniczym są inne aniżeli w szkole, skutkiem czego, wychodzący ze szkoły uczniowie zniechęcają się wstępując w stosunki praktyczne, z któremi trudniéj się im pogodzić, aniżeli tym, którzy w stosunkach tych od dzieciństwa są wychowani.

6. Że szkoły rzemiosłowe są zakładami bardzo kosztownemi, że zatém nie mogą być w dostatecznéj liczbie zakładane, aby uczynić je przystępnemi dla znacznéj liczby potrzebujących nauki, albo téż wstęp do nich musi być obłożony opłatą, któréj znowu znaczna większość pragnących poświęcić się nauce rzemiosłowéj ponosić nie jest w stanie.

7. Że administracya i kontrola warsztatów rzemiosłowych jest trudną z powodu rozporządzania materyałem nie dającym się dokładnie obliczyć, i że tylko przedsiębiorca szukający własnego zysku umié osiągnąć i nauczyć oszczędności w materyale i w czasie pracy na zarobek użytéj.

8. Że wiele jest rzemiosł, dla których zakładanie warsztatów wymaga obszernych przestrzeni (np. ciesielstwo), albo téż bardzo skomplikowanych urządzeń (powozy, fortepiany), albo téż dadzą się zastosować tylko w praktyce na większą skalę (tapicerzy, cukiernicy, malarze pokojowi, pozłotnicy, zduni).

Zarzuty powyżéj wyszczególnione mniéj więcéj téj saméj treści stawiane były komisyi wyznaczonéj w r. 1863 dla zbadania środ-

ków polepszenia nauki rzemiosł przez ówczesny cesarski rząd francuski i doprowadziły one do wniosku, że najlepiéj rzeczy zostawić w dawnym stanie i poruczyć daléj kształcenie rzemieślników staréj rutynie. Tylko dla polepszenia losu terminatorów, za wzór urządzeń postawiono angielskie Towarzystwa opieki nad terminatorami, które, przyznać należy, w swoim zakresie niezmierne położyły zasługi, zastąpić jednak nauki rzemiosłowéj szkolnéj nie były wstanie. Środki, jakiemi rzeczone Towarzystwa rozporządzają, wystarczyłyby niezawodnie na założenie ogromnéj liczby szkół rzemiosłowych.

Rozbiór stawionych zarzutów przekonywa, że jedne są czysto teoretyczne, wywołane uprzedzeniem rutyny, inne nie odnoszą się do zadania, jakie mają szkoły rzemiosłowe.

Prawda, że szkoła nie uczy ani szybkiéj ani wytrwałéj roboty warsztatowéj, ale też nie uczy się takiéj roboty terminator w pierwszych latach swéj aplikacyi. Co do oszczędzania materyału i czasu pracy, to nie ma żadnego powodu dla czego by przełożony szkoły nie mógł równie dobrze tego dopilnować, jak majster w swoim warsztacie. Jeżeli warsztat szkolny będzie tak prowadzony jak być powinien, to jest w celu produkcyi, korzyść i zarobek przynoszącéj, to warsztat szkolny ze względu na oszczędzanie materyału i czasu będzie w tych samych warunkach co warsztat prywatny. Błędem byłoby prowadzić naukę rzemiosłową—że tak powiem—platoniczną, skierowaną jedynie do uczenia. Uczenie rzemiosła odbywa się najlepiéj przy dążeniu do wyrobu dającego korzyść, zarobek. Że to dążenie daje się urzeczywistnić, tego dowodzą praktyczne rezultaty rzemiosłowéj nauki, które daléj przytoczymy, wzięte z wieloletniego doświadczenia w warsztatach tutejszego Instytutu Głuchoniemych.

Zadaniem szkół rzemiosłowych nie jest wykształcenie zupełnie gotowych czeladników, ale przedewszystkiém oszczędzenie lat terminatorskich obok obdarzenia ucznia odpowiednią nauką szkolną, bądź początkową bądź przygotowawczo-techniczną. Wychodzący ze szkoły uczeń, jeżeli chce się poświęcić zawodowi rzemiosłowemu, musi douczyć się w warsztacie praktycznym, do którego jednak wstępuje już tak dalece przygotowany, że zamiast 5—6 lat terminowania, w ciągu roku może zrównać się z najbieglejszymi czeladnikami. Nie można przecież robić z tego szkołom zarzutu, że znojną ciężką pracę terminatora zastępują racyonalnym, stosunkowo łatwym wykładem szkolnym.

Zadaniem szkoły jest nauczyć *robić*, a dopiero w warsztacie rzemieślnik, umiejąc robić, nauczy się *pracować*.

Życie w warsztacie rzeczywiście różne jest od życia w szkole. Ale też zadaniem szkoły jest zmienić warunki tego życia, skalanego ciemnotą, grubiaństwem i demoralizacyą.

Nie ma wątpliwości, że jeżeli na ucznia wstępującego ze szkoły do praktycznego warsztatu oddziaływa szorstkie jego otoczenie, to niewątpliwie i wykształcony uczeń wniesie do warsztatu wpływ swego lepszego uobyczajenia. Zresztą urządzenie, subordynacya i kierunek szkoły powinny uwzględnić przyszły zawód uczniów.

Uprzedzeniem jest, że szkoły rzemiosłowe są kosztowne. Poniżéj podajemy cyfry nakładu potrzebnego na urządzenie i prowadzenie szkoły rzemiosłowéj. Doświadczenie wykazuje, że już w drugim roku szkoły produkcya warsztatów może tyle przynieść zarobku, że tenże pokryć zdoła wszelkie wydatki warsztatów i dozwala jeszcze zrobić oszczędności na rzecz uczniów. Przy dłuższym pobycie uczniów w szkole i rozumném jéj prowadzeniu, nietylko wydatki na warsztaty łożone ale i utrzymanie całéj szkoły się wracają. Potrzebnym jest więc tylko pierwszy kapitał zakładowy, który nie przedstawia tak wielkiéj sumy, ażeby od zakładania takich szkół odstręczać miała.

Niewątpliwie administracya i kontrola funduszów i użytych materyałów, jako też spieniężanie wyrobów wymagają nadzoru i kierownictwa ludzi sumiennych i praktycznych; ależ nie można braku tego rodzaju osób stawiać z góry jako zawadę do wprowadzania szkół rzemiosłowych. Doświadczenie wskazuje, że takich kierowników znaleść można, a praktyczne dane ułatwiają i nastręczają środki kontroli.

Szkoły rzemiosłowe nie są rzeczywiście w stanie zastąpić nauki terminatorskiéj we wszystkich zawodach rzemiosłowych i wskazane powyżéj przeszkody nie pozwalają zastosować téj metody do wszystkich rzemiosł. Z tego jednak nie wynika bynajmniéj wniosek, że są bezużyteczne. Należy je owszem urządzać dla tych wszystkich rzemiosł, dla których są możliwe, pozostawiając dla innych te środki kształcenia uczniów, jakie się dla nich zastosować dadzą, a mianowicie szkoły niedzielne i wieczorne, szkoły elementarne przygotowawcze. W tych przypadkach zbawienne działanie opieki nad terminatorami ma obszerne pole do działania.

Dla dzieci biednych rodziców szkoły rzemiosłowe można uprzystępnić, tak samo jak i pobieranie wszelkiéj nauki, albo przez zakładanie szkół rzemiosłowych bezpłatnych, albo przez uwalnianie biednych od opłaty, albo przez wsparcia dobroczynne. Pomoc w takim razie podchodzi pod ogólne prawa dobroczynności publicznéj. Znaczna jeszcze część uczniów przechodzić będzie musiała

twardą kolėj terminowania; nie wyłącza to jednak usiłowań i obowiązku zmniejszania tėj liczby w miarę środków i możności.

Obecnie kształcenie rzemieślników znajduje się w epoce reformy. Obok niewątpliwego postępu praktykują się spółcześnie wszystkie wyżėj wspomniane systematy: terminatorstwo, szkoły niedzielne i wieczorne, szkoły fachowe, szkoły techniczne niższe i wyższe i szkoły rzemiosłowe. Ideał pedagogicznego wychowania rzemieślników dalekim jeszcze jest do urzeczywistnienia.

Nauka rzemiosł w naszym kraju najpowszechniėj odbywała się i odbywa sposobem terminatorskim. Cechy rzemieślnicze, urządzone na wzór niemieckich głównie przez przybyłych z Niemiec i osiadłych w kraju rzemieślników, zachowały przepisy i zwyczaje niemieckie, wraz z nazwami niemieckiemi narzędzi, z auflegami, ladami, majstersztykami etc.

Zachowały one niemiecką nietolerancyą, surowość obyczajów i pedanteryą; długi czas wyłączały krajowców chrześcian i żydów. Ci ostatni dotychczas z cechów, jeżeli nie prawnie, to faktycznie są wyłączeni i dlatego zajmują się niektóremi tylko rzemiosłami (blacharstwem, jubilerstwem i pasamonictwem); w innych rzemiosłach są samoukami i partaczami. Przed 30 jeszcze laty, oprócz szewctwa i krawiectwa, prawie wszystkie inne rzemiosła były w ręku rodzin niemieckich.

Przed otwarciem szkoły farmaceutycznėj, aptekarzami byli wyłącznie prawie Niemcy.

Taki stan rzeczy był następstwem historycznego ukształtowania społecznych stosunków krajowych, skutkiem którego cały stan średni składał się jedynie prawie z Niemców rzemieślników i kupców żydów.

Jak wielki wpływ na losy kraju wywarła ta odrębna cecha, stanu średniego, który stanowił i stanowi dotychczas główną część ludności miast w Polsce, to każdy myślący ocenić potrafi.

Pierwszém usiłowaniem wniesienia światła nauki w masy rzemieślników było ustanowienie szkół niedzielnych dla terminatorów.

Szkoły rzemieślniczo-niedzielne zostały po raz pierwszy otworzone w Warszawie w r. 1817 w wykonaniu postanowienia Namiestnika Królewskiego z d. 31 grudnia 1816 r. o urządzeniu cechów, które w § 21 brzmi:

„Majster biorący ucznia, który w czytaniu, pisaniu i religii swego wyznania potrzebnėj nauki nie ma, obowiązany jest w celu

udzielenia mu takowéj, najmniéj godzin 6 na tydzień posyłać go do szkoły."

Według planu nauk zatwierdzonego przez b. Komisyą Rz. Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznegó z 18 stycznia 1817 roku przepisano naukę czytania, pisania, rachunków i rysunków zastosowanych do prostych rzemiosł. Ustanowiono 2 oddziały. Dnia 9-go października 1819 r. wydaną została ustawa dla uczniów szkół niedzielnych.

Rozporządzeniem Komisyi Rz. Wyznań Rel. i Ośw. Publ. do urzędu municypalnego miasta stołecznego Warszawy z 4 maja 1821 zabroniono wyzwalania terminatorów na czeladników, dopóki nie złożą egzaminu z odbytych nauk w szkole rzemieślniczo-niedzielnéj.

W r. 1834 Komisya Rz. Spraw Wewnętrznych, Duchownych i Oświecenia Publ. wydała zasady urządzenia szkoły niedzielnéj na prowincyi. W tém rozporządzeniu przypuszcza się urządzenie szkół z trzema oddziałami.

Taż Komisya w grudniu 1834 r. wydała nowe przepisy dla szkół rzemieślniczo-niedzielnych, w których ogólnie ustanawiają się trzy oddziały z odpowiednim programem nauk, wyznaczając dla trzeciego oddziału wykład technologii, chemii i mechaniki z przystosowaniem jéj do rzemiosł. W raporcie z 3 kwartału r. 1835 wymieniono w pięciu szkołach (wraz z Pragą) 1988 uczniów.

W październiku 1844 r. ogłoszoną została organizacya szkół rzemieślniczo-niedzielnych w Warszawie, zatwierdzona przez Radę Wychowania Publicznego. Szkoły podzielono na cztery oddziały, program nauk rozszerzony, a liczba szkół powiększona do 6-ciu, z 13 oddziałami; powiększono liczbę nauczycieli, wyznaczono opłatę od uczniów na kop. 22½ rocznie, oznaczono kary pieniężne na majstrów zaniedbujących wysyłania swoich terminatorów do szkoły.

Najwyżéj zatwierdzona Ustawa o Wychowaniu Publiczném w Królestwie Polskiém z d. 8 (20) maja 1862 r. poświęca rozdz. III urządzeniu szkół rzemieślniczo-niedzielnych i handlowych. Ustawa oddaje szkoły te pod opiekę dozorów szkolnych i magistratur miejskich, wskazuje pożytek dodania do lekcyi niedzielnych wykładów wieczornych, urządza 4 oddziały z odpowiednim dla każdego programem. W rozdziale IX ustanawia *Szkołę majstrów mularskich i ciesielskich*, mających się mieścić w budynku zajmowanym wówczas przez warsztaty gimnazyum realnego z odpowiednim programem z kursem zimowym i dodaniem lekcyi niedzielnych w miesiącach letnich dla przypomnienia tego, co w zimie wyłożono (szkoła ta, o ile wiemy, nigdy otwartą nie była). Pod dniem 16 (28) kwietnia 1863 Rada administracyjna Królestwa wydała zasady wewnętrznego

urządzenia szkół rzemieślniczo-niedzielnych. Według tych zasad miało być w Warszawie szkół jednoklasowych 3, dwuklasowych 3, trzyklasowych 4, czteroklasowych 2. Razem szkół 12-cie a 21 klas z wykładem w niedzielę, święta i po trzy razy w tygodniu wieczorem. Terminatorowie przyjmowani być mają do kl. 4 bezpłatnie, towarzysze zaś i czeladnicy za opłatą rs. 2 rocznie. Przepisy te ponawiają obowiązek majstrów zapisywania terminatorów do szkoły i oznaczają kary pieniężne na zaniedbujących. Załączony jest etat szczegółowy tychże szkół.

Obecnie istnieje w Warszawie pod zawiadywaniem inspektora szkół m. Warszawy 13 szkół, klas 31, a mianowicie: 3 jednoklas., 4 dwuklas., 4 trzyklas., 2 czteroklasowe. Uczniów w r. 1880 było 5192, ukończyło kurs 449, wyszło przed ukończeniem 1276. Koszta utrzymania, ciążące kasę miejską z tego tytułu, wynosiły rs. 15755, czyli na każdą klasę przeszło rs. 500.

Pomimo usilnego starania municypalności i policyi znaczna część terminatorów uchyla się, bądź z własnéj winy, bądź z winy majstrów od uczęszczania do tych szkół, a z pomiędzy uczęszczających mała tylko liczba korzysta istotnie z nauki. Z pomiędzy terminatorów, którzy otrzymali poświadczenie o odbyciu kursu nauk w szkołach niedzielnych, a powinni byli otrzymywać takie świadectwo wszyscy, którzy pragnęli się wyzwolić na czeladników, rzadko który umie podpisać swe imię i nazwisko. Rachunki robót, przedstawiane przez pp. majstrów, wykazują dowodnie, jaki stopień nauki otrzymali w szkołach niedzielnych. Wielu terminatorów, którzy nawet ukończyli kurs szkolny, w dalszym czasie zapomnieli to, czego się byli nauczyli. Słowem, szkoły te przedstawiają faktyczne dowody małéj użyteczności szkół niedzielnych, jak o tém już powyżéj wspomnianém było.

Między rokiem 1860 a 1863 urządzone były bezpłatne wykłady wieczorne dla terminatorów i czeladników. Niektóre wykłady były z początku bardzo licznie uczęszczane, lecz w dalszym ciągu coraz mniéj liczyły słuchaczy. Wreszcie wykłady bezpłatne zostały zamknięte.

Około r. 1870 w czasie zimy urządzano odczyty publiczne dla rzemieślników za opłatą 10 groszy za wejście. Odczyty te, zrazu bardzo gromadnie uczęszczane, wkrótce niewiadomo dla jakich przyczyn zupełnie zostały zaniechane.

Pierwszą u nas szkołę rzemiosł założono w r. 1817 w Instytucie Głuchoniemych w Warszawie. Jest-to zapewne jedna z najpierwszych w Europie. Urządzenie warsztatów w tym Instytucie, istniejące od przeszło 70 lat, przedstawia tyle zajmujących i nauczają-

cych danych, że zamieszczamy tu w całości szczegóły tyczące się tego przedmiotu, udzielone nam w r. 1883 przez kierującego niegdyś Instytutem J. Papłońskiego, któremu zakład ten zawdzięcza świetny swój rozwój.

„Warsztaty i pracownię żeńską zaprowadzono w pierwszym roku istnienia Instytutu, t. j. w r. 1817. Zastałem w r. 1864, przy przejściu Instytutu pod zarząd b. Komisyi Oświecenia następujące.

W oddziale głuchoniemych :

a) szewctwo męzkie,
b) krawiectwo,
c) stolarstwo,
d) tokarstwo,
e) introligatorstwo,
f) pracownię żeńską do szycia ręcznego i haftu.

W oddziale ociemniałych :

a) koszykarstwo,
b) robótki kobiece.

Po roku 1864 wprowadzono w oddziale głuchoniemych :

a) szewctwo damskie,
b) ślusarstwo,
c) rzeźbiarstwo z kamienia i drzewa,
d) drzeworytnictwo,
e) drukarstwo,
f) drugą pracownię żeńską do szycia na maszynie.

W oddziale ociemniałych :

a) powroźnictwo,
b) szczotkarstwo.

Liczba uczniów w każdém rzemiośle :

	1) w krawieckim	24
	2) w szewckim męzkim i damskim	24
	3) w introligatorskim	18
	4) w stolarskim	26
	5) w ślusarskim	5
	6) w tokarskim	2
	7) w drukarni	8
	8) w rzeźbiarni	8
	9) w drzeworytni	7
U ociemniałych w warsztatach ci sami uczniowie uczą się wszystkich trzech rzemiosł.	10) w powroźniczym	19
	11) w szczotkarskim	18
	12) w koszykarskim	19
	13) pracownia żeńska głównie ręczna	84
	14) „ „ na maszynie	7
	15) „ „ ociemniałych	10

Uczniowie, synowie obywateli ziemskich, po ukończeniu nauk, pracują w gospodarstwie rolném; ubożsi wszyscy są rozmieszczeni po warsztatach w miastach i wszyscy z tego tylko się utrzymują. Dziewczęta zarabiają pracą ręczną po domach prywatnych lub w zakładach rękodzielniczych. Ociemniali głównie utrzymują sie z muzyki; rzemiosłami zajmują się tylko w adwencie i wielkim poście, bo wtedy zarobek z muzyki ustaje.

Uczniowie drukarscy po ukończeniu nauk pozostają w drukarni przez lat 5 i uzyskują tytuł towarzyszy sztuki drukarskiéj. Dziewczęta pozostają w pracowni, po ukończeniu nauk tak długo (lat 2 i 3), dopóki się nie wydoskonalą w rzemiośle.

Ociemniali wyuczają się dokładnie rzemiosł w stopniu odpowiednim ich kalectwu, ale głuchoniemi pozostają po ukończeniu nauk tylko przez rok jeden w warsztatach Instytutu i następnie przechodzą do majstrów w mieście, u których terminują przez rok, dwa i trzy, stosownie do rzemiosła, i tam się wyzwalają. Przez czas nauki w Instytucie pracują w warsztatach po 2 godziny codziennie, a w czasie wolnym od nauk (w galówki, dnie przed- i poświąteczne, wakacye) po 7 godzin dziennie.

Instytut nie zatrzymuje chłopców dłużéj u siebie i nie wyzwala, bo z wyjątkiem drukarni, prawo wyzwalania mu nie przysługuje. A chociaż łatwo byłoby o nie się wystarać, nie możemy dać wychowańcom wszechstronnéj znajomości rzemiosła, bo nie mamy rozmaitości robót."

Ze sprawozdania Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych za rok szkolny 1878/9 wyjmujemy następujące dane, odnoszące się do nakładów ponoszonych na naukę rzemiosł i do zysków stąd osiąganych.

Rozchód na utrzymanie warsztatów wynosił w roku 1878	rs. 2243	kop. 12
Dochód	„ 1819	„ 07
a zatém niedobór	rs. 424	kop. 05.

Niedobór ten powstał według objaśnienia (ad 4 str. 365) z powodu nieściągnięcia należności od dłużników w ogólnéj sumie rs. 1000, co wykazuje rachunek z roku 1879; właściwie więc zysk wynosił rs. 575 kop. 95. Daléj zaś czytamy (ad 5 str. 366): „Do dochodów z warsztatów należy dodać sumę za roboty wykonane dla samego zakładu, a mianowicie razem rs. 6561 kop. 14½. Dodając do tego wyżéj wymienioną sumę rs. 575 kop. 95 otrzymujemy sumę 7137 rs. 9½ kop., jako zysk z warsztatów osiągnięty w r. 1878/9."

W sprawozdaniu za r. 1879/80 czytamy:

„Rozchód na utrzymanie warsztatów. . . rs. 2554.40,
Wykonano ogółem robót za. . . . . . . „ 10378.94.
a zatém zysk wynosi rs. 7822.54.

W wydatkach nie jest objęty koszt lokalu na warsztaty, znajdującego się w gmachu Instytutu. Przypuścić również należy, że do rozchodów nie policzono kosztów administracyi, nadzoru i t. p. Nie wiemy też, czy mieszczą się tu rozchody na opał i światło. Pomimo tego jednak niewątpliwém jest, że dobrze prowadzone warsztaty rzemieślnicze dla nauki przy szkołach nie tylko nie wymagają nakładów (oprócz w pierwszych latach przygotowawczych), ale przynosić mogą zyski, służyć mogące bądź do pokrycia wydatków na szkoły, bądź też dla zaoszczędzenia sum na zasiłki dla uczniów po ukończeniu szkoły.

Zatrzymaliśmy się na tém miejscu dłużéj nad przedmiotem kosztów, bo bardzo rozpowszechnione i w pismach publicznych przez osoby, z przedmiotem nieobznajmione, rozszerzane mylne pojęcia odstraszają od zakładania szkół warsztatowych osoby, które pragnęłyby rozpowszechniać te użyteczne zakłady obawą, że dostatecznych na utrzymanie szkół nie znajdą funduszów.

Drugą instytucyą, w któréj uczenie rzemiosł zaprowadzono, był Dom Schronienia Starców i Sierot dla starozakonnych w Warszawie. Założono w tym Domu warsztaty tkackie dla wyrobu płatów wełnianych dla fabryk cukru, przy których pracowali starcy i sieroty. Warsztaty jednak się nie opłacały i wkrótce zostały zwinięte. Sieroty (chłopcy) uczyli się również szewctwa i krawiectwa. Przy niedołężném jednak kierownictwie warsztatów korzyści z nauki były bardzo małe. Dopiéro od r. 1879, po objęciu zarządu zakładu przez p. H. Reichmana a następnie p. Michała Bergsohna, warsztaty, prowadzone przez dobrych majstrów (chrześcian), znakomicie się rozwinęły. Uczniów szewckich z pomiędzy sierot pozostających w zakładzie jest 14, krawców 18. Uczniowie w krótkim czasie znaczne robią postępy i wyroby ich, przeważnie dla samego zakładu przeznaczone, stanowią znaczną dla tegoż oszczędność.

W zakładzie dla sierot przy Warszawskiém Towarzystwie Dobroczynności założono w r. 1872 dwa warsztaty naukowe szewctwa i krawiectwa, których urządzenie kosztowało na 30 uczniów około 360 rs. już z restauracyą lokalu. W r. 1880 uczyło się 30 elewów, t. j. 15 szewctwa, 15 krawiectwa. Zrana słuchają oni lekcyi w szkole, a po południu od 2 do 7 wieczór uczą się rzemiosł powyższych.

Dziećmi najstarszemi z pomiędzy sierot, bo od lat 12 do 13-stu, wybranemi w liczbie 15, na warsztatach krawieckich wykonywa

się przy pomocy nauczyciela krawiectwa 100 garniturów letnich i 90 zimowych sukiennych dla zakładu, co rocznie przynosi zysku za te roboty . . . . rs. 117 kop. 50.
Reparacye ubrania w zakładzie oblicza się na . . „ 75 „ —.
Razem rs. 192 kop. 50.

Nauczyciel krawiectwa ma pensyi rs. 200 rocznie i mieszkanie.

Warsztat szewcki robi obówia par 320, co czyni . . rs. 160.
Reparacya i zylowanie butów oblicza się na . . . . „ 75.
Razem rs. 235.

Nauczyciel szewctwa ma taką samą pensyą jak krawiectwa.

Z obliczenia powyższego pokazuje się, że szkółka rzemieślnicza przy zakładzie opłaca się, chociaż takim drobiazgiem jest obsługiwaną. Korzyść zaś jest dla dzieci tém większa, że za młodu przyzwyczaja do pracy te dzieci, które są li tylko do rzemiosła przeznaczonemi, a które z początkami profesyi idą do terminu. (Wiadomość udzielona przez p. Juszczyka, opiekuna szkoły).

W zakładzie Towarzystwa Osad rolnych i przytułków rzemieślniczych w Studzieńcu, stosując się do zasady umoralnienia przez pracę, założono warsztaty rzemieślnicze, obok elementarnéj nauki szkolnéj. Postanowiono dzieci miejskie kształcić w rzemiosłach, wiejskie zaś w rolnictwie, ogrodnictwie i t. p. zatrudnieniach w związku z rolnictwem zostających (Rocznik Tow. Osad Rol. za rok 1875, str. 11).

W roku 1878 czynne były warsztaty: stolarski, kołodziejski, krawiecki i szewcki. Wartość wyrobów (bez materyału) wynosiła:

w warsztacie stolarskim . .	rs.	975	kop.	77
„ kołodziejskim .	„	438	„	70
„ krawieckim . .	„	205	„	74
„ szewckim . .	„	117	„	—
Razem	rs.	1737	kop.	21.

Wyroby stolarskie i kołodziejskie, wysłane na wystawę, urządzoną w listopadzie 1878 r. przez Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, zyskały uznanie i list pochwalny.

Uczących się było:

w warsztacie stolarskim . . .	34
„ kołodziejskim . .	21
„ krawieckim . . .	25
„ szewckim . . .	3
Razem .	83

W roczniku tegoż Towarzystwa za rok 1879 znajdujemy obszerniejsze dane, odnoszące się do warsztatów (str. 35). Uczących się było:

stolarzy	42
kołodziei	31
krawców	21
szewców	6
Razem .	100 (tamże str. 49).

W roku 1880 założono warsztat kowalski.

Instytucya Studzieniecka ma skład swoich wyrobów w Warszawie i cieszy się obfitym ich zbytem.

W roku 1879 otwartą została za inicyatywą prywatna Szkoła trzyklasowa męzka z nauką rzemiosł, utrzymywana przez b. nauczyciela gimnazyum i nadzorcę Szkoły czteroklasowéj Rzemieślniczo-Niedzielnéj r. st. Józefa Łapińskiego.

Szkoła ta urządzoną została w zastosowaniu się do Najwyżéj zatwierdzonéj *Ustawy dla szkół miejskich*, obejmuje trzy klasy, każdą z kursem dwuletnim. W pierwszych dwóch klasach uczniowie, stosownie do uznania zarządu szkoły, mogą być promowani po upływie roku do następnéj klasy, w trzeciéj zaś klasie uczeń dla jéj ukończenia pozostawać powinien przez lat trzy. Szkoła ta otrzymała dar od ś. p. Rapackiéj w sumie rs. 14,000, przeznaczony na zawiązek kapitału na wybudowanie domu własnego dla szkoły rzemiosłowéj. Do czasu odpowiedniego zużycia tego kapitału, powierzonego do zarządzania Warsz. Towarzystwu Dobroczynności, procenta obracane są na wsparcie uczniów do szkoły uczęszczających. W ostatnim czasie zakład ten otrzymał od osoby nieżyczącéj sobie być wymienioną, dar rs. 12,000 na tenże cel przeznaczony.

W roku szkolnym 1880—1881 zapisało się do tejże szkoły uczniów 118. Z ostatniego sprawozdania za rok szkolny 1886/7 dowiadujemy się, że liczba uczniów wynosiła 170 (ślusarzy 101, stolarzy 26, szewców 18, w oddziale początkowym bez stałego zajęcia rzemiosłowego 25). Rozchód wynosił rs. 10429 kop. 70½, dochód (ze sprzedaży wyrobów około rs. 600, z ofiar rs. 459.89, z wpisu od uczniów rs. 6488.50) rs. 7530.81. Niedobór pokryły ofiary osób opiekujących się szkołą.

Od roku 1885 szkoła przeniesioną została do domu N. 53 przy ulicy Złotéj. Po zgonie ś. p. Łapińskiego szkole téj przewodniczy p. Jerzy Kühn.

Jednocześnie z założeniem powyższéj Szkoły rzemiosłowéj otworzono za inicyatywą prywatną i z ofiar dobrowolnych warsztaty rzemiosłowe przy szkołach początkowych gminy starozakonnych w Warszawie. Warsztatów urządzono cztery, dla nauki krawiectwa, szewctwa, stolarstwa i ślusarstwa wraz z kuźnią. Warsztaty te mieściły się w dwóch lokalach, z których jeden obejmował war-

sztaty krawieckie i szewckie, drugi stolarskie i ślusarskie. Nauka jest bezpłatna i prowadzona przez majstrów wykwalifikowanych (chrześcian), w godzinach poobiednich od 3 do 7. Przedpołudniowe godziny uczniowie przebywają w szkołach elementarnych lub religijnych gminy.

Koszt urządzenia tych warsztatów wynosił rs. 1267, na materyały do wyrobów wydano rs. 283, inne wydatki jakoto: koszt lokalów, pensye dla majstrów, opał, światło i drobne wydatki wynosiły rs. 2332. Razem wydatek pierwszego roku wynosił rs. 3882. Materyały zużyte zostały częścią na wyrobienie przedmiotów dla warsztatów potrzebnych, jakoto szafek, narzędzi, stołów dla krawców, stołków skórą obijanych dla szewców, częścią znajdują się w wyrobach. Wyroby sprzedane (szczególniéj szewckie) przyniosły zysku około rs. 100.

Uczniów było:

w oddziale szewckim . . .	48
" krawieckim . .	36
" ślusarskim . . .	16
" stolarskim . . .	6
Razem . .	106

W roku następnym powiększyła się liczba uczniów do 120, a większéj liczby zgłaszających się kandydatów, szczególniéj do warsztatów szewckiego i krawieckiego, z powodu szczupłości lokalów przyjąć było niepodobna. W r. 1886 w lipcu przeniesiono wszystkie warsztaty do domu N. 28 przy ulicy Śliskiéj, gdzie urządzono zarazem warsztat szczotkarski i blacharski. Na rok ten liczba zapisanych uczniów wynosiła 373 (ślusarzy 103, szewców 94, krawców 93, szczotkarzy 31, stolarzy 25, blacharzy 27). Stale uczęszczających było mniéj, a w półroczu letniém liczba stałych zeszła do 153.

W r. 1887 w lipcu urządzono warsztaty na Pradze, ślusarski i szewcki, które razem obejmują uczniów 45. Razem więc w warsztatach gminy uczy się chłopców około 200. Dzieci to najbiedniejszych rodziców, z powodu trudności wyżywienia często po kilku miesiącach nauki pomieszczają się u majstrów, chociażby dla małego zarobku.

I w tych szkołach uderzającą jest łatwość uczenia się rzemiosł przez niedorostków wobec przyjętéj metody pedagogicznéj. Po 3—6 miesiącach nauki, pracując 4 godziny dziennie przez 5 dni w tygodniu, dzieci wyuczały się wcale porządnie i dokładnie szyć odzież i buty, obchodzić się z heblem i piłą, albo też z młotkiem i pilnikiem. Znawcy rzemiosł przyznają, że dla osiągnięcia takich rezultatów w nauce terminatorskiéj kilku lat potrzeba by było.

Ze szkół fachowych mamy do zaznaczenia Szkołę Krawiecką, założoną w Warszawie za oddzielném upoważnieniem; w r. 1880 szkoła ta zostawała pod kierunkiem Spółki Zjednoczonych Krawców i obejmowała oprócz nauki fachowéj i wykład przedmiotów naukowych mniéj więcéj w zakresie szkoły miejskiéj. Pomimo silnego poparcia ze strony osób znakomitych i zamożnych i pomimo czasowego zamknięcia oddziału krawców w szkole rzemiosłowéj, istniejącéj wówczas przy ulicy Jasnéj, bardzo mało zgłosiło się kandydatów, a przed kilkoma laty szkoła została zamkniętą.

Bardzo poważne zakłady nauki rzemiosłowéj stanowią szkoły techniczne przy kolejach żelaznych Warszawsko-Wiedeńskiéj i Nadwiślańskiéj. Nie spotkaliśmy się ze sprawozdaniami z tych szkól i dla tego szczegółów liczebnych o nich podać nie możemy. Na wystawach oglądać było można roboty uczniów tych szkół, rysunki i wyroby, które wysokie dają wyobrażenie o dotychczasowém ich prowadzeniu. Wiemy również o wykształceniu techniczném niektórych uczniów, którzy z tych szkół wyszli. Szkoły te są przepełnione i przyjmują wyłącznie dzieci oficyalistów, pracujących na kolejach żelaznych.

Specyalnością obu tych szkół jest robota ślusarska z dążeniem wyrobienia maszynistów i mechaników.

Od czasu do czasu w pismach publicznych znajdują się wzmianki o oddzielnych szkołach fachowych na prowincyi.

Dawniéj w Mostkach (pow. Sandomierski), dziś w Korytnicy (pow. Stopnicki) w dobrach hr. Potockiego prowadzoną jest szkoła koszykarska. Nauka jest bezpłatna. Uczniowie przyjmują się na utrzymanie za opłatą rs. 6 przez 3 miesiące, w czwartym miesiącu płaci się tylko rs. 1 za utrzymanie. Wartość roboty ucznia po 4 miesiącach ocenianą jest na rs. 5 miesięcznie Nie wiadomo, czy obok nauki koszykarstwa prowadzoną jest nauka szkolna.

Czytaliśmy również wzmiankę o szkole rękawiczniczéj dla dziewcząt wiejskich w okolicach Turka pod Kaliszem. Tu również nie wiadomo, czy wykłada się przytém nauka elementarna.

Przez kilka lat istniała przy ogrodzie pomologicznym w Warszawie szkoła ogrodników, z funduszów prywatnych utrzymywana, obecnie zamknięta.

Przy Muzeum Pszczelniczem na Koszykach odbywają się wykłady i ćwiczenia praktyczne dla nauki pszczelnictwa i ogrodnictwa.

Ze szczodrego zapisu śp. Konarskiego, przeznaczonego na założenie i prowadzenie szkoły rzemiosł, będącego obecnie w zawiadywaniu p. Kuratora Okręgu Naukowego Warszawskiego, otwartą została szkoła na Nowém-Mieście, a ma być zbudowany dom dla téj

szkoły przeznaczony. Dotychczas nie ogłoszono programu nauk ani sprawozdania z tego zakładu.

Od czasu do czasu czytamy w pismach ogłoszenia o szkołach rękodzielniczych dla kobiet, których kilka istnieje dotąd, inne po krótkiém trwaniu zostały zamknięte.

Jedną z najdawniejszych jest, dotychczas pod kierunkiem pani Gabriel, wzorowo prowadzona prywatna szkoła koronkarstwa, któréj wyroby, wielokrotnie na wystawach publicznych przedstawiane, powszechne zyskiwały uznanie. Sprawozdań o téj szkółce nie spotykaliśmy.

Bardzo poważny, obszerny zakład przedstawia Szkoła Rzemiosłowa dla kobiet, założona i utrzymywana przez hr. Platerównę w domu umyślnie na ten cel przez założycielkę wybudowanym.

Program szkoły nie jest nam bliżéj znany, nie mamy téż statystycznych danych. Z ogłoszeń po pismach codziennych spotykanych wiemy, że liczba uczennic jest znaczna, prowadzenie szkoły wzorowe—wyroby również na wystawach publicznych przedstawiane, przez znawców wysoko były cenione.

Z artykułu d-ra W. Lewickiego w Kuryerze Warszawskim (N. 1 z r. b.) dowiadujemy się o znaczném rozwinięciu nauki rzemiosłowej w Galicyi. Energiczne starania w tym kierunku rozwinął tam ś. p. Zyblikiewicz już od r. 1876. Dziś oprócz Akademii Technicznéj w Krakowie i szkoły dla przemysłu artystycznego we Lwowie istnieje 15 szkół wieczornych dla terminatorów w większych miastach Galicyi, cztery szkoły tkackie (w Błażowie, Korczynie, Krosnie i Kosowie); sześć szkół dla przemysłu drzewnego, dwie szkoły garncarstwa, dwie szkoły koronkarstwa. Razem 33 szkoły mające 3628 uczniów i uczennic. W r. z. koszt utrzymania tych szkół wynosił 84,113 złr., w tém jako dochody ze sprzedaży wyrobów 16,097 złr. Zapowiadają otwarcie kilku nowych szkół.

Przy ustalonych dziś pojęciach o konieczności kształcenia rzemieślników i w przypuszczeniu, że ludzie dobréj woli w miastach i po wsiach zechcą poprzéć tę sprawę u nas, pozwolimy sobie, kończąc pracę niniejszą, załączyć kilka uwag praktycznych, wynikłych z badania tego przedmiotu i dziesięcioletniego doświadczenia w kilku tutejszych zakładach.

Rozmaite są sposoby pomagania rzemieślnikom w kształceniu się i uczeniu rzemiosła.

1. *Szkoły niedzielne i wieczorne* dla terminatorów i czeladników. Pomimo niedostatków takich szkół, które powyżéj wyłuszczyliśmy, potrzebne one są jeszcze dla następujących powodów:

a) Nie wszystkie dzieci mogą uczyć się rzemiosła w warsztatach szkolnych, z powodu ubóstwa rodziców, którzy nie są wstanie żywić i ubierać dorastające dzieci, nawet gdyby nauka rzemiosłowa w szkołach była bezpłatna lub niekosztowna. Oddając dziecko do terminu, chociażby na uciążliwych warunkach, pozbywają się ciężaru utrzymania dziecka.

b) Brak szkół rzemiosłowych zmusza do nauki terminatorskiéj i dzieci takich rodziców, którzyby chcieli i mogli utrzymywać dzieci w domu a nawet płacić za szkołę, témbardziéj, że i za przyjęcie do terminu często płacić im przychodzi.

c) Nie wszystkich rzemiosł można uczyć w warsztatach szkolnych, jak to już wyżéj wyłożyliśmy.

d) Szkoły niedzielne i wieczorne powinnyby służyć dla dalszego kształcenia terminatorów i czeladników, dla zapobieżenia temu, aby nie zapominali tego szczupłego nabytku naukowego, którego im w szkole niedzielnéj lub wieczornéj udzielono.

Byłoby do życzenia, aby szkoły uzupełniające oddzielnie były urządzone od początkowych terminatorskich, a przynajmniéj, aby wykłady odbywały się w osobnych godzinach lub oddziałach.

2. *Szkoły rzemiosłowe* właściwe, dla których typem przez władze naukowe wskazanym i przyjętym są szkoły miejskie trzyklasowe z warsztatami. Szkoły takie mogą otwierać osoby prywatne, towarzystwa, uznane przez władzę, gminy i magistraty miast. Budżet takiéj szkoły wynosi,stosownie do liczby oddziałów rzemiosłowych, od 6 do 8 tysięcy rubli rocznie. Część tych wydatków pokrywa się z opłaty od uczniów, inne części z dochodu ze sprzedaży wyrobów warsztatowych.

Przy dobréj administracyi warsztatów ostatni ten dochód może pokrywać niemal cały niedobór z prowadzenia szkoły i z niedostateczności opłaty szkolnéj pochodzący. (Wszelkich w tym przedmiocie objaśnień zasięgnąć można od p. Kühna, Przełożonego Szkoły Rzemiosł w Warszawie, obecnie przy ulicy Złotéj N. 53 istniejącéj).

3. *Warsztaty szkolne* bez szkoły klasowéj, przeznaczone dla nauczania systematycznego rzemiosła, zastępującego terminowanie. Uczniowie takich warsztatów pracujący w nich po 4 godziny dziennie pod kierunkiem dobrych majstrów i pod nadzorem odpowiedniego przełożonego (pedagoga, jeżeli można), w ciągu 6 do 12 miesięcy mogą nauczyć się rzemiosła o tyle ile terminator w ciągu 3—5 lat; w warsztatach tkackich wystarcza nauka cztero lub sześciotygodniowa. Uczniowie tacy mają przedpołudnie wolne i przez ten czas mogą uczyć się w szkole elementarnéj lub innéj. Pożądane są

dla nich lekcye rysunków. Utrzymanie takich warsztatów jest nierównie mniéj kosztowne aniżeli utrzymanie szkoły rzemiosłowéj. Można tu znacznie zniżyć opłatę od uczniów, a nawet żadnéj nie pobierać opłaty. Zrzekając się dochodu z wyrobów warsztatowych, można o wiele uprościć administracyą, oddając ją ugodzonym majstrom, którzy własnego dostarczają materyału, wyrób na swoje ryzyko przyjmują. W ten sposób prowadzone są warsztaty (bezpłatne) w Domu schronienia Gminy starozakonnych w Warszawie. Cały wydatek, po urządzeniu warsztatów, stanowi wtedy lokal, ogrzewanie, oświetlenie, posługa dla utrzymania czystości i w razie potrzeby opłata nadzorcy. Pożądane byłyby fundusze na opłatę dla uczniów w szkołach elementarnych, gdzie nie istnieją tego rodzaju szkoły bezpłatne, i na naukę rysunków, bardzo dodatnio wpływających na jakość wszelakiéj roboty warsztatowéj.

Tego rodzaju warsztaty naukowe, chociaż nie mogą zastąpić szkoły rzemiosł, zasługują jednak na rozpowszechnienie dlatego, że są dostępne dla gmin miejskich i wiejskich jakotéż dla pojedyńczych osób, nie rozporządzających większemi środkami. (Objaśnień szczegółów, odnoszących się do tego rodzaju warsztatów, udzielić może p. Meisler przełożony warsztatów dla nauki rzemiosł Warszawskiéj Gminy Starozakonnych, ul. Śliska 28).

Wybór rzemiosła, dla którego ma być założony warsztat, zależy w znacznéj części od stosunków miejscowych, i pożądaną byłaby w tym względzie rozmaitość. Młodzież najchętniéj garnie się do warsztatu ślusarskiego, uważając ten zawód niejako za wyższe rzemiosło, pokrewne z zawodem mechanika i jako dające przystęp do fabryk. Baczyć należy, aby nie przyczyniać się do przepełnienia w danem rzemiośle, i zniżenia tém samém widoków korzystnego zarobkowania.

Odpowiednie kształcenie rzemieślników jest najlepszym środkiem usunięcia przeciwieństw wyradzających kwestyą socyalną (Huxley).

Dr. Ludwik Natanson.





Z ZAWIĄZANEMI OCZYMA.

OBRAZ Z ŻYCIA KRAINY PODKARPACKIEJ.

W ciasnéj, zadusznéj izbie, na pół ciemnéj, do któréj światło słoneczne tylko słabo przedzierać się mogło, siedział nad igłą pochylony stary Nuchim Tauber, szyjąc z coraz większym pośpiechem. Szył on wczoraj, szyje dzisiaj, będzie szył jutro, szyje tak już lat całe dziesiątki. Zgarbiony, wrósł prawie do siedzenia, wypatrzył oczy swoje, które dziś niedomagają.

Mimo to nie może podołać potrzebom licznéj swéj rodziny, która jeść woła. Miał bowiem sześciu męskich, a pięciu żeńskich potomków. A tylko najstarszy syn miał chléb własny, pracując w kancelaryi adwokackiéj pana Rozenkranca, reszta była na chlebie jeszcze ojcowskim. Byłoby więcéj tego, gdyż błogosławieństwo niebios hojnie nań pod tym względem spadało, lecz nie jednéj jesieni i niejednéj wiosny powietrze zkądsiś naniosło jakąś chorobę, która mu czasem jedno, a czasem dwoje z chaty zabierała.

I wynoszono to po cichu, w nocy, z pośpiechem, czasem z łkaniem jego połowicy, czasem bez łkania.

Mimo to zostało jeszcze jedenaścioro.

Dwojga czy trojga nieco starszych używali krewni i znajomi do wysługi po sklepach, lecz zapłata ich była tego rodzaju, że większa połowa ciężaru spadała na pana Nuchima i panią Esterę.

Kobiecina ta, sucha jak szczypa, z licem wywiędłém, na wszystkie strony pofałdowaném, od rana do wieczora w ciągłych była tarapatach. Jedno z jéj dzieci przy piersiach wisiało matczynych, drugie trzymało się końca spódnicy, inne podnosiły ciągle oczy na starą, czy rychło już naleje na miskę jakiéj beltochy: one przecież tak długo czekają. A choć matka miała oczy, podobne staréj kwoce, któréj wzrokowi najmniejsze nie ujdzie ziarnko, choć nic nie

opuściła, coby się zkąd podjąć jeno dało, a obrócić na potrzeby domostwa,—mimo to zaspokoić wszystkich żołądków nie mogła. Siekała, drobiła, to znów przystawiała do ognia, odstawiała, rozrzedzała wodą, miasto okrasy dodając zebraną pozłotę, słowem, czyniła, co mogła, by najmniejszém jak najwięcéj gęb obdzielić.

— Nu, czy on dziś przyjdzie?—odezwał się stary.—Kiedy mój Ruben przychodzi... mnie jakoś wtedy lepiéj... Taki dobry syn!

Na słowo „Ruben“ podniosły się wszystkie dzieci, i powstał ruch niejaki między tym drobiazgiem, jak między gromadką wróbli, kiedy widzą już rękę, która rozsypuje im ziarno.

— Nu, gadaj im stary o Rubenie—dodała matka—oni wtedy dadzą mi spokój...

— A jak ja mam im gadać, skoro ja szyć muszę... Ja tak sobie tylko prawię, gdyż wtedy snadniéj idzie mi robota... A ty wiész, moja Ester, ile to Nuchim pobrał naprzód! Nuchim śpieszyć się musi, żeby odrobił... bo co będzie czynił, jeśli późniéj nie dadzą?

— Aj, aj, ty ciężko biedujesz, Nuchim—ozwała się stara matka z za przypiecka—i ona, moja córka, dziś bieduje... a jeszcze mnie wam starą żywić przychodzi...

— Nu, ty nie gadaj tego, matko—rzekł szyjący—czy Nuchim kiedy narzeka? czy ona narzeka, moja Ester?...

— Ty dobry zięć, ty nigdy nie narzekasz... Ale ja widzę... ty ciężko pracujesz... ty oczy wyszyjesz, abyś nakarmił tyle tu tego... Ja ciebie bardzo żałuję... bo dzisiaj ciężkie czasy. Za moich było inaczéj... Oj, lepsze były wtedy czasy, gdy ja z *moim* siedziała na młynie!.. Jak to wtedy było dobrze!.. I państwo mieli się lepiéj—i żydom było lepiéj! Dobrzy to byli moi-ci państwo!.. Ja ich zawsze wspominam.

— Co z tego, kiedy was potém wygnali z waszego domu!...

— Ale nie oni! nie oni!... To ten posesor, co i ich potém oszukał! Ten i nas wygnał... Bodaj go!... Żeby to moi dawni państwo byli żyli, jaby siedziała do dziś dnia na tym młynie... Ja tam się urodziła... tam wychowała... a dziś inny tam siedzi... ja zaś tutaj muszę wam być ciężarem!... I wam byłoby lepiéj, gdyby ja więcéj miała... Ty pracujesz, mój Nuchim, a długi na was spadają jedne po drugich: bo kto-ci to w stanie tyle tego wyżywić!..

I tu westchnęła.

— Ej, nie będzie tak źle, matko. Mój Ruben ma łaskę u Boga i u ludzi... On wyjdzie na człowieka... Nu, wtedy i nam będzie lepiéj!... Nuchim stary może tego nie dożyje, ale dzieci jego dożyją...

Tu starowina podniosła oczy do góry, jakby prosząc Boga, by się to ziściło.

— Nu, on jest w dobréj kancelaryi—odezwała się pani Nuchimowa, zajęta koło swéj kuchni.—Pan Rozenkranc to przecież *morejne*... to bogacz!... On naszego Rubena nauczy, że się stanie potém takim, jak on sam... Nu, mój Nuchim posyłał do szkoły chłopca... od gęby sobie odejmował, a dawał na niego...

— Ha! niech choć jedno z moich dzieci wyjdzie na ludzi, to i tamtym drugim będzie lepiéj!... Bóg wielki! A tymczasem trzeba nam modlić się i czekać... Ja będę pracował i czekał.

I szył daléj z większym pośpiechem, natężając wzrok swój słaby, bo oczy jego, chociaż świeciły, jak oczy u innych ludzi, lecz przyzwyczajone patrzéć w kierunku tylko igły i w oddaleniu igły, odmawiały mu nieraz przysługi. I tak np. gdy mu czasem przychodziło w jakiéj sprawie iść ulicą, wówczas kroczył, jak gdyby tu to tam macał po omacku... a że mimo to wszędzie trafiał, gdzie było potrzeba, ztąd pochodziło, iż w mieście tém samém, na téj saméj ulicy i w tym samym domu, przebywał już lat kilkadziesiąt:—mógł zatém zamknąć oczy—i również trafiłby, gdzie mu zajść było potrzeba. Pan Nuchim kroczył tak samo w nocy, gdy mało gdzie migała jaka latarnia, jakby to było w dzień przy jasném świetle słoneczném.

A musiał-ci on często wychodzić, gdyż jako krawcowi przychodziło mu, tu wziąć miarę, tam znów trzeba było przymierzyć pofastrygowaną co dopiero suknię, owdzie poszłapać po zapłatę, jeśli mu odrazu nie wyliczono. Ale często musiał on odrabiać grosz naprzód wzięty. Nieraz bowiem zarobek, który miał mu przypaść z poczętéj co dopiero roboty, dawno był już strawiony w żołądkach dziecięcych. Stary, choć dzień i noc pracował, a połowica jego, choć łupinki z cebuli ni ziarnka krupy na ziemię nie upuściła,—choć oboje wraz z całą swą rodziną ledwo co dychali: mimo to były tam długi.

Litościwi współwyznawcy, potrzebujący igły starego, i ci insi, nie należący do plemienia pana Nuchima, dawali mu nieraz naprzód, a dzieci jego prędzéj trawiły, niżeli ojciec naszyć i nafastrygować wydołał.

Miał téż i łaskę i niemałe wsparcie u pana Dawida Rozenkranca, gdzie syn jego Ruben był dependentem w kancelaryi tego adwokata. Choć pan Rozenkranc nie potrzebował już tak bardzo igły takiego rzemieślnika, jakim był Nuchim, gdyż jako człowiek, mający do czynienia w sferach bardziéj modnych, również modnych, jak sam mówił, i sukien musi używać: dawał jednak uboższemu żydowi robotę, mając litość nad liczną krawca rodziną, albo téż może wskutek solidarności plemiennéj, jak chcieli starowiercy, nie opuszcza-

jący z liczby swoich również i adwokata, noszącego się po francusku i żyjącego z panami, a grafami. Złośliwi zaś i bardziéj podejrzliwi mawiali, że pan Rozenkranc czyni to tylko dlatego, że pan Nuchim również dobrze robi suknie, a nieco może taniéj, niżeli inni, co grubsze rachunki układać potrafią.

Atoli była to złośliwość, jak zwykle u ludzi; gdyż pan Dawid Rozenkranc nie potrzebował się tak bardzo rachować z pieniędzmi, jako pan Nuchim Tauber. Mecenas nie wstawał przecież, jak tamten, do zarobku, skoro świt, lecz jak równi jemu, dobrze już po ósméj godzinie, ubierając się do dziewiątéj, — oprócz tego nie zasiadał do takiéj roboty, do którejby się aż garbić potrzebował; pan Rozenkranc pracował, leżąc sobie z wygodą na sofie, z gazetą w ręku, lub przeglądając z cygarem w uściech papiery swoich klientów. Nie potrzebował również, jako pan Nuchim, szłapać po błocie, by któremu z „kundmanów“ wziąć miarę: pan Rozenkranc brał ze swoich wprawdzie miarę, i to gruntowniéj może zmierzył kieszeń niejednego, ale ci ludzie po to sami doń przychodzili,— a nawet lepiéj nieraz obkroił niejednego z klientów swoich, zrzuciwszy zeń płaszcz szeroki, a odziawszy go potém w kusą kurtkę, lecz za to już zapłaty nie wymagał.

Pani Rozalia Rozenkranc również nie była skromnéj tuszy pani Estery. Wspanialsza jéj postać, i szersza a dłuższa suknia, nie pozwoliłyby nawet na taką szastaninę, jak u żony pana Nuchima; zresztą ona się wcale kuchnią, ani dziećmi nie zajmowała. Nie miała ich bowiem jedenaścioro. A choć tu nie mieszkano w jednéj izbie ciasnéj, lecz przeciwnie do ich rozporządzenia było siedm apartamentów, z gustem i wszelkiemi wygodami urządzonych,—mimo to obszerne owo mieszkanie prócz obojga rodziców zamieszkiwała tylko jedna ich córka. Panna Malcia potrzebowała jednak dla swojéj osóbki więcéj miejsca, niżeli wszystkie jedenaścioro ubłogosławionéj w potomstwo rodziny Nuchimów.

II.

Mecenasowi dano znać, że dwaj czekają panowie, którzy w ważnym przyszli interesie. Kazał prosić, a ujrzawszy pana Michała Dulębę i pana Ernesta Szmidzickiego, podskoczył z grzecznością, zawoławszy:

— Witam moich panów... Jak jestem szczęśliwy!

Lecz obaj ci panowie nie dali mu dokończyć, dlaczego takim był szczęśliwym z ich widoku; rzekli też czemprędzéj:

— I my również, że do pana możemy się udać.

— Proszę, bardzo proszę... Wszystkiém, czém tylko służyć mogę... moim panom...

— Nie o nas tu chodzi, łaskawy panie — rzekł Ernest Szmidzicki, usadowiwszy się na miękkiéj sofie. — Mybyśmy pana o nasze sprawy wcale nie trudzili... ale gdzie chodzi o sprawy publiczne— —

— A tak?... Wszystko wówczas na bok — dodał z namaszczeniem pan Rozenkranc. — Rozumiem.

— Pan wiesz, jaki dziś rumor w mieście?

— I jakie tam bo, panie, zbierają się koła a kółka — dodał pan Dulęba.

— Ah! czyliż nie wiem!... Tyle krzyku! tyle zabiegów!... taki ogrom prywatnych interesów!... Każdy chciałby upiec tu dla siebie pieczeń...

— Otóż więc chodzi właśnie o to, ażeby dla siebie nie upiekli pieczeni, bo to sprawa przecież publiczna — ozwał się pan Dulęba.

— Ma się rozumiéć... gdy chodzi o sprawę publiczną, wszystkie inne idą na stronę.

— Ot, widzisz, kochany panie Dulęba, że pan Rozenkranc, jakem ci mówił, podobnie jak my na sprawę się zapatruje.

— Ja trzymam zawsze z „naszymi".

Dulęba popatrzył się, a pan Rozenkranc dodał: — Przecież z motłochem trzymać nie będzie Dawid Rozenkranc?...

— Więc pan jesteś za kandydatem narodowym?

— A jakbyś pan dobrodziéj sądzić mógł inaczéj?... Wszak Rozenkranc nie będzie za jakimś tam... Rebe Chaim Licht...stern?...

— Starowiercy stawiają tego człowieka na swojego kandydata — rzekł pan Dulęba.

— Co z tego!... Ale my... my przecież postawimy „naszego".. Co tam taki Rebe Chaim!.. Przecież chałatowy nie będzie reprezentował naszego miasta w parlamencie stolicy?... On zna *Misznę* i *Gemarę*... lecz co taki człowiek może miéć za wyobrażenie o potrzebach kraju, o sprawie narodowéj!... My przecież... my Polacy— rzekł z dumą — nie będziem wybierali żyda?...

— Wykształconego... czemużby nie? — rzekł, jakby tylko dla odwzajemnienia się, pan Dulęba. — Nigdy jednak takiego, który chodzi w chałacie, chociażby i atłasowym...

— Ja też nie mówię o wykształconych... o inteligencyi izraelickiéj. Kto chce do niéj należéć, musi wpierw zostać polakiem... Ja to tak tylko rozumiem...

— A ja panu nie mówiłem, panie Dulęba?... Pan Rozenkranc całą duszą nasz!...

— I całém sercem... Bom ja to wyssał już z piersi macierzyńskiéj... tego ducha ojczystego—dodał pan Rozenkranc patetycznie, wiedząc, że pan Dulęba gorącym jest patryotą.

I tu wcale nie skłamał,—gdyż w saméj rzeczy, dzieckiem, ssał on piersi mamki, którą wypadek sprowadził ze wsi do miasta, wskutek czego najęła się do téj funkcyi w domu izraelickim.

— Otóż, panie Rozenkranc, przychodzimy dziś wysłani z koła naszego, by pana zaprosić, ażebyś raczył wziąć udział w komitecie. Pan jesteś wpływowym człowiekiem.

— Chętnie, bardzo chętnie, chciałbym być panom na usługi... o ile słabe siły moje — rzekł z niejaką skromnością pan adwokat, który kiedyindziéj wcale nie używał tego zaparcia się ważności swojego „ja.“—Ale muszę oraz panów moich łaskawych uprzedzić... iż tak jestem zawalony... pracą... tyle spraw w kancelaryi mojéj czeka niezałatwionych, że panowie będziecie mieli wzgląd łaskawy na swojego sługę, jeśli ten nieraz... dla braku czasu...

— Rozumiemy, rozumiemy—dołożył pan Dulęba. — Nam chodzi głównie o wpływ pański na jego... współwyznawców...

— Otóż to właśnie tego wpływu... ja, panie dobrodzieju, nie mam i miéć nie mogę... Czy pan myślisz, że ci ludzie mnie ufają?.. Oni mówią: „Rozenkranc, to nie nasz, to polak!.. my mamy swoich...“

— Lecz na inteligencyą — dołożył pan Dulęba — na ludzi wykształceńszych?.. Nam głównie o tych chodzi...

— Panie kochany, ci są nieliczni... Zresztą z nich jeden dąży tu, drugi owdzie, jeden ma interesa u nas, drugi w Wiedniu, inny znów w Lipsku... Inteligencya owa bardzo rozstrzelona... Ale zrobi się mimo to, co będzie możliwém... Możecie panowie być pewni, iż ja uczynię, co tylko w mojéj sile... a na dobréj chęci mnie nie zabraknie...

— Więc możemy liczyć na pana? — rzekł pan Dulęba.

— Ale... o ile w mojéj sile — dodał z pośpiechem mecenas.

— Udział w komitecie naszym pan przyjmujesz?...

— Jeśli panowie rozkazujecie... Rozenkranc nie może się opierać?...

— Skoro pana miéć będziemy w komitecie, możemy być pewni, że nasz kandydat przejdzie.

— A jeśli nie mógłbym przyjść, bądźcie panowie pewni, iż co wy uchwalicie, Dawid Rozenkranc zawsze przyjmie.

— I będzie tylko za narodowym kandydatem?

— Rozumié się... za narodowym, tylko narodowym.

Rozprawiając jeszcze o tém, to o owém, wyszli panowie Dulęba i Szmidzicki, których pan Rozenkranc aż na wschody wyprowadzał.

Tymczasem wszedł innemi drzwiami pan Rozenkranc ojciec.

Pan Rozenkranc syn, jako adwokat, mający niemałe interesa z ludźmi różnych sfer, nie bardzo się wdawał ze swoimi współwyznawcami, chyba z lepiéj tylko wychowanymi, — ale mimo to miał i u innych niepoślednie poważanie. Przyczyną tego był jego znaczny zasób majątkowy i liczne z nimi interesa. Pośrednictwo to zaś odbywało się przez pana Rozenkranca ojca, który jako chodzący w atłasowym żupanie i odwiedzający częściéj synagogę, większe miał u nich zaufanie, — do tego łatwiejszy był doń przystęp. Pan Rozenkranc ojciec mówił rodzinnym swoim żargonem, lub językiem, jakiego używają „Pressy“ i „Tagblatty“, tylko z pewną przymieszką, pan Rozenkranc syn zaś wysławiał się czystą polszczyzną i cały dom jego był polskim, choć zarówno posługiwał się, gdzie było potrzeba, językiem i synów Germanii; żargonu jednak rodzinnego nigdy nie używał, boby to zgorszenie mogło wywołać u pani Rozenkranc i panny Amalii, które oprócz polskiego lubiły używać tylko języka, jakim Paryż mówi. Pan Dawid Rozenkrac bardzo téż uważał na komfort domu.

Pan Rozenkranc ojciec choć się nie zgadzał z tém wszystkiém, i zdaleka nawet trzymał się od synowéj i wnuki swéj, tolerował jednak kaprysy pod tym względem syna, poznawszy, iż ten umié chodzić tak dobrze, jak i on sam, około interesów, a kto wié, czyli nie jeszcze lepiéj, posiadając środki, jakie daje nowsza cywilizacya i nowsza metoda, któréj jeszcze ci nie znali, co chadzali w długich żupanach i wdziewali na głowę w sabat czapki sobolowe.

Pan Dawid Rozenkranc źle się o talmudzie nie wyrażał, ale go miał za sprzęt dlań niepotrzebny; nie czuł téż żadnéj nienawiści do nauki nowego zakonu, która mu zarówno była obojętną. Choć nie należał do społeczności chrześciańskiéj, mimo to na święta wielkanocne miewał nawet dla swoich gości warstw pewnych stół zastawiony przez dwa dni świąteczne, nie macą, ani winem koszerném, lecz tortami i wędliną, przez „pismo“ zakazaną. Mówiono nawet, że obchodzi i wigilią Bożego narodzenia, ma się rozumiéć, stołem tylko, tak samo zastawionym potrawami, jako u innych, daléj zaś nie czepiając się zwyczajów świata chrześciańskiego. Pana Rozenkranca ojca wtedy nie zapraszało się do domu—ale bo téż ten ostatni i sam unikał podobnych kolizyi.

Gdy obaj panowie Rozenkrancowie w pokoju zostali sam na sam, zagadnął syna pan Rozenkranc ojciec:

— Ja *przyszedł* do ciebie, Dawid, nu, dzisiaj w *inszy interes*...

Pan Dawid popatrzył na starego.

— Ja wiem, że ty z panami trzymasz, kiedy trzeba z panami... Nu, ty adwokat... Ale kiedy nie trzeba, to będziesz trzymał z *naszą wiarą*.

Pan Rozenkranc spojrzał uważniéj, lecz jeszcze nic nie odpowiedział. Stary daléj ciągnął:

— Teraz takie czasy... aj! takie czasy, że i żydy muszą się miéć na baczności. Za moich czasów tego nie było... *Nasza wiara handlował, robił geszefty*, ale *die Połytyk jego* nie *obchodził*.

Pan Dawid tu się uśmiechnął — a stary daléj prawił:

— Na to był wtedy *Kreisamt*, *Statthalterei*... a żyd sobie handlował, liwerował zboże, siano i miał swoje interesa. Dzisiaj te sejmy, *rade powiatowy*... to znów on *wielgi raichsrat we Wiedni* i nam spać nie dają.

Pan Dawid oczekiwał, do czego teraz zmierza stary, który się zawsze przecież wekslami tylko i podobnéj natury sprawami zajmował. Ale pan Rozenkranc ojciec dodał, nie czekając:

— Nu, to i żyd nie chce, żeby go te sejmy, te rady *sprzedał*, każąc tylko, nu, *Geld hergeben*...

Tu się nieco zatrzymał, by wysapać, następnie dołożył:

— Oni chcą dziś polaka wybierać do tego *raichsrat*... a my chcemy żyda. Polak, to zawżdy narobi *wielkiego hałas*... Jemu w głowie może znowu „gwardya narodowa“ *mit viereckigen Czakos*, *mit Säbeln und Pikes*... a to na jaki dyabeł!.. *on* kosztuje *Geld*... a to nadaremno... Polak się *bendzie* balował *we Wiedni*, bo oni dużo *honorny*, *die Schlachtizen*... Oni *zechce* budować *a Palast* dla *tego sejm*, *a tejater* jeszcze jeden... a to wszystko, *für die Katz!*

Gdy tak stary prawił, pan Dawid tymczasem robił sobie cygaretę, a następnie rozparłszy się na sofie, przeliczał może swoje w myśli interesa, wiedząc, że ojciec jego nie biegły w polityce,— nareszcie gdy ten skończył, popatrzył nań, do czego on dziś zmierza, atoli jeszcze czekał.

— Nu, widzisz Dawid... polak chce wojny... *Er will Krieg*, *immer Krieg!*.. My tego nie chcemy... Na co nam tego!.. Żyd chce, żeby w *naszego kraj* tak *był*, aby można handlować, żeby szły *geldgeszefty*, jako już Pan Bóg przykazał— a będzie każdy chwalił Jego.

— Czy wam co dzisiaj grozi?...

— Jak to nie grozi?.. Kiedy taki harmider dzisiaj w *miasto*?.. Tam u tego Szymonka... bodaj ich!.. nu, to jakby nabił... tyle tam tego!.. Tu szewcy, tam znów kowale, nu, stolarze, a czy ja ich znał?.. A wszystko pije piwo, aż się leje... Za *wszystkiego* płacą... z tego *ko-*

mitet pańskiego. Tam taki *rwetes*, jakby się całe miasto *palił*, *a gewalt!..* Tam znowu u tego *bierhaus Mojsie Leib* tak jeden krzyczy *wielgim* głosem, jakby z niego pasy *darły!..* A oni nie kochają żydów. To my się zbieramy w *synagoge* i my sobie *naszego* obierzemy... Mnie przysłali do ciebie...

Pan Dawid tu spojrzał, a stary rzekł:

— Nu, tak, do ciebie... Oni wiedzą, że ty będziesz balował się z „tamtymi“ i w gości z nimi się bawił i chodził do ich *tejater*, ale trzymał z „naszemi“, bo jak ty stracisz twój *Geld*, oni tobie nie dadzą — bo ty zawsze jesteś żydem....

— Nu, rozgadał się stary—rzekł, przerywając pan Dawid, nieco obrażony taką otwartą mową.

— O cóż wam chodzi?...

— O co nam chodzi?.. Nu, nam chodzi, aby my *mieli* „swojego.“

— Ależ kogo wy tam stawiacie?

— Kogo my stawiamy?.. Nu, my stawiamy... *einen redlichen Menschen* — i takiego, co go Pan Bóg kocha — i co się trzyma *naszego zakon.*

— I któż to będzie?..

— Nu, kto to *bendzie?..* To *bendzie* nie kto inny, jak nasz Rebe Chaim Lichtstern... Nu, ty się krzywisz?.. Ale on jest bardzo mądry... on zna dobrze „pismo“ — on *nauczny.*

— Co z tego, że on „nauczny“?.. Tu nie idzie o Talmud, ani o Gemarę!.. Tego nikt nie zaczepia. Czy dziś wierze żydów co grozi?.. Świat dziś pilniejsze ma sprawy — uśmiechnąwszy się zaś z ironią, dodał: — Co taki Rebe Chaim w Wiedniu zrobi?.. Ludzie w takiéj stolicy nawet go nie zrozumieją — ani on ich nie zrozumié...

— On ich zrozumié... Czemuby ich nie miał zrozumiéć—mruknął stary kręcąc głową. — To nie tylko święty człowiek — on umie i interesa robić... on *także* dobrze *szpekuluje...* Czy nie ma *pieniądzów*?

— Być może, być może — odrzekł pan Dawid. — I rabin pewnie za nim?.. Głosił już w synagodze?

— A tak! Żebyś wiedział!.. Rabin mądrze mówił... i drudzy tam mówili... Żydzi muszą się trzymać za rękę... Ty przecie pójdziesz z nami?...

— A czemuż nie miałbym iść z wami? — wycedził zlekka pan Dawid Rozenkranc.—Ja przecież izraelita... Czy ja tylko z tamtymi mam interesa—a z wami nie?...

— Nu, widzisz?.. Twój pieniądz... *on gruby...* przez moje *ręki* rozchodzi się między nich... Oni nim *szpekulują...* Niejeden się zatrzaska po błocie, chodząc cały dzień za *geszeftem*, a drugi marznie w *zimny sklep z twego pieniądz pożyczone* — a tobie przychodzi

procent — *a nett*, kiedy ty siedzisz na *tego wygodny sofa u tego ciepła izba*... Dlaczego tyby nie miał z nami trzymać?.. Ja to wiedział, że ty będziesz jadał, nu, pijał szampan z tamtymi, ale z naszymi trzymał... I dlatego będziesz za Rebe Chaim Lichtstern...

— No, no, pokaże się...

— Jak to?.. Ty chcesz trzymać z tamtymi, nie z naszą krwią, nie z naszym rodem? — odezwał się przestraszony pan Rozenkranc ojciec.

— A kto ci to mówił, stary?.. Ja będę trzymał z naszymi—i wy będziecie ze mną trzymali.

— Nu, dobrze mówisz... Niech ci Bóg da szczęście!.. Ty dobry żyd i dobry syn..!

Pan Dawid nic na to nie odpowiedział. Było mu teraz na rękę, iż właśnie posłyszał swego dependenta, który w téj chwili wchodził.

— A teraz o tém nie mówmy — rzekł ciszéj do starego, wskazując na Rubena. — Na cóż młody miałby tu słyszéć!..

— Nu, ja ciebie rozumiem — odezwał się stary potakująco, dziś zadowolony, dodawszy jeszcze: — Poco ma syn Nuchimów słyszéć, co my mówimy?.. On trzyma z polaki... *A hitziger Trotzkopf!*

I odstąpił na bok, gdy pan Dawid Rozenkranc bliżéj przywołał Rubena, mając mu dawać różne zlecenia. Stary tymczasem wyjmował z pugilaresu weksle i liczył sobie, wargami jeno ruszając.

Mecenasowi pokazywał tymczasem Ruben rubra sądowe, jako dowód na podania stron, które był zaniósł do sądu.

— A uważaj teraz, abyś wygotował i „urgens“ dlatego grubego szlachcica, bo on ciągle chodzi i nudzi mnie pytając, czyli już nadeszło... a nasze sądy nie tak bardzo się śpieszą, jak tam jemu pilno. Szlachcic myśli, że oni tam tylko jego mają sprawę, ale kiedy chce, napisać dlań „urgens“ i zapisać zaraz do rachunku!

— Jak pan doktór kazał, uczynię.

— Niech płaci, skoro chce!—dodał ciszéj. — My na to prawnicy... a prawo kosztuje...

— No, pytałżeś się — rzekł po chwili — czy było na sesyi... téj wdowy, co to nam zawsze tyle nagada?...

— Było, proszę pana.

— I co?... Przegrała?..

— Nie chciałem zrazu wspominać, ażeby pana nie zmartwić....

— A mnież to co ma martwić?.. Coby to był za adwokat, któregoby martwiły wyniki procesów stron!.. Czy to moja rzecz?... My robiliśmy, co do nas należy, co ona chciała; a czy tam strona wygrywa, czy przegrywa, to już rzecz nie nasza! Ty masz tylko pilnować, ażebyś czego nie zapomniał włożyć do jéj rachunku.

— Ależ... bo to... wdowa...

— Wdowa nie wdowa?... Czym ja jéj męża zabrał?.. Jam jéj przecież nie kazał sprawy wytaczać?...

— Ale pan doktor jéj nie odradził? to zaś było bardzo niepewne?...

— A gdzieżeś ty słyszał, żeby adwokat stronom miał odradzać?.. Co jemu do ich życzeń! On ma tylko na to uważać, czy ten, który żąda wytoczenia akcyi, ma na to środki... i jak długo te wystarczą.... Reszta doń nie należy... Gdy będziesz w wieku dojrzalszym, poznasz, że adwokat nie bierze sprawy ze strony romantycznéj....

— Ależ... pan doktor... będzie dziś miłosiernym... bo ona... jak słyszałem... zapożyczyła się na ten proces — a tam są dzieci... Pan doktor majętny... grosza jéj nie potrzebuje....

— A kto ci mówił, że ja nie potrzebuję?.. Gdybym tak sądził, jak ty, miałbym dziś tyle, co ona, która, jak mówisz, zapożycza się!.. Ja przecież tego chcićć nie mogę!.. Rozumiesz?.. Z ciebie jeszcze wygląda marzyciel, a nie dependent adwokacki.

Ale Ruben oczy tylko spuścił.

— Dobrze mówi on, Rozenkranc — odezwał się stary, który przez cały ten czas przeliczał swoje.—Naco jemu *tego łaski?*.. A jak on straci, to oni dadzą mu z łaski *swojego*?.. Nu, widzi młody pan Tauber, żeby sobie to zapamiętał... bo jak od nich nie wyciągnie, oni sami nie dadzą *złomanego krajcar*. Czy może twojemu *tate* dadzą, jeśli on potrzebuje, hm... dadzą mu, gdy jego bachury jeść krzyczą?

Pan Ruben na to wspomnienie westchnął, gdyż wiedział, że ojciec jego mocno u pana Rozenkraca ojca zadłużony, który posiada jego weksle.

— Nu, widzi pan Tauber, oni powiedzą: żyd niech robi, niechaj nam szyje *surdute* a *kamizele*, co uszyje, zapłacimy... ale darmo nic! *Geld kostet*. A on, Rozenkranc, to także szyje... to jego robota!.. on się uczył—i ja jego do szkół dawał i płacił, to on nie potrzebuje sobie oczów dziś psować nad *tego igła a nici* — ale on zarabia piórem. Nu, to jego praca, i on darmo nie ma dla *żadnego wdowa*?.. A co nas... te *goimy*!.. Czy u nas nie ma *wdowa*?.. i jeszcze z dziesięciorgo *dzieciów niejeden wdowa*?...

Ale pan Rozenkranc syn nie lubił używać słów tylu, co pan Rozenkranc ojciec, który już z przyzwyczajenia słów swoich nigdy nie żałował, targując się, a sypiąc kazanie tym, co nie dotrzymują terminu.

Pan Rozenkranc syn należy już do téj generacyi, która tchu swego i piersi swoich więcéj oszczędza, i nieraz jednėm słówkiem niemałe rozstrzyga sprawy. Dlatego téż uważał za stosowne przerwać kazanie starego, wysławszy z kancelaryi Rubena, który téż nie omieszkał odejść zaraz do pań, a właściwie do panny Amalii, bo ona tam na niego od chwili czekała, czemu ojciec wcale nie przeszkadzał, udając, że tego nie uważa. Pan Rozenkranc umiał rachować... Może on i tutaj miał swoję rachubę?

Po odejściu Rubena zabrali się ojciec z synem zaraz do swoich prywatnych interesów. Pan Dawid Rozenkranc, mając od dawna kancelaryą i różne interesa intratne, posiadał i kapitały: znał się zatém i z giełdą, a z matadorami giełdy, choć się w twarz nie całował, jak bracia szlachcice, jednak w ściślejszym a szczerszym z nimi zostawał stosunku. Mimo to nie gardził i drobniejszemi interesami, dając małe kwoty na grubsze procenta swoim współwyznawcom, którzy opłacając wysokie odsetki większemu kapitaliście, we dwójnasób zyskać potém musieli, ażeby módz wyjść na swoje. Panu Rozenkrancowi jednak jako prawnikowi i jako człowiekowi należącemu do inszéj sfery, nie wypadało brudzić się z drobniejszą gawiedzią; czynił to zatém za pośrednictwem pana Rozenkranca ojca, którego to wcale nie żenowało, i który to wszystko sprawował *con amore*, będąc tu właśnie w swoim żywiole. Pan Rozenkranc ojciec oprócz tego miał niemało cierpliwości, a godząc się w jakim interesie zbytnio się nie śpieszył... Chociaż zaręczał, że nie ma nieraz czasu i nie myśli sobie psuć daremnie piersi i wydawać tyle tchu ze siebie, jednakowoż właśnie wtedy najobfitszym był w wyrazy, i obchodził, z daleka kołując, o tém i o owém prawiąc, co do rzeczy nie należało, a czas jakoś przedłużał się niepostrzeżenie. Innym razem stary przeczekał dzień jeden i drugi, czém zmęczył przeciwnika, trzeciego dnia zaczynał, czyli właściwie nie zaczynał interesu, by znowu urwać, kiedy przeciwnik w większym był niepokoju,—ale ostatecznie tam doszedł, dokąd pierwotnie zamierzał.

Pan Dawid Rozenkranc znał się na téj właściwości ojca swojego, i umiał ją ocenić należycie, ale i sam odziedziczył przymiot ten od swego rodzica; objawiało to się jednak w formie bardziéj dystyngowanéj i zgadzającéj się z wymogami świata dzisiejszego. Dlatego téż i w stosunku Rubena do swojéj córki trzymał się téj saméj zasady, i nie możemy dziś na pewno wiedzieć, czyli on sobie tak bardzo życzył gorętszego stosunku między panem Rubenem a panną Amalią.

Mimo to młodzi nie wchodzili tak głęboko w zamiary ojca. Pani Rozenkranc matka zaś nie była od tego, ażeby młodzież córce

jéj nadskakiwała... To przecież nie szkodzi, daje nawet więcéj komfortu pannie i domowi, czego pani ta była niemałą zwolenniczką. Wyborowi ostatecznemu nic to nie przeszkadza; gdzie bowiem więcéj adoratorów, tam i wybór jest łatwiejszy; czasem nawet właśnie zabiegi jednego przyśpieszyć mogą decyzyą drugiego. Lecz nie myślimy wcale posądzać tu pani Rozenkranc, żeby umiała tak liczyć, jak męska połowa Rozenkranców. Że wcale nie była tak ścisłą w rachunku, dowodziło tego właśnie urządzenie jéj salonów, gdzie oprócz rzeczy potrzebnych, lub téż służących ku wygodzie, tyle było błyszczących, których przeznaczenia niktby się nie domyślił.

Pani Rozenkranc już z tego powodu mogła uważać się na prawdę za polkę, jakby w saméj rzeczy za żonę polskiego szlachcica.

Panna Amalia zaś była tego rodzaju osóbką, iż mogła nie tylko pana Rubena, skłonnego do marzeń, ale i każdego innego oczarować. Wesołość i naiwność polskiego dziewczęcia były u niéj połączone z ogniem krwi wschodniéj. Oko jéj czarne, mające połysk aksamitu, czasami takim strzeliło blaskiem, że mogłoby każdego zelektryzować; a jeśli tu dodamy urok chwilowego zamyślenia na jéj piękném owalném obliczu, ową lekką, przelotną chwilami tęsknotę za czemś, czego pochwycić nie można było:—wszystko to działało magnetycznie, a Ruben wrażliwym był na wszystko, co piękne i szlachetne.

Jako dziecko ubogich rodziców, co żyli jeno pracą, nie miał on sposobności przyzwyczajenia się do zbytków i do zniewieściałości. W dziecięctwie doznawał tylko niedostatku, musiał bowiem znosić głód i zimno, uczył téż się cierpliwości i niedogadzania chęciom swoim: dusza jego przeto nie straciła owéj świeżości, jakiéj tak łatwo pozbywa się młodzież, wychowana w wygodach. A że w domu rodziców, dzieckiem, niewiele widział świata, dlatego późniéj, kiedy wszedł w świat szerszy, wszystko miało dlań urok nowości i żywotność nowości. Świat mu się nawet wydał teraz pięknym i ludzie pięknymi. W szkole poznał młodzież innéj krwi i innego wyznania, a ponieważ był z natury dobrego usposobienia i szczeréj otwartości, pokochał téż podobną sobie młodzież. Marzył tak samo, jak oni, czytywał utwory wieszczów, jak oni, pił ztamtąd czystą rosę natchnienia, i doszedł do solidarności z resztą młodzieży. Nie dzielił téż żadnéj niechęci rasowéj. Ojca swego szanował, i matkę szanował, wiedział jednak, że oni tego kochać nie mogą, czego wcale nie znają. Na wszelkie przesądy poczciwych, lecz nieco ciemnych swoich rodziców, umiał patrzéć z pełném miłości szacunku pobłażaniem. Czasem go niejedno zmartwiło, co ojciec wypowie-

dział, czasem i w nim sprawiło niejakie zawichrzenie w myślach, nie długo jednak to trwało: młodzieniec ten należał do ludzi, którzy więcéj wierzą, niżeli powątpiewają, uważał zawsze ludzi, jako z przyrodzenia dobrych.

Dlatego téż i pana Rozenkranca miał za takiego, jakim ten się wydawał; zdania mecenasa, nie zgadzające się z własném usposobieniem młodzieńca, uważał on tylko jako już konieczne w prawniku, przyzwyczajonym do akuratności.

III.

Wyszedłszy od panny Amalii, rozmarzony jeszcze jéj widokiem, postępował Ruben wąskiemi uliczkami, a skręciwszy na jednę z nich, bardziéj nierówną i bardziéj ciemną, wszedł do mieszkania rodziców swoich.

Pan Nuchim siedział, jak zwykle, nad swoją robotą, podnosząc rękę, to w takt spuszczając, z tym samym pośpiechem, z jakim zawsze pracował; pani Nuchimowa zajęta była koło kuchni, nader skrupulatnie rozważając, jakby to z kilku ziemniaków, dwóch cebul i szczypty soli, z obfitą zaś domieszką wody, zupę na obiad sporządzić dla tylu gąb czekających.

Na widok Rubena, między dziećmi niemałe nastało poruszenie, tak, iż przestali nawet patrzéć na robotę matki, zapowiadającą za chwilę smaczną strawę.

Starzec zaś, spostrzegłszy syna, wypogodził w téj chwili oblicze. Zdawało się, jak gdyby na twarzy téj zżółkłéj, powiędłéj, nieco teraz zmarszków ubyło, i pewna jasność rozlała się po obliczu jego znękaném; nawet i wiecznie zaturbowana twarz pani Nuchimowéj przybrała wyraz bardziéj jakiś pogodny, a stara babka, już niedomagająca, co się tylko trzęsła, choć dziś nie było wcale zimno, w jednéj chwili, jak gdyby ożyła, zapomniawszy zaś o zimnie i głodzie, przyjściem wnuka była uradowana. Staruszka nie spuszczała zeń oka.

— Nu, jaki ty dobry... mój Ruben—rzekł ojciec, nie odrywając ręki od igły, gdyż robota ciągle nagliła—aj! dobry, żeś i dziś nie zapomniał o starych... Ja wiem, że ty nie wiele masz czasu.

— Zawsze tyle się znajdzie, że was mogę odwiedzić i zajrzéć, co téż tu się dzieje.

— Nu, coby tu się działo?... Chwalić Pana Boga, idzie jakoś... Dziś mniéj mnie nawet oczy bolą, i prędzéj roboty téj dokończę.

— Aj! co to idzie!—odezwała się matka.—Coraz gorzéj!.. Taka drożyzna!.. Nu, dzisiaj to i chłop zmędrzał... Nie mogłam się dokupić jednego wianka cebuli... mizernego...

— Ja téż trochę wam znów przyniosłem.

I sięgnął do kieszeni, wyjmując dziesięć reńszczaków.

— Nu, naco ty się wymówiła, Ester?.. Ja ci zawsze gadam: cicho siedź! Nasz Ruben dobry, ale on sam potrzebuje... on dziś jeszcze na dorobku...

— Aj! nie tak źle, ojcze!.. Pan Rozenkranc dziś rano był na mnie łaskaw, i dał mi dziesięć reńszczaków, bo wié, że ja mam starego ojca, który przy igle wypatrzy sobie oczy, i matkę, co ma do żywienia tyle drobiazgu.

A drobiazg ów w saméj rzeczy, od chwili już czekał, otoczywszy Rubena. Stara zaś babka patrzała się w oblicze wnuka, ni to w słońce, błogosławiąc mu w duchu.

Ojciec dodał czémprędziéj:—Nu, widzisz Ruben.. ty nie możesz tego wszystkiego dawać... Tak... tak... Ester, on ci pięć da z tego, a drugie pięć niechaj jemu zostaną.

— Nu, co mam robić... Niech i tak będzie!—rzekła połowica.

Ale syn się wzbraniał, ojciec zaś w żaden sposób przyjąć nie chciał, mówiąc:—To twoja praca!... Ja jeszcze, chwalić Boga, macham ręką... Nam tak wiele nie potrzeba... Ot! łyżkę strawy, stary jaki chałat, taj trochę łachów dla *bachurów*... Ty co innego! Ty jesteś u pana Rozenkranca, a tam nie weźmiesz na grzbiet swój chałatu, boby cię wygnał taki *purec*, *morejne*... Ja chcę, żeby ty kiedy był... nu, taki, jak on, adwokat...

Tu pani Nuchimowa zaczęła cmokać, głową ruszając, jak gdyby już naprzód rozkoszowała się widokiem syna, który tyle będzie ściągał pieniędzy, jak pan Rozenkranc, co pewnie inną kawę pije, niżeli ona wraz z mężem i dziećmi, do któréj, w domu Nuchimów, bierze się garść opalonego łubinu, dodając za półtora krajcara cykoryi, a resztę stanowi woda, jedną lub dwoma szklankami mléka zabielona.

— Nu, widzisz—ciągnął daléj ojciec, patrząc na syna—jak ty będziesz miał swój grosz, wtedy będziesz dawał ojcu, matce i braciom swoim ale nie teraz!.. My dziś możemy biédować.. A tobie niech Bóg dopomoże... My już jakoś ciągnąć będziemy, by tylko stary Rozenkranc mnie czekał... Ja mu oddam, i procent dam, jaki policzy... Co robić! On dał... nu, to jemu się należy.

— Poczeka, poczeka, ojcze.

— Nu, ja go znam, on chociaż twardy, gdy chodzi o grosz, ale on zawsze jest naszym. Żyda nie powiedzie przecież do sądu!..

— Alboż inni już gorsi?... A pan Dulęba, nie dał ci naprzód, ojcze, kiedyś bardzo potrzebował?...

— Nu, prawda!... ale zawsze to pan... Pan dał, bo on tak ceni pieniądz, jak żyd... dał naprzód, gdyż wie, iż ja mu odrobię igłą moją, a on potrzebuje sukien, do tego i modnych, kiedy stary Rozenkranc tego nie potrzebuje...

— Ale za to bierze procent, i dano mu procent,—a pan Dulęba nie bierze tego... Prawda że ci dał, kiedyś potrzebował... Późniéj mu odrobisz, ojcze...

— Nu, toby już koniec był świata, gdyby szlachcic taki pobierał procenta? Od kogo? od żyda?...

— A dlaczegożby, ojcze, szlachcic brać nie miał, jeśli żyd bierze?—zagadnął syn rozumiejący równouprawnienie.

— Dlaczego, synu?... Bo żyd na to jest żydem... On nie ma ziemi—nie ma *państwa*—on nie ma urzędu żadnego... Toć on handluje z pieniądzem... lub szyje, jak twój ojciec...

— Dziś ma to samo ojcze, co chrześcianin.

— Nie wierz temu Ruben!... Gdzie ty widział, żeby żyd miał to samo... żeby on miał urząd?... żeby żyd był na prawdę panem?— Potém dodał spokojniéj:—Nu, on nie potrzebuje *państwa* .. Na co jemu tego! On sobie żyd.

— Ale, co mówisz, ojcze?... Czy dziś nie mają dóbr szerokich, podobnie jako i inni? nie skupili przecież tyle już ziemi?...

— Nu, być może!.. Ale źle zrobili. Bo żyd nie jest do ziemi. Naco jemu ziemi, naco *dobra*, nu, konie, pałace, lokaje?... On żeby miał i dziesięć wsi, to on zawsze żyd. Tak jak Bóg postanowił...

Stara babka przez ten czas się przybliżyła, nie dosłuchując dobrze, a chciała przecież udział brać w tém, co oni mówili, bo starą wszystko zajmowało, co dotyczy wnuka.

— On ma racyą, Nuchim—odezwała się babka.—Bo pan zawsze jest panem... Oj, dobre to były czasy... które ja zapamiętam! Państwo siedzieli we dworze, tak, jak dziś ich pamiętam... a ja z *moim* na młynie... Wtenczas tak my nie biédowali.

— Nu, co z tego, kiedy was tam nie zostawili?...

— Oni byli *dobre* dla mnie... Ja ich zawsze błogosławię i nieboszczkę panią. To wygnał nas *tamten*... Bodaj jego! Nie uważał na nasze *hazuke*. Ta, co bo u niego świętego! Osadził innych...

— Nu, widzisz, matko?.. A ty gadasz, że chrześcianin nie łakomy na pieniądze.. Ta, czemu on was wygnał?.. Bo mu drugi więcéj zapłacił.

— Nu, co robić!.. Ale to żyd był, co więcéj zapłacił... a żyd tego nie powinien. Nu, widzisz, jak nie każdy żyd jest dobry człowiek, tak i nie każdy chrześcianin... Jest zły, jest i dobry.

— Ja nie gadam o tym *Hersz Majer* — mruknął stary. — To nie żyd! to rabuś!.. Żyd, przeciwnie, da żydowi, bodaj krajcar, bodaj pół krajcara ubogiemu żydowi... Chrześcianin?.. Nu, ten zapłaci mu za suknie, gdy tak zrobi, że się panu podoba, i do tego tanio; a w dodatku, że dał pieniądze, złaje, jak *sobakę*. Chrześcianin jest hojny, nu, może i miłosierny, ale nie dla żyda. Żyd też nie ma do tego prawa. Nuchim bierze mu miarę, przykrawuje, odziéwa go, ażeby mu w zimie było ciepło, w lecie nie gorąco, ale nie żąda, żeby go za to kochał: bo on go kochać nie będzie.

Słysząc słowa podobne, westchnął młodzieniec, dodawszy tylko:

— Cobym ja dał zato, gdybyście zmienili zdanie swoje!..

— Nu, na co zmieniać, kiedy tak samo zawsze zostaje?.. Ojciec twój żyje już lat tyle, i czyli inny świat może był pierwéj, niżeli dzisiaj?.. Dziś tylko niektóre pany poszły ze dworów swoich i weszły tam inne, niektóre żydy zrzuciły chałaty i ubrały się w surduty a paletoty, ale pozostały zawsze żydami. Nu, a ten, co jada dziś pośladki cieląt i uda bez rogów, ten nie jest żydem, ale i nie jest chrześcianin... Albo ja wiem, co on jest!.. Ot, co to o tém gadać!...

I z coraz większym pośpiechem machał daléj igłą.

IV.

W domu pana Dulęby liczne było zebranie. Widać, że już od dłuższego czasu obracano jakąś kwestyą, gdyż wszyscy byli w niemałém poruszeniu.

— A ja wam mówię, że na nich liczyć nie można! — wołał pewien gruby jegomość, na całéj twarzy czerwony z gorącego wzruszenia.

— A niechże pan da pokój! — rzekł zaspany pan Szmidzicki. — Przecież powracam od Szymonka... Wszyscy się skarżą, że już dłużéj nie można wytrzymać... że się nareszcie przebrała cierpliwość... Coraz idzie gorzéj, a gorzéj!.. Tamten poseł dla siebie tylko upiekł pieczeń i dla kilku swoich....

— A! to motłoch, panie dobrodzieju... Krzyczą, bo ich poją.... Gdy wypiją, zapomną jutro, i pójdą na lep pierwszego lepszego.

— To też właśnie naszém będzie staraniem — zbliżył się pan Dulęba — ażeby do tego nie dopuścić, by szli na lep kogokolwiek....

— A jakiż masz pan na to sposób? — rzekł, sapiąc gruby jegomość.

— Słuchamy! słuchamy! — odezwało się kilka głosów, i zbliżyli się do obu spierających.

I w téj chwili wyglądało, jak na łanie zbożowym, kiedy raptem wiatr się wstrzyma.

Pan Dulęba spojrzawszy po obecnych, rozpoczął:

— A wiécie panowie, czemu im tak ufać nie możemy? czemu ich pilnować dziś musimy?.. Bośmy w tamtych latach, bośmy w dłuższéj przeszłości nic dla nich nie uczynili. Przyzwyczailiśmy ich do tego, iż tam idą, gdzie się leje z beczki... A skoro się wybory skończą, ten pierwszy, co ich ściska za ręce, co z nimi z jednéj pije szklanicy, potém ani spojrzy, uważając to za ujmę dla siebie, by mówił z szewcem, kowalem, lub majstrem kominiarskim. To motłoch! przecież my inteligencya!.. Oni dziś małoletni — to prawda! ale, za pracą braci wykształceńszéj, małoletni staną się pełnoletnimi.

— Lecz to, panie, teorya—rzekł gruby jegomość. — Ot! dajmy sobie powiedziéć: szewc zawsze szewcem, kowal jeno do miecha!... Może tak będzie, jak pan mówisz, za lat dwieście-trzysta... Ale to już nie nasze czasy... Co nam z tego, że potém szewc będzie miał tyle rozumu, co dziś doktor prawa, kiedy już i prochów po nas nie będzie!.. Oglądajmy się na to, co dzisiaj!

— Tak—rzekł pan Dulęba z przekąsem—i dajmy sobie wszystkie ich głosy wykraść?..

— Choćby i tak... nie przegłosują naszego kandydata... ręczę panom — rzekł pan Szmidzicki, który chciał już od chwili mówić i ciągle usta otwierał.—Mamy za sobą, moi panowie, całą inteligencyą żydowską...

— Ale tu tylko się boję—dodał pan Dulęba — czyli oni wpływ miéć będą na ciemną masę starowierców?..

— O to chodzi... To sęk! — ozwało się kilka głosów.

— Wszak ci mają swego kandydata?.. Przecież stawiają tego Rebe Chaima Lichtstern?...

— Co? jakiegoś tam chałatowego! — krzyknęli inni—Rebę *husyłę kłapoucha*?..

— Hm, hm, uśmiechnął się pan Szmidzicki ze znaczeniem.— Oni stawiają tego Rebe Chaima... von Lichtstern... Ja coś przeczuwam, że oni z niego zrobią von Finsterstern... i będzie to kandydat z pod ciemnéj gwiazdy...

Na to powstała niejaka wesołość, że zamiast mazura z pod ciemnéj gwiazdy, jak mówią, dziś zajmie żyd to zaszczytne miejsce.

— Ja wam zaręczam, moi panowie — rzekł pan Szmidzicki — że inteligencya za sobą ich pociągnie... jam pewny, że pójdą za naszym kandydatem... Ot! tu jest między nami pan Tauber, pana Rozenkranca dependent, któregom przywiódł z sobą... On przecież

słyszy swego pryncypała codzień prawie... a ten ma wpływ i znaczenie między postępowymi...

— Pan Rozenkranc, zapewne—ozwało się kilka głosów. — To już coś jest!..

I wszystko zwróciło się do Rubena, żeby raczył potwierdzić ich zaufanie do swojego mecenasa.

Ten, choć nieśmiało, dotychczas trzymał się na uboczu, naprzód wypchnięty, musiał zaręczyć, co na własne uszy słyszał od pana Rozenkranca.

— Ale dlaczego pan Rozenkranc nie łaskaw uczęszczać na posiedzenia komitetowe?.. Raz coś był, czy dwa... i to przyszedł późniéj?...

— Proszę wybaczyć— rzekł skromnie pan Ruben — iż się odezwę w obronie mojego pryncypała... Ale on ma tyle spraw... sam mi to zawsze powiada, że mu nie pozostaje tyle czasu na zebrania... jednakowoż zaręczył mnie, iż tylko za naszym będzie głosował kandydatem, i użyje całego swego wpływu... Ja go znam... on wiele nie lubi mówić a zapewniać... lecz zawsze swoje zrobi.

— No, my to wiemy — odezwało się kilka głosów — to zacny człowiek i rozumny! Tęga głowa!..

I tu spojrzeli po sobie z pewnym podziwem dla téj dzielności głowy pana Rozenkranca.

— I owi ciemniejsi, a właściwie biédniejsi izraelici, wierzcie mi panowie, będą nie wszyscy za tamtym... Część pójdzie za nami. Pan Rozenkranc ma wpływy swoje i mają inni... Nie wszyscy pójdą za panem Chaimem.... On porządny wprawdzie człowiek, nic mu nie można zarzucić, jednak nie jest na posła....

— Ależ i pan, panie Ruben — wmieszał się zaraz pan Szmidzicki — mógłbyś także się przyczynić... Masz przecież ojca starowiercę?.. Tego bardzo szanują żydzi...

— Prawda, że go szanują, bo on poczciwy, i ma nie u jednego zachowanie... On choć nie jasno sprawę pojmuje, bo to człowiek stary, spracowany, nie wiele ma drugim do zawdzięczenia, nieco nawet goryczy w piersiach i żalu... ale on kocha syna swego i wierzy mu... Ja uczynię, co się da... i mam nadzieję, iż także nieco zbierzemy głosów.

— Dzielny młodzieniec, dzielny!—zawołało kilku, pan Ruben zaś nieco poczerwieniał, żenując się pochwały, i dodał wnet z całą skromnością: — Więcéj jest takich u nas i lepszych....

A kilku młodszych w tém zebraniu patrzyli z zadowoleniem na pana Rubena, lecz gruby jegomość mruczał sobie pod nosem:

— To, panie, wszystko romanse! gołe teorye, nic więcéj!.. Co mi tam po młodych! Wolałbym, żeby starzy byli z nami!...

Nareszcie drzwi się otworzyły i wszedł pan Rozenkranc.

Wszystkim się w jednéj chwili rozpromieniły oblicza, i każdy się pchał, by czémprędzéj uścisnąć rękę wpływowego człowieka, który im za sobą całą masę przywiedzie.

Pan Rozenkranc witał też wszystkich do koła z uprzejmą serdecznością a łaskawością.

Teraz już była radość i ogólna zgoda. Wynik wyborów dziś pewny. Pan Rozenkranc wraz z drugimi mają tak rozległe interesa i tyle powagi, iż wszystko pójdzie za nimi.

Wtedy ciemnych mieszczan można i w kącie pozostawić, gdy takich mamy patryotów!

Wszystkich téż oblicza świeciły coraz większą radością.

V.

W całém mieście wrzało i kipiało. Po wszystkich restauracyach, piwiarniach i kawiarniach było jak nabito. Pękały beczki piwa i lało się wino; czarna nawet kawa dodawała siły, by módz wysłuchać przemówień bez końca, krytyki wszystkiego, ciągłych zapewnień, iż odtąd wszystkie mają się naprawić braki, a niedostatki, jakie wszystkim i każdemu z osobna siedzą w boku.

Główni mówcy już pochrypli, agitatorowie od tygodnia o swojéj godzinie ani się spać kładą, ani siadają do stołu, jeno biegają, ściągają, co mogą, tu i owdzie starają się rozbijać przeciwników.

Szewcy, stolarze zostawiają warsztaty, kowale przestają walić młotem, zostawiają to wszystko żonom swoim i czeladnikom, a sami idą słuchać przemówień, zapewniających wszystkim zebranym, że dziś rzemiosło, to zupełnie co innego, niżeli było dawniéj, że dziś rzemieślnik, to wielkie imię, to podstawa i filar społeczeństwa!.. Oni słuchają, dziwują się, ale prędko pojmują mądrość słów tych i wiedzą, że sami odtąd w swoich własnych oczach urośli.

Żydzi znów, ze swéj strony, cicho siedzą, lecz się schodzą mimo to do synagogi; tu postanawiają trzymać się solidarnie, bo teraz chodzi o ich sprawy, o ich nawet wyznanie, o ich kieszenie— a nikt tak potrzeb ich nie zrozumie, jak Rebe Chaim: gdyż to człek „nauczny“, i siedzi całe życie nad „pismem.“ On wypatrzył tam oczy: bardzo téż mądry, wie wszystko, co się dzieje na ziemi i w niebie. Oprócz tego ma i łaskę Pańską, bo i grosz jego pomnaża się, jak niegdyś Jakóbowi owce i barany.

Nareszcie głoszą kahalni, że dziś wyznanie ich w niebezpieczeństwie, że *goimy* na nie godzą, tak samo, jak na ich mienie; wskazują nawet na te gromady po knajpach, piwiarniach, które każdéj chwili mogą się zmienić w roty uzbrojone i rozpocząć coś nakształt nieszporów sycylijskich. Lud Izraela niemało podejrzliwy, a nie słynie bardzo odwagą. Od samego słychu już łaskotanie rozchodzi się po piętach.

Atoli pan Rozenkranc nie taki bojaźliwy... on nie podziela tego strachu swoich współwyznawców. Wyborów zaś nie spuścił z oka. Chodził przecież na zebrania tych, co stawiają kandydata nieżydowskiego, ani mieszczańskiego, lecz wogóle narodowego. Pan Rozenkranc obiecał solennie, że pójdzie ręka w rękę z kołem narodowém, bo i jemu nie chodzi o pewne warstwy, lecz o cały kraj i jego potrzeby.

Mimo to pan Rozenkranc zchadzał się z niektórymi matadorami świata finansowego i tam coś radzono. Lecz nie można było wiedziéć, o czém... gdyż narady odbywały się bez tłumów i wcale przyzwoicie. Może tam radzono o sprawach pieniężnych, gdyż byli to ludzie, w których rękach tylu innych siedziało. Wiadomo było bowiem, iż większa część w mieście izraelitów, jakby u nich zadłużona w handlu swoim, to żyjąca z wydzierżawianéj od nich propinacyi miasta, w ich była rękach. Całkiem naturalna, że tak grube ryby często musiały się porozumiewać, ażeby wszystko równo płynęło.

Cała téż klientela izraelicka miała do nich wszelkie zaufanie. Oni i tak zaręczyli, iż tylko ze swoimi głosować będą. Lud Izraela teraz był pewny, że ci, co stoją na świeczniku, w tak ważnéj chwili ich nie opuszczą, i za kandydatem kahalnym głosować będą, bo przecież nie oddadzą współwyznawców na łup *goimom!*

Ludzie postępowi i narodowcy zaś byli przekonani, że pan Rozenkranc z nimi idzie solidarnie, a nie z ciemną masą, jako prawnik zaś i światlejszy od matador giełdowych, wekslowych i propinacyjnych, wszystkich na swoję stronę przeciągnie.

Dzień wyborów się zbliżał; kilka już tylko dni przedzielało. Ruch stawał się coraz większym, mniéj jednak gwarliwym; pewna powaga i postanowienie w wytrwaniu osiadło na obliczach wszystkich. Wkrótce stoczy się téż walna rozprawa. Kilku wychodziło na jaw kandydatów, ale ostatecznie dwaj tylko mają szanse; toż i dwaj będą zawzięcie walczyli z sobą: kandydat narodowy i kahalny.

Pan Rozenkranc chodził dziś bardziéj zamyślony, ale i spokojniejszy.

Nareszcie, na dzień przed wyborami była w jego mieszkaniu niewielka narada. Kilku zeszło się jego przyjaciół, kilka matador

finansowych... Co tam mówiono—nie wiedziéć?.. Dosyć, że gdy się rozeszli, zaczęto zaraz biegać, po cichu, spokojnie, od jednego do drugiego, po domach izraelickich... Ale w tém nie było nic dziwnego, gdyż ci panowie mają przecież swoje sprawy?... Kto ma takie kapitały, tak rozległe interesa i tyle spraw w obiegu wekslowych—nie dziwota zatém, że sieć tych interesów obejmować musi w mieście cały niemal Izrael.

Pan Rozenkranc następnie siedząc sam w pokoju swoim, z cygarem w uściech, zawezwał do siebie Rubena i mówił dziś z nim dłużéj i bardzo łaskawie. Pan Ruben miał nawet lice rozpromienione. Czy mu robił jakie nadzieje, czy tylko dawał do poznania, iż chciałby go miéć bliżéj siebie,—nie wiedziéć... ale po minie pana Rubena poznać można było, że tu chodziło o spełnienie, bodaj w przyszłości, życzeń jego.

Atoli czegoś odeń pan Rozenkranc naraz zażądał, że się młodzieniec nagle przestraszył. Zbladł, a potém czynił jakieś przedstawienia; lecz pan Rozenkranc nie myślał słuchać... stanowczo tylko coś wyrzekł, a młodzieniec chciał już odchodzić, jak gdyby zrozpaczony, łzy mając w oczach.

Pan Rozenkranc zaś usiadł napowrót na sofę i spokojnie puszczać sobie daléj zaczął kłęby dymu. Ruben coś mówił, lecz pan Rozenkranc tego nie słuchał. Ruben zdawał się coś mu wystawiać a błagać, pan Rozenkranc jednak wyrzekł tylko jedno słowo ciężkie, stanowcze; młody załamał dłonie, lecz widać było, że się musiał poddać.

I mówiono już spokojniéj.

Pan Rozenkranc dawał jakieś instrukcye, a Ruben musiał je przyjmować — i tak się rozeszli.

Wyszedłszy z mieszkania mecenasa, swego chlebodawcy, kroczył młodzieniec jakby zbity z toru; zdybując zaś swoich znajomych, zdawał się dziś unikać wszelkiéj z nimi rozmowy, tłómacząc się bólem głowy czy inną tam chorobą, — i tak zaszedł do starego ojca.

Tu na widok jego zajaśniał uśmiech na twarzach tych ludzi szaréj doli; jednakże ujrzawszy Rubena ni to chorego, przestraszył się zrazu ojciec,—i była chwila milczenia. Następnie mówić o czémś poczęli, co bardzo nie w smak musiało pójść panu Nuchimowi, bo się chwycił za głowę i rzucił nawet robotę swoję, co mu się nigdy nie zdarzało... Potém zaczął łypać oczyma, wymawiając tylko:—Jak to... ja żyd... oni żydy.... Nu, co mi do tego!... Oni mędrsi... Ja prosty krawiec... Ja pracuje Panu.... Ja niechcę, żeby ty... Tobie chléb odbiorą... Ja nie chcę, żeby ty tak biedował, jako ja... mój synu....

I tu zaczął szlochać stary, i szlochała jego połowica, i szlochała stara babka, choć nie rozumiały, co tu grozi właściwie ich potomstwu.

Gdy przyszedł do siebie Nuchim, zaciągnął chałat nieco lepszy, i wyszli gdzieś obaj z synem.

W domu długo czekano; lecz stary wrócił bardzo późno, czego rozumiéć nie można było. Lecz chociaż był zgnębiony i umęczony, przecież spokój osiadł teraz na twarzy jego.

Zdawało się, jakby téj nocy, ostatniéj przed dniem jutrzejszym, jakiś ruch był między całym Izraelem, ale spokojny, jak gdyby na komendę. Ruchem tym zdawały się kierować ręce jakieś niewiadome.

VI.

Nastał nareszcie dzień wyborów. W powietrzu rozlana była jakaś posępność... słońce nie chiało dziś wychodzić, choć chmur na niebie nie było, jeno jakaś przejrzysta, nic nie zakrywająca w powietrzu wilgoć, rozpostarta wszędzie do koła, i jakby ciążąca dziś nad całém miastem.

Domy wzdłuż ulic miały również inne wejrzenie, niż dnia wczorajszego, niżeli dni poprzednich.

Ludzie przechodzili obok siebie, nito niemi, zaledwie się pozdrowiwszy niechętnie, szli swoją drogą, jak gdyby się wzajemnie unikając, inni patrzéli na się wzrokiem ostrym, pewnym, inni znów zdawali się grozić, jakby ten i ów miał minę odstąpienia od wspólnego sztandaru.

Po ulicach przechadzała się tu i owdzie straż porządku... lecz dzisiaj nic go nie myślało zakłócać, gdyż wczorajszy gwar i harmider umilkł, niby zaklęty siłą niewidzialną. Przy wstępie do ratusza miejskiego stali uzbrojeni policyanci, z miną służbistą, sztywni, wyprostowani; u drzwi sali wyborczéj stało również dwóch pokaźniejszych.

Za stołem długim, zielonèm suknem przykrytym, zasiadła komisya i kilku ze starszyzny miejskiéj; przy drugim, mniejszym, był reprezentant rządowy, gwoli strzeżenia ustaw. Po kątach czekali już znaczniejsi z wyborców, ze świdrującém okiem, bystro skierowaném na twarze nadchodzących, co mieli głosy swoje dawać.

Głosowanie odbywało się we wzorowym porządku. Nic nie zakłócało spokoju.

Jeden po drugim wchodzili i dawali swoje głosy.

Wszystkie padają na kandydata narodowego.

Komitetowi pewni już wyboru,—nikt nie zdradza,—miny zatém coraz weselsze. Przecież w kraju naszym jest solidarność, gdy idzie o sprawę publiczną, narodową!

Żydzi jakoś nie nadchodzą jeszcze, żadnego nie widać starowiercy. Może zwątpiwszy o możliwości przejścia swojego kandydata, dali za wygranę, nie chcąc już nawet przychodzić : przy czytaniu bowiem ich imion odzywają się tylko raz w raz w sali głosy: „Nie ma!“

Po półtoragodzinném głosowaniu zjawiają się tu i owdzie inni z chrześcian, którzy dają głosy swoje na jakiegoś innego kandydata, lecz tym był znany tylko w mieście warchoł, źle widziany. Tego się nie ma co obawiać... mała jeno część za nim głosuje,—głosy nie będą przeto jeszcze rozstrzelone.

Wchodzi i pan Szmidzicki, bardziéj dziś sztywny, jakby stracił humor dawniejszy i pewność siebie; znajomych z komitetu nawet nie wita, i daje głos swój na... kandydata nowéj jakiejś partyi, na owego warchoła.

Wszyscy zgłupieli.

Co to się stało?... Najgłośniéj przecież krzyczał, że wyzwie każdego, ktoby zdradził, ktoby odważył się odstąpić sztandaru narodowego!.. Zali go kto przekupił, w celu, ażeby głosy były dziś rozstrzelone?... Trudno bowiem, ażeby ten nowy kandydat miał zwyciężyć! Tego nikt się nie obawia.

Nadchodzą powoli i żydzi, gromadami, starowiercy po większéj części, w atłasowych poważnych żupanach, i gawiedź uboższa, idąca ślepo za menerami synagogi. Dają głosy na swojego kandydata, Rebe Chaima Lichtstern.

Teraz coraz bardziéj zaostrza się sytuacya, bo wychodzi na wierzch nie ów warchoł, lecz prawdziwy kontrkandydat.

Atoli i z żydów niektórzy, bardziéj postępowi, dają głosy swoje na kandydata narodowego. To wzbudza zaufanie; są przecież, co nie odbiegli sztandaru; inni znów nawet nie przyrzekli pierwéj, mimo to głosują teraz solidarnie, na kandydata narodowego.

Zwycięstwo sprawy narodowéj pewne!

W tém pojawiają się inni, którzy dają swoje głosy na jakiegoś nikomu nieznanego kandydata. Ktoby to był?... Lecz tu go nie znają; nikogo to bardzo nie obchodzi, gdyż może to tylko rozstrzelić głosy izraelickie. Nie szkodzi, że pan Chaim dostał przeciwnika.

Atoli coraz więcéj wchodzi teraz izraelitów, i to całemi masami, pchają się do stołu—i również oddają głosy swoje na tego nieznanego jeszcze wczoraj kandydata.

Nareszcie i grubsze pokazują się już matadory finansowe, i ci oddają głosy swoje — o zgrozo! również na tego samego. Co to się znaczy?...

I pan Rozenkranc wchodzi, milczący, i cichszym, ale pewnym głosem, wymawia imię to samo.

Wszyscy osłupieli.

A gdy przyszło teraz do obliczenia głosów, pokazało się, że kandydat narodowy pozostał w mniejszości, i kandydat żydowski niedostateczną otrzymał ilość głosów, warchoł ów rozstrzelał tylko głosy chrześciańskie:—ale z urny wyszedł ów nowy kandydat, wczoraj jeszcze nikomu nieznany.

I zdziwiło to obie, dotychczas tak zawzięcie walczące z sobą partye.

Tyle pękło beczek, tyle się mów pięknych wypowiedziało, tyle było zapału szczerego lub tylko szumnego; z drugiéj znów strony, tyle modłów odbyto w synagodze, tylu za; arło się siebie dla wyznania swego i dla znanéj solidarności:—a to wszystko było dziś na nic!

Ha! I ktoby to był ten nowy kandydat?.. Niektórzy znali go, że był ze stolicy naddunajskiéj; byli nawet jacyś z nim zpowinowaceni i w tém mieście, lecz mało kto na to uważał.

Dowiedziano się teraz, iż był to jakiś doktór prawa, czy adwokat tamtejszy, mający wpływy w różnych sferach i umiejący robić interesa... Czyli zaś dla wszystkich, czy raczéj dla niektórych tylko—tego wcale nie wiedziano. Starowierców zaś zapewniano, że on, choć obcy i nosi się w stroju cywilizowanym i ma salony, — mimo to jest dobrym izraelitą, obchodzi sabat i uczęszcza do synagogi. A co do interesów izraelickich tych będzie on strzegł jak najlepiéj, gdyż tam go znają z niemałéj zręczności. Ci z żydów, którzy głosowali na pana Rebe Chaima, nie wierzyli temu bardzo; oni wprawdzie przyznawali, iż tamten będzie wspierał interesa, ale nie plemienne, jeno indywidualne, a szczególnie pana Rozenkranca i jego kliki.

Pan Rozenkranc może się teraz i sam nawet przenieść do stolicy naddunajskiéj, skoro zechce. Wszyscy zaś wiedzieli, że pan Rozenkranc dziś wyrośnie i będzie miał potężnego protektora i agenta w wielkiéj stolicy, kędy się toczą sprawy o miliony.

Ale jak to się przecież stało, że z urny ten przecież wyszedł kandydat?...

Zagadka tego w tém leży, iż większa część izraelitów, jako zajmująca się drobnym handlem lub lichwą, lub rozsiadła po karczmach i szynkach, obracając pieniędzmi grubszych ryb, w zupełnéj

jest od nich zależności; ci też ostatni dobrze o tém wiedzieli, nie wyjawiając zatém swego zdania, w stanowczéj chwili przeważyli.

Pod wieczór przeto, gdy wszystko już było pewném, rozesławszy swoich agentów, po prostu nakazali głosować na podanego przez siebie kandydata; innym znów przedstawiono, że on będzie obrońcą izraelickich w stolicy interesów. Większa zaś część poszła na ślepo, przymuszona,—i pan Rebe Chaim w ostatniéj chwili musiał się przekonać, że nie wielu pozostało na prawdę wierzących, iż tutaj chodzi o zagrożone wyznanie.

Atoli co się dziś stało z Rubenem i jego rodziną?... Za czém ci znów głosowali? Ruben, jako nic jeszcze nie posiadający, nie miał głosu przy wyborach, ale ojciec jego, choć prawie żebrak, lecz jako płacący podatek zarobkowy, a więc liczący się do obywateli, był wyborcą zupełnym. Ten starowierca szczery nie wiedział wprawdzie, dlaczego głosował na kandydata nieznanego,—jednak głosował. I głosowała cała jego rojnie rozrodzona lub z nim zpowinowacona rzesza krawców, szklarzy i blacharzy, choć oni wszyscy starowiercy i słuchający kahału... W tém zaś właśnie zagadka!

Wglądnąwszy jednak w ich stosunki prywatne, w życie pełne nędzy, z dnia na dzień, w pasywa ich długów, przechodzące aktywa zarobku, w stosunek nareszcie ich cały do kieszeni posiadających a nie znających pardonu,— zrozumiemy wszystko, co się stało.

VII.

W pierwszych dniach po wyborach, chodził Ruben, jakby zwarzony; na ulicy rzadko go było widać, a kiedy przechodził, mijał z pośpiechem znajomych... widocznie coś mu ciężyło na sercu... Był sam z sobą dziś w rozdwojeniu.

Nawet stary ojciec jego miał teraz gorszy humor; dawniéj, pracując ciężko, choć nigdy nie był zbytnie wesołym, na widok jednak syna zawsze rozjaśniało się pofałdowane starca oblicze, dzisiaj zaś, gdy przybył syn, mało nawet doń zagadał, na twarzy swéj mając jak gdyby wyrzut. A choć Nuchima mało co obchodziły wybory, i szedł głównie, jak podobni jemu pracownicy, za całą masą swoich, jednak tym razem i staremu rozjaśniło się nieco w głowie, że ich wszystkich użyto tylko za narzędzie. Dając głos swój i namówiszy do tego wszystkich swoich szwagrów i kumów, był przekonany, że daje głos na żyda, a on dał go na reprezentanta kilku interesowanych, którzy ich wprzęgli w jarzmo a teraz w większe jeszcze wprzęgną.

Ale czemu on to uczynił?... To ojciec zrobił dla syna.

Ruben był okiem w głowiem starego, kotwicą ratunku i całą nadzieją licznéj rodziny. Tego syna z uszczerbkiem własnym doprowadził do tego, iż może dziś zasiadać w kancelaryi pana Rozenkranca, iż pod protekcyą tego potentata i sam kiedyś zajmie stanowisko, które całéj rodzinie da pomoc; i temu synowi dziś ten sam protektor zagroził, że go wygoni, jeśli nie pójdzie za swym pryncypałem, wraz z ojcem swoim i całém tegoż szeroko rozgałęzionéni kuzynowstwem. Stary się tego przeraził, i poszedł po woli silniejszego.

Syn miał jeszcze więcéj może powodów, niżeli ojciec; Ruben wiedział, że stawianie oporu mecenasowi rozdzieli go na zawsze z ukochaną serca. Byłby przebolał pierwsze, lecz drugiego nie mógł przeboleć. I poszedł za swoim mecenasem.

Na drugi dzień po wyborach poznał, iż źle zrobił, odstąpiwszy w słabéj chwili sztandaru narodowego, i gryzło go to we wnętrzu. Przekonał się teraz, iż w całéj téj sprawie nie chodziło im o żadne zasady, nie kwestya wyznaniowa była tu w grze jakiejkolwiek, lecz po prostu interes, i tylko interes.

To mu dało wiele do myślenia: Ruben dziś sposępniał.

Kochał on Amalią, lecz wszedł w kolizyą z samym sobą i ze wszystkimi dobrze myślącymi. Jakże im się teraz na oczy pokaże?... Postanowił jednak, o ile będzie w jego mocy, w przyszłości to naprawić.

W dniach następujących, choć siedział w kancelaryi pryncypała, jednakowoż mało się doń odzywał pan Rozenkranc, gdyż nie miał do niego interesu; oprócz zwykłych poleceń kancelaryjnych nie mówił doń o akcyi wyborczéj, czego najwięcéj obawiał się Ruben. Pan Rozenkranc nie mówi nigdy o jednéj i téj saméj rzeczy dwa razy, zwłaszcza gdy już niema żadnéj potrzeby: Ruben zrobił swoje, może teraz odejść do codziennéj swéj służby.

Atoli młody długo nie mógł wytrwać, by się nie zbliżył do panny Amalii, wobec któréj nie miał również śmiałego oka; obawiał się bowiem, żeby mu ona nie wyrzuciła, iż postąpił sobie nie jak mężczyzna i patryota. Ruben jednak daremnie się obawiał, panna Amalia nie miała znów zdań tak wyrobionych, ażeby mu za złe wzięła, iż nawet jéj ojcu w chwili stanowczéj nie postawił opozycyi. Gdy się więc zbliżył, poznał, że w stosunku do niéj wcale nic nie stracił.

I byli napowrót na dawnéj stopie.

Pewnego jednak razu zawołał go pan Rozenkranc, i zapytał się wyraźniéj, co to ma znaczyć, iż on teraz tak często przesiaduje z panną Amalią. Czyliż on nie wié, iż panna może na tém w oczach

ludzi dystyngowanych stracić, jeśli za długo z wolnym pozostaje mężczyzną. Ruben zdziwił stę, nie mogąc pojąć, coby to znaczyło, gdy przecież ojcu stosunek ten nie mógł być tajnym; a choć nigdy o tém nic mówiono, przecież przed wyborami dosyć wyraźnie dawał mu mecenas do poznania, że nic przeciw temu nie ma. Sądził zatém młodzieniec, że pan Rozenkranc w tym zamiarze to mówił, ażeby on wystąpił otwarcie i krok uczynił dzisiaj stanowczy.

Pan Rozenkranc zmierzył go wtedy takim wzrokiem, jakiego on nigdy jeszcze u swego pryncypała nie widział; potém zaś śmiać się zaczął mecenas niezdrowym jakimś śmiechem, że po Rubenie przechodziły ciarki. Zamiar syna Nuchimowego zdawał się być tego rodzaju dla pana Rozenkranca, że on nie uważał nawet za stosowne, by się unieść jakimkolwiek gniewem: on podeptał młodzieńca samym już śmiechem swoim. Następnie nic nie mówiąc, postąpił ku biórku, i obliczywszy mu resztę jeszcze należytości, wyjął parę banknotów, a rzuciwszy na stół, dodał tylko, iż rachunek z nim już skończony, i może sobie odejść. Dependentów zaś z aspiracyami matrymonialnemi nie potrzebuje.

Młodzieniec stanął, jak piorunem rażony.

Pan Rozenkranc wskazał mu tylko ręką na pieniądze, dając znak, żeby już zakończył.

Ruben, jakby teraz się ocknął, spojrzał z oburzeniem na swego mecenasa, a nie tknąwszy banknotów, wyszedł pełen rozpaczy i goryczy w sercu. Pan Rozenkranc później zaś odesłał mu należytość do domu, ażeby raz już z nim został zkwitowany. Zdało się teraz Rubenowi, że go pali we wnętrzu. Więc i on był tylko narzędziem w ręku spekulanta?...

W domu Nuchima byli wszyscy powarzeni, ojciec i matka i stara babka, która wnuka tak kochała. Ojciec wzdychał i lamentował i przez mokre źrenice patrzał na igłę swoję, która tym razem była mu ciężarem. On stracił dziś wszelką nadzieję.

Młodzieniec miał tylko słowa pogardy dla pana Rozenkranca, lecz Amalia przecież go nie zdradziła?.. Z jéj strony on nic jeszcze nie zaznał złego.

Starał się przeto koniecznie z nią widzieć, w obcym domu, gdzie się go nawet nie spodziewano. Ruben był pewnym serca dziewczyny. Lecz teraz musiał doświadczyć, iż panna Amalia wcale ojcu opozycyi stawiać nie myśli, i dość jasno a z całą dawną naiwnością mu powiedziała, że na niego wcale nie jest złą i taką zawsze pozostanie, pamiętna na dni, które w wolnych swoich chwilach z sobą przepędzali; ale czyż zaraz wszystko prowadzić ma do małżeństwa?... Ona uważa się sama za zbyt jeszcze młodą, by o tém już teraz myśléć mogła; śmiała się nawet wesoło z naiwną kokie-

teryą, iż on może mieć zaraz takie poważne myśli, jakby stary pedant,—ona zaś pedantów nie lubi.

Ruben oniemiał na takie słowa. Poznał tylko, że twardą przeszedł tu szkołę. Próżność naiwną panny i chętkę romantyczną wziął za gorące przywiązanie. Później jednak dowiedział się pan Ruben, iż panna Amalia nie była tak bardzo naiwną, jak to on myślał. Rodzice pokazali jéj inny związek, również przyjemny, a tém przyjemniejszy, że tam liczono na krocie... a skoro dziewczynie wytłómaczono, że tu będzie miała na wszelkie wygody i zbytki, a gdzieindziéj musiałaby chyba siedzieć w kuchni i przy dzieciach, jako inne, które nie mają mężów krociowych, naiwna wówczas dziewczyna nieco się zamyśliła, ale się prędko zdecydowała. Przy całéj naiwności miała w sobie coś ze krwi ojcowskiéj.

Ruben myślał, że na tém już koniec nieszczęściom jego i rodziny. Wkrótce się dowiedział, że ojciec nie mogąc się dziś z niczego uiścić, otrzymał niespodzianie nakaz płatniczy w sprawach wekslowych.

Syn zastał przerażenie ogólne w domu ojca. Lecz nie opuściwszy starego, otarł mu łzy i pognał czémprędzéj wstrzymać niebezpieczeństwo.

Wszedł do domu pana Rozenkranca ojca, którego był pan Nuchim dłużnikiem; lecz tu się przekonał, że stary wcale nie myśli się cofnąć. Na wszelkie jego przedstawienia wierzyciel zostawał głuchym. Dał mu do poznania, że już długo czekał, kapaniną odbierając, i to same tylko procenta, kapitału zaś nic jeszcze nie otrzymał; dłużéj dziś czekać nie myśli.

— Wszak pan Rozenkranc jest izraelitą?—zawołał młodzieniec, wydobywszy ostatni argument, jakim chciał serce żyda zmiękczyć.— Nie będzie przecież do rozpaczy doprowadzał drugiego izraelity?...

— Nu, co to?... Naco ja mam go do rozpaczy doprowadzać?... Ja chcę tylko moje *pieniądzów*... Gdy chodzi o *pieniądzów* — młody pan Nuchim, choć młody, wiedzieć przecie musi, że w *interes* nie ma *pokrewieństwo*, nie ma *przyjacioły*... Nu, czy ja żydowi mam *swojego* darować?.. Czemu?.. że on żyd?.. To ja mam moje dzieci, co także są żydami, krzywdzić?...

— Ah! pan ich nie ukrzywdzisz, jeżeli trochę będziesz miał cierpliwości... Pańskie dzieci nie umierają z głodu, gdy jego giną tam w izbie ciasnéj, ciemnéj.

— Nu, czy ja im mam jeść dawać?... Czy to do mnie należy?...

— Pan im nie dasz jeść, i my tego nie żądamy. Ale pan poczekasz czas niejaki... a ja sam oddam mu za ojca... Tymczasowo dam na konto, te, co mam dwadzieścia i pięć...

— Nu, co to jest... dwadzieścia i pięć?.. Ja tego nie *będę przyjął*... To chyba na procent... na *Gerichtskostcn*... To i na *koszt tego* nie wystarczy.

— Ja dam z tego część panu na procent, część zaś będzie na kapitał.

— Czy ja będę sam za ojca jego płacił? — mruknął stary.— A pan Ruben skąd odda?.. Dzisiaj, nu, nic nie ma... No, ja przyjmę te dwadzieścia i pięć... bo ja litościwy, ale to będzie procent, będzie na *koszt*... nu, co mam robić! poczekam czternaście dni...

Ruben poznał, iż tu nie ma co robić; a nie chcąc zasobu ostatniego wyrzucać w błoto, ażeby sprawa po czternastu dniach tak samo stanęła, jak dzisiaj, — odszedł z pogardą dla tego prawego izraelity.

Do swego dawnego pryncypała zaś iść nie myślał, chociaż wiedział, że tu są w połowie i jego pieniądze.

Gdy wrócił do ojca, z oburzenia stary trząść się zaczął, nie mogąc pojąć, że dziś żyd wyciska ostatnie z żyda. Atoli on był jeszcze pewnym, iż się to da jakoś załagodzić... bo przecież żyd bogaty nie będzie egzekwował a fantował żyda ubogiego!

Czy pan Nuchim tu dobrze sądził? Po kilku dniach przekonał się, że się omylił, gdyż pewnego dnia wszedł niespodzianie woźny sądowy z pełnomocnikiem pana Rozenkranca ojca i dwoma taksatorami. Pan Nuchim zrozumiał, co to znaczy.

Przerażenie i lament powstały w domu biednego żyda. Dzieci podniosły krzyk ogólny, a matka krzykiem i płaczem gwałtownym usiłowała zmiękczyć twarde serca egzekwujących.

Gdy poznała, iż wszystko daremne, pognała czémprędzéj szukać syna, by on dał im tu jaką radę.

Ledwo odszukać mogła Rubena. A kiedy on przybył, było już wszystko zafantowane. Brano się teraz do opieczętowania... Ruben przedstawił im, że zaraz przyniesie, co będzie mógł... Niechaj się wstrzymają!... Oni przystali na zwłokę krótką, póki on nie powróci.

I była chwila niepewna: gdy jedni lamentowali, trzęsąc się na całém ciele, a drudzy z założonemi w kieszeni rękoma spokojnie a zimno czekali na powrót młodzieńca.

Ruben pobiegł czemprędzéj do pana Rozenkranca ojca, by zmiękczyć jego serce, lecz tu poznał, iż wszystko daremne... Dla wyratowania ojca, przeniósł dziś na sobie, że wszedł do pana Dawida Rozenkranca, lecz tu otrzymał lakoniczną tylko odpowiedź. iż on się takiemi interesami nie trudni. Jeśliby tam były i jego pieniądze, toć on dał zupełne pełnomocnictwo panu Rozenkrancowi ojcu. W żadne zaś porywy wspaniałomyślności on się nie bawi, gdyż pan Ruben winien wiedzieć, że kto jest prawnikiem, ten się trzyma tylko litery prawa.

Pełen goryczy a pogardy wyszedł z domu tego młodzieniec.

Z rozpaczą w piersiach, z obliczem ponurém wracał do domu ojca, gdzie zastał oczekujących jego powrotu.

Dawał, co miał ostatniego, lecz teraz zabierano się już do wynoszenia rzeczy. Lament doszedł do ostatnich granic.

Wtedy stara babka, jakby natchniona ostatnią jeszcze myślą, poprosiła, by się jeszcze chwilę wstrzymano, zanim ona nie wróci.

Z lekceważeniem na to spojrzano tylko, wynosząc rzeczy jedne po drugich.

Stara skierowała swoje kroki do mieszkania państwa Dulębów.

Tu z pewną obawą weszła w te progi, prosząc, by jéj pozwolono widzićć się z samą panią. Nie chciano jéj z początku wpuścić, lecz przypadkiem usłyszała sama pani, iż jakaś staruszka domaga się z nią widzićć, toż przywołała ją.

Płacz staréj kobiecie zrazu nie pozwolił dojść do słowa... ledwo co wyjąkać mogła:

— Jasna pani czy poznać dziś zechce starą?...

— A któż jesteś, starowinko?...

— Jasna pani nie pozna dziś pewnie Rywki, żony Abramka... ale jasnéj pani nieboszczka matka znała ją dobrze....

— To Abramkowa?...

— Jasna pani mnie pamięta?...

I tu spojrzała ze współczuciem, dodając: — Taka mała była wtedy!... Ale ja jasne państwo zaraz poznała, gdy mój Nuchim mi mówił, dla kogo on robi... dla jaśnie pana... Ja nie chciała przychodzić, bo sobie myślała... Jasna pani nie pamięta Abramkowéj... Prawda, postarzała się?... Bo to dużo lat temu, i u nas biéda, u nas nieszczęście... Dzisiaj... ach! czegom ja się doczekała?!...

I tu zaczęła opowiadać całe swoje i swoich nieszczęście.

Pani Dulębina słuchała ze współczuciem; przypominała sobie bowiem dni one, kiedy jeszcze była na wsi dzieckiem... wieś zaś jéj zawsze była milszą, niżeli dzisiejsze miasto... a tam teraz siedzą obcy w ich dawnym dworze.

— Cóż ja ci pomogę dziś, kobiéto?... Ale poczekaj!.. pójdę do męża swojego... zrobimy, co będzie można.

— Ah! mnie Bóg mój powiedział, że moja pani będzie słuchała nieboszczki matki swojéj, i nie da nam upaść... Bo matka, to była święta kobiéta!—zawołała ze szczerém uczuciem.—Moi państwo!.. dawne to jeszcze było państwo!...

Izraelitka została w pokoju, modląc się po cichu do Boga tego, co jest ojcem zarówno żydów, jak i chrześcian!

Pani Dulębina weszła do pokoju męża i zaczęła mu opowiadać.

— Co? ten Nuchim?... To zięć waszych tam Abramków?.. Także go znam... Bo mój krawiec... Znam fuszera. Czy nie głosował na wyborach przeciw nam?.. Ja go będę za to jeszcze wspierał?..

— Ah! co on tam wié o wyborach, o całéj polityce!.. Poszedł za innymi.

— Ha! skoro poszedł, niechajże idzie i teraz!... Ja go mam za to ratować?.. Winien mi jeszcze tyle! brał naprzód pieniądze!.. Niechaj wpierw odrobi, a potém się zkwitujemy!

— Alež, mężu! Czyliż nam wypada... pamiętać to jemu?.. Gdybyś wiedział, jak oni tam mrą z głodu!... Dzieci biédne wyrzucono z chaty na dwór!..

— Czy ja mam je do siebie wprowadzać?... Jam mam-ci żywić jeszcze oponentów naszych przyszłych?.. A to mi się podoba!...

— Mój mężu! Ty sam w to nie wierzysz, żeby on był tu winien... Tyś sam przecież mówił, że twój krawiec, to choć żyd, ale nie najgorszy... Abramkowa znów była moim rodzicom na wygodzie... nieboszczka matka moja lubiła ją...

— No, wasza Abramkowa—to i Abramkowa... Ale to nie Abramkowa, ani Abramko wasz? To przecież Nuchim?.. Co nas to ma obchodzić!.. On mnie za tamto winien... naprzód dawałem, bo gadał iż u niego biéda... I czekam, zanim odrobi... tać go nie śpieszę... bo mi i tak teraz nie bardzo potrzeba... A ja mam znowu dawać... i na jakie to konto?.. On odrobi?... Ja i tak nie chcę tego!... Zmieniłbym... bo fuszer nie robi podług mody...

— Ah! mężu!..

— Ale, pal go dyabli!.. Nie o mnie chodzi... Chłopcy moi i tak chcą modniejszego krawca.

Jak zaczęła zaś żona wystawiać mężowi, udobruchał się nareszcie, że dał naprzód na odrobek trzydzieści złotych reńskich, lubo nie żądał jego natychmiastowéj roboty... czyni to, jak mówił, tylko dla żony swojéj.

Ta, rada ze skutku, wróciła do swego pokoju, i tu dołożyła jeszcze ze swoich dwadzieścia. Dała to teraz błogosławiącéj ich kobiecie, dodając przytém, że odrobi zięć, kiedy będzie mógł... a chociażby wszystkiego nawet nie odrobił—oni przez to nie zubożeją... A niechaj i Nuchimowa potém przyjdzie, znajdzie się jeszcze i dla dzieci z mąki, krup, ze starzyzny może jakiéj, bo dzieci nie będą żyły z tego, co po oddaniu długu pozostanie.

Stara chciała paść do nóg „jasnéj pani“, lecz ta do tego nie dopuściła. Starowina z uniesienia wdzięczności ledwo co nie omdlała. Musiała usiąść i nieco się wydychać, wiedząc, iż z wielkiego wzruszenia takby nie doszła do domu.

Wróciwszy do Nuchimów, zastała tu wszystko już na kołach, gotowe do wywiezienia; pozabierano nawet cudze suknie, które krawiec miał w robocie.

Płacz był ogólny i rozpacz. Ruben sam nie mógł dać tu rady. Wchodził w jakieś układy... ale to sprawy nie wstrzymało... on nie mógł tu końca wywieść, sam będąc w trwodze wielkiéj a oburzeniu.

Lecz stara wracając, zdala już wołała:—A ja nie mówiła, że moi państwo dadzą nam poratowanie?.. Oni sobie przypomną Abramków... i nie dadzą upaść ich dzieciom. Oni wyratują żyda!..

Nuchim stał z otwartemi oczyma, nito senny, i nie mógł nic z tego pojąć z początku. Ruben teraz ożył. Do przyniesionych pięćdziesięciu złr. zebrał on jeszcze dwadzieścia, dodał do tego zegarek swój, i zaspokoił całkiem pretensyą.

Rodzice jego zostali uratowani.

Ojciec na to patrzał—i nie mógł jeszcze przyjść do siebie. Zdawało mu się, że to sen. Żyd go dziś egzekwuje a chrześcianin ratuje.

Ruben zaś przebył w tych nie wielu dniach niemałą szkołę życia.

Po tém wszystkiém rzekł do siebie:

— I oni jeszcze dziś myślą, że ludzi łączy i rozdziela wyznanie?..

Juliusz Turczyński.





POLITYCZNE I SPOŁECZNE OBYCZAJE

XVIII WIEKU

W POLSCE I W ANGLII.

II.

„W żadnym kraju i w żadnéj epoce niemasz przykładu sądownictwa, sprawującego swoję władzę z równém zapomnieniem sprawiedliwości i wstydu...." (1). Słowa te angielskiego historyka odnoszą się wprawdzie do czasów Karola II-go, ale w r. 1760 piszący Fielding zapewnia poważnie w jednym ze swoich pamfletów, że wié o jednym tylko przypadku, w którym ręczyć można za bezstronność sędziów angielskich, a jest nim ten, kiedy nie mogą oni nic dostać ani od jednéj, ani od drugiéj strony (2). Wyraz „*Trading Justices*" (handlujący sędziowie) przechował się do końca wieku XVIII w powszechném użyciu i z bardzo szerokim sensem (3). Ta strona angielskich stosunków wewnętrznych pozostaje zresztą ciemną ich stroną nawet za dni naszych. Szatańska juryzdykcya kasacyjna, o któréj interwencyi na trybunale lubelskim podanie przechował jeden z naszych powieściopisarzy, znalazłaby dziś jeszcze pole do popisu nad brzegami Tamizy. Nigdy zaś w naszych stosunkach, nadużycia władzy sądowéj nie mogły mićć téj, co tam doniosłości zwłaszcza w zakresie juryzdykcyi kryminalnéj. Sprzeciwiał się temu i zakres atrybucyi przysługujących naszym trybunałom i charakter prawodawstwa, i wreszcie charakter ducha narodowego, narodowych instynktów naszych, tak często, tak łatwo piętnowanych

(1) Lecky, I, 7. — (2) Ob. jego portrety urzędników sądowych w „The Coffeehouse Politician" i w „Amalia." — (3) Lecky, I, 484.

cechą barbarzyństwa. Zobaczmy, jak w świetle dzisiejszych pojęć o cywilizacyi, wygląda ta strona tamtejszych stosunków. Angielskie prawodawstwo kryminalne XVIII wieku nie zna tortury i arbitralnego uwięzienia, ale, jak słusznie zaznacza nowoczesny historyk (1), na têm kończy się wszystko, co na jego korzyść powiedziéć można. Przewiduje ono natomiast nie mniéj jak 160 przestępstw podlegających karze śmierci a cyfra czterdziestu do pięćdziesięciu wyroków na gardło, wydanych w ciągu jednéj kadencyi kryminalnego jury (które zasiada co sześć tygodni), stanowi przypadek zwyczajny. W r. 1732 cyfra ta sięga siedmdziesięciu w londyńskiéj juryzdykcyi (Old Bailey) (2); w małém zaś, owcześnie, miasteczku Cork siedmnastu przestępców idzie jednego dnia na szubienicę! Egzekucye stanowią upodobany przedmiot ludowego widowiska, a nawet ludowéj zabawy. Skazani udają się na miejsce stracenia w świątecznych swoich strojach, w białych rękawiczkach i letnią porą, z bukietami u piersi. Jeżeli zachowują się mężnie i okazują pogardę dla śmierci, huczne oklaski tłumów towarzyszą im w pochodzie przez ulicę i na rusztowaniu. Dzięki dostarczaniu im gorących trunków, większość tych biedaków ubiega się o ten ostatni aplauz, przybierając pozór bohaterskiéj obojętności lub nawet wesołego humoru (3). Przestępcy głośniejsi wystawiani bywają nadto na widok publiczny w więzieniu, przed egzekucyą, i pokazywani za pieniądze! Dochód z tego źródła wynosił raz w Newgate 200 funtów szterlingów (4). Ostatni zaś akt ponurego igrzyska, tyle budzącego ciekawości, nie kończy się zawsze na prostém zadzierzgnięciu stryczka. Zbrodnia zdrady stanu pociąga za sobą karę polegającą na powieszeniu, odcięciu powieszonego zanim zdążył skonać, rozpłataniu mu brzucha i spaleniu wydobytych zeń wnętrzności przed jego oczami. Kara ta nie stosuje się do kobiét, ze względu na wstydliwość: zastępuje ją spalenie żywcem, stosowane aż po rok 1750. Wstydliwość nie sprzeciwia się zresztą publicznemu ćwiczeniu przestępczyń, przywiązanych z tyłu woza ciągnionego przez ulicę, który to rodzaj egzekucyi praktykuje się jeszcze w r. 1820. Tortury wykluczone są z prawodawstwa, ale więzień oskarżony o przestępstwo, pociągające za sobą karę śmierci, a niechcący bronić się, podlega prawu, które przepisuje, aby rozebrawszy go do naga, położono go na wznak w ciemnym pokoju i nałożono mu na piersi tyle kamieni, ile trzeba dla powolnego przyduszenia. W roku 1741 prawo to zostało jeszcze zastosowaném do obwinionego, który

(1) Lecky, I, 505. — (2) Andrew's Eigteenth Century, str. 271. — (3) Muralt. Letters on the English Nation, str. 42—44. — (4) Harris, Life of Hardwicke, I, 158.

jednak w ostatniéj chwili godzi się na wyznaczenie adwokata (1). Więzienia zresztą same przez się w tym stanie, w którym się znajdują, ujść mogą, niezależnie od takich wyjątkowych praktyk za bardzo wystarczające narzędzie tortur. W r. 1729 głośny filantrop Oglethorpe wyjednywa, po długich usiłowaniach, od parlamentu urzędową ankietę nad stanem dwóch londyńskich więzień *(The Fleet* i *The Marshalsea)*, rozciągnioną następnie do całéj organizacyi więziennéj. Pokazuje się, że urząd dozorcy nad pierwszém ze wspomnianych więzień podlega regularnemu wystawieniu na sprzedaż, że niejaki John Huggins nabył ten urząd za 5,000 funtów od lorda Clarendon'a i odprzedał go za tę samą sumę niejakiemu Bambridge w r. 1728; że w dodatku do przewidzianych prawem dochodów z tegoż urzędu, kolejni ci nabywcy zwykli wyciskać od więźniów znaczne opłaty; więźniowie zaś, nie chcący lub nie mogący ich uiszczać, stają się ofiarami straszliwych nadużyć. Zamykani np. bywają w izbie zapełnionéj nieznośnym zaduchem, bo pozbawionéj wszelkiego przewiewu, a umieszczonéj nad wspólném miejscem ustępowém i służącéj także za trupiarnię, gdzie składają się ciała więźniów aż do wypełnienia legalnych formalności. Pamiętać wypada, iż między więźniami w ten sposób traktowanymi jest znaczny procent uwięzionych jedynie za długi. W r. 1759 obliczają tę ostatnią kategoryą więźniów na 20,000 osób (2). Ankieta z roku 1729 zaznacza przykład biédnego żołnierza, oskarżonego fałszywie o złodziejstwo, uniewinnionego, ale aresztowanego natychmiast po wyroku w charakterze dłużnika, z tytułu nieuiszczonych opłat więziennych, (za czas aresztu poprzedzającego uniewinnienie). W Dublinie znaleziono więźnia, który mając nogę złamaną, przeleżał dwa miesiące w łóżku zalewaném peryodycznie przez kanałowe ścieki i gnijącém pod nim! Ankieta zaś, o któréj mowa, przyniosła owoce takie, jak większa część ankiet parlamentarnych. W r. 1741 jeszcze słychać o dwóch więźniach zmarłych z głodu w jedném z więzień Dublińskich (3). W r. zaś 1750 specyalny rodzaj gorączki, będący wytworem niegodziwych warunków hygienicznych, narzuconych więźniom *(jail fever)*, grasuje tak silnie w Newgate, że podczas sesyi jury kryminalnego przyprawia o śmierć dwóch sędziów, lorda-majora, jednego z aldermanów i znaczną liczbę niższych urzędników.

Pewna twardość uczuć, pewien brak tych czulszych instynktów natury ludzkiéj, z których właśnie składa się jéj tak nazwana ludzkość, należą po dziś dzień do znamiennych rysów charakteru

---

(1) Andrews, str. 285—286. — (2) Lecky, I, 502. — (3) Tamże.

angielskiego. Ale w wieku XVIII narodowy ten charakter nosi na sobie piętno prawdziwéj srogości, znajduje swój wyraz w sądowych, administracyjnych i prawodawczych nawet pomnikach, które czyniłyby prawdziwą zagadkę z późniejszéj cywilizacyjnéj roli angielskiego społeczeństwa i dzisiejszego jego stanowiska w rodzinie europejskiéj, gdyby przyjętemi być miały w charakterze prejudykatów historycznych, z bezwzględnością równą téj, jaka stosowaną bywa do naszéj przeszłości. Znane są w naszéj historyi spółczesnéj przykłady surowości, okrucieństwa nawet. Talent znakomitego, choć niekoniecznie szczęśliwie pod tym względem natchnionego powieściopisarza, udzielił im w ostatnich czasach smutnego rozgłosu. Ale odnoszą się one do okoliczności wyjątkowych; mają charakter represalii wojennych ; nie należą do żadnego systematu; nie zostają nigdy uświęconemi żadnym artykułem prawa. Ogniem i mieczem na Ukrainie wojujący Jarema jest tylko żołnierzem, i najczęściéj żołnierzem na własną rękę, bez legalnego mandatu. Prawodawcami natomiast są angielscy ujarzmiciele Irlandyi w XIII w. Ustawa z r. 1719, mocą któréj *niezarejestrowani* księża irlandzcy podlegają piętnowaniu na twarzy rozpalonėm żelazem, przechodzi bez opozycyi przez irlandzką izbę gmin. Wydaje się zaś za łagodną członkom miejscowéj rady stanu. W ciągu tegoż roku, uchwalony w tym sensie bill odesłany zostaje dla potrzebnéj ratyfikacyi do Anglii, z poprawką zastępującą karę piętnowania karą kastracyi! Dopiéro opozycya lordów irlandzkich uchyla ten ostatni wniosek (1).

III.

O moralnym stanie społeczeństwa, odpowiadającym temu kształtowi politycznych, administracyjnych i prawodawczych stosunków, łatwo powziąć wyobrażenie. Ogólne nadwérężenie pojęć etycznych, ogólne rozpasanie najnikczemniejszych instynktów — oto jego cecha. Rozwiązłość obyczajów nie napróżno świeci z góry ponętnym przykładem. Nietylko w publicznėm ale i w prywatnėm życiu Walpole pełni przez lat dwadzieścia urząd koryfeusza. „*Quand Auguste avait bu, la Pologne était ivre*“, powiedziano o fatalnéj w dziejach naszéj epoce. Epokę, uderzającém do téj zbliżoną podobieństwem, otworzyła w historyi angielskiéj dynastya hanowerska. Historycy miejscowi pozostają w niezgodzie co do pochodzenia wstrętnego nałogu, będącego po dziś dzień, jak się wyraża je-

(1) Froude, English in Ireland, str. 546—557.

den z nich, „naczelną klątwą angielskiego życia“ *(the master curse of English life)* (1). W r. 1581 piszący Camden (2) zapewnia, że za dni jego nałóg ten świeżym jest jeszcze pomiędzy jego ziomkami; że ci ostatni uchodzili długo za najwstrzemięźliwszych z pośród narodów północy, i dopiéro z wojen w Holandyi prowadzonych wynieśli upodobanie do gorących napojów. Niemieckie źródłosłowy wielu wyrażeń, odnoszących się do picia, zdają się udzielać prawdopodobieństwa temu twierdzeniu tak, jak i w naszéj polskiéj mowie uchodzi słusznie za wskazówkę przejętéj w tym względzie od sąsiadów zarazy. W każdym razie rozwój zaszczepionéj w ten lub ów sposób choroby jest tam, w Anglii, niezrównanie szybkim. Szekspirowski Jago stawia już Anglika na pierwszém miejscu między europejskimi pijakami (3). W r. 1657 zaś, nieco hyperboliczny wprawdzie pisarz woła: „Zdajemy się być zalani gorącemi trunkami, albo być pijaną wyspą. Pijęmy, jak gdybyśmy byli prawdziwemi gąbkami... albo mieli tunele w gębach naszych...“ (4) Jednak dopiéro z początkiem XVIII wieku choroba przybiera rozmiary klęski społecznéj, rozmiary, które śród naszego polskiego społeczeństwa nigdy, powiedziéć to można śmiało, dosięgniętemi nie zostały. Za króla Sasa Polak jadł, pił i popuszczał pasa, ale nigdy ani za króla Sasa, ani wcześniéj, czy później, nie zapijał się na śmierć, przynajmniéj gromadnie. Pomiędzy najzapamiętalszymi nawet z naszych pessymistów, nie zdobył się żaden historyk na oświadczenie, że uwzględniając wszystkie jego następstwa, rozpowszechnienie się nałogowego picia ***dżynu***, przypadające mniéj więcéj na trzeci dziesiątek ośmnastego wieku, uchodzić może za fakt najdonioślejszy w dziejach tego stulecia, „przewyższający o wiele ważnością swoją czysto polityczne lub militarne zdarzenia téj epoki“ (5). Tak doniosłą zaś odpowiedzialnością obciążony napój zastępuje tylko w upodobaniach ludowych miejsce piwa, którego konsumcya i tak już była przekroczyła oddawna granicę umiarkowanych potrzeb. W roku 1866 roczny wyszynk gambrynusowego płynu wyniósł 12,400,000 beczek, przy ludności nie przenoszącéj 5,000,000. Teraz produkcya alkoholu obliczona na 527,000 gallonów (6) tylko w roku 1684, dochodzi 2,000,000 w 1714, 3,601,000 w 1727 i 11,000,000 gallenów w 1750 roku. Szynkarze wywieszają nad drzwiami swemi szyldy oznajmiające klientom, że za jednego penny mogą upić się,

---

(1) Lecky, I, 476.—(2) History of Elisabeth.—(3) „In England they are most potent in potting. Your Dane, your German and your swag-bellied Hollander are nothing to your English.“ Othello. Akt II, scena 3. — (4) Malcolm. Manners and Customs of London. I, 286. — (5) Lecky, I, 479. — (6) Gallon = 4,5 litrów.

a za dwa penny upiją się na śmierć i dostaną słomy bezpłatnie. Jakoż alkierze wysłane słomą oczekują amatorów. W r. 1750 lekarze londyńscy zaznaczają 14,000 przypadków chorób, bezpośrednio z nadmiernego użycia *dżynu* powstałych a po większéj części nieuleczalnych. W roku 1751 Fielding zapewnia, że ów *dżyn* stanowi główny „pokarm“ więcéj niż 100,000 osób z pośród ludności stołecznéj, i przepowiada, że za dwadzieścia lat, jeżeli nie będzie obmyślony sposób zaradzenia złemu, nie wiele pozostanie się z ludu pospolitego dla konsumowania produkowanych trunków (1). Złe nie ogranicza się zaś bynajmniéj do ludu pospolitego. Wiemy o Walpolu i o jego politycznym antagoniście Bolingbroku, przechowało się podanie o Oxfordzie, skądinąd nawet w prywatném życiu szacownemi celującym przymiotami, że nierzadko pojawiał się przed samą królową w stanie nietrzeźwym. Najpierwszy z należących do téj epoki moralistów, Addison, uchodzi w spółczesnych pamiętnikach za hołdującego także fatalnemu nałogowi. Podejmowane już od roku 1736 środki zaradcze, w formie ustanowionéj i podwyższanéj ciągle akcyzy, pozostają bezowocnemi. W roku 1751 dopiero przedsiębrane przez Pelham'a obostrzenia okazują niejaką skuteczność.

Z pijaństwem w parze idzie szulerka, ogarniająca nietylko sferę arystokratyczną ale i masy ludowe, za pośrednictwem szeroko już teraz rozwiniętéj gry giełdowéj i rozpowszechnionych loteryi. Płeć piękna nawet ulega jéj powabom. Miss Pelham, córka dopiero co wspomnianego ministra, wymienianą bywa między najgłośniejszymi szulerami swojego czasu. Profesor wista spotyka się z nauczycielem tańca w wykwintnych buduarach. Lady Cowper czyni wzmiankę w swoim dzienniku o przyjęciach dworskich, na których najmniejsza stawka wynosi 200 gwinei. Genialny Chesterfield trawi nocy całe przy zielonym stoliku. Addison ugania się za wygranemi loteryjnemi. Najpiękniejszy z mostów na Tamizie, Westminster-Bridge, jest pomnikiem téj fazy życia narodowego : złożyły się przeważnie na jego wybudowanie dochody z loteryi. Z takichże samych dochodów powstała w r. 1753 suma, za którą nabyte były Sloanowskie zbiory i Harleianowskie rękopisy : pierwszy początek dzisiejszego British-Museum.

Rozpusta we wszystkich kierunkach i formach, w niedorównaném nigdzie może, ale w spółczesném naszém życiu z pewnością wszelką niedościgniętém rozpasaniu—oto charakterystyczne znamię téj epoki angielskiego życia. W r. 1712 klub, złożony z młodych

(1) W Pamflecie p: t. On the late Increase of Robbers.

ludzi, należących do najwyższych sfer towarzystwa, którzy przybierają nazwę *Mohocks*'ów, obiera sobie jako rozrywkę nocne wycieczki po ulicach w stanie nietrzeźwym, mające na celu napastowanie przechodniów i poddawanie ich najniegodziwszym zniewagom i okrucieństwom. Jedna z urozmaicanych przemyślnie form téj zabawy arystokratycznéj polega na tak zwaném „głaskaniu lwa", to jest zmiażdżeniu nosa nieszczęśliwéj ofiary i wyłupienia jéj oczu palcami. Druga na wywracaniu napotykanych kobiet do góry nogami i pastwieniu się nad obnażonemi w ten sposób członkami. Inna jeszcze na wsadzaniu otyłych matron do beczek od piwa i staczaniu takowych po stroméj i kamienistéj pochyłości (na *Snow Hill*). Między należącymi do bandy wymienianym jest syn jednego z biskupów, między aresztowanymi w r. 1715 znajduje się młody baronet (1). Ale aresztowanie wszelakich złoczyńców jest rzadkim wypadkiem. Konstablowie nie łatwo odważają się na zastąpienie drogi szalejącym *Mohocks*'*om*. Nierzadko padają sami ofiarą i wracają do kurdygardy zbici niemiłosiernie, jeżeli nie z obciętemi nosami. Mała zresztą liczba tych stróżów porządku i bezpieczeństwa publicznego składa się głównie, jak opowiada Fielding, „ze starych wycieńczonych biédaków, nie mogących inaczéj zarobić na chléb i niezdolnych nawet do podniesienia kija, stanowiącego ich jedyne uzbrojenie;" pijanych zresztą często, jak zapewnia Horacy Walpole, i wtedy współzawodniczący z członkami Mohocks'owego klubu w popełnianiu wszelakich nadużyć. W ten sposób w ciągu r. 1742 zdarza się, iż pod pozorem pełnienia swéj policyjnéj funkcyi, gromada konstablów aresztuje jednego wieczora wszystkie napotkane przez się kobiety i zamyka je w ciasnéj izbie, gdzie nad ranem cztery okazują się zaduszonemi na śmierć, dwie konającemi, reszta srodze poturbowaną. Między nieżywemi znachodzi się biedna praczka, wracająca od roboty do domu, w stanie ciężarnym (2). W r. 1753 uorganizowana banda rozbójników trzyma stolicę przez miesiące całe w stanie panicznego strachu. Wyznaczona nagroda 100 f. za pochwycenie któregokolwiek z nich ten tylko odnosi skutek, że lekkomyślni biédacy dają się nakłaniać do rozbójstwa przez łotrów, którzy denuncyują ich następnie dla otrzymania nagrody (3). Przy schyłku XVIII wieku jeszcze, opryszkowie, na których głowę wysoka cena nałożoną została, przejeżdżają się śród białego dnia po

---

(1) Suift's Journal to Stella. The Spectator, 324, 335, 347. — (2) Horace Walpole. Letters to Sir H. Mann, lipiec, 1742 r. — (3) John Fielding, Account of the origin and effect of a police set ou foot in 1753.

mieście, w otoczeniu zbrojnych towarzyszy (1). I tego nie widzieliśmy nigdy pośród nas!

IV.

Widzieliśmy natomiast inną rzecz, która w obu społeczeństwach należy do najwięcéj wybitnych i najwięcéj ujemnych rysów ich spółczesnéj charakterystyki, która w obu społeczeństwach tę samę odgrywa rolę, rolę osłabiającego, paraliżującego i rozstrajającego pierwiastku. Jest nią uderzająca atonia społecznych organów, będąca prawdopodobném następstwem poprzedzającego ją nadużycia sił, a objawiająca się powszechną obojętnością mas wobec narzucających się im zagadnień społecznych, powszechną ich apatyą, powszechną skłonnością do używania dnia dzisiejszego bez oglądania się na jutro. Zjawisko, przedstawiające wiele podobieństwa z tém, na co patrzymy we Francyi dzisiejszéj.

„W epoce dzielącéj Reformacyą od Rewolucyi,“ pisze Lecky „wstrząsały społeczeństwem angielskiém niektóre namiętności, należące do najpotężniejszych z pomiędzy tych, którym przystępnemi są wielkie zbiorowiska ludzi. Religijny entuzyazm, towarzyszący wielkim przewrotom i sporom pojęć religijnych, patryotyczny entuzyazm zagrzany śmiertelną walką z obcym nieprzyjacielem, entuzyazm wolności walczącéj z despotyzmem, entuzyazm lojalizmu walczącego z duchem rewolucyjnym, oto główne czynniki życia angielskiego w téj epoce... Wszystkie te entuzyazmy uśmierzyły się stopniowo teraz (w połowie XVIII wieku)... Zastąpione zaś zostały ogólném pogrążeniem w apatycznym egoizmie... Długa wojna o sukcesyą Hiszpańską nie zdołała obudzić energii narodowéj... Zdało się jakoby wszelkie interesowanie się wielkiemi kwestyami, które roznamiętniały naród w czasach Rzeczypospolitéj i Rewolucyi, zniknęło bez śladu, jak gdyby stare narodowe męstwo nawet zamarło w piersiach“... (2).

Na wiadomość o wylądowaniu Pretendenta, w r. 1745, Horacy Walpole pisze do jednego ze swych przyjaciół: „Lękam się, aby lud nie poprzestał na przyglądaniu się widowisku i wołaniu: „Nuże psie! Nuże niedźwiedziu! (*Fight dog! fight bear!*). Henryk Fox zaś: „Wade twierdzi, i słusznie w mojém przekonaniu, że Anglia należy do tego, który pierwéj tu zdąży, i jeżeli możesz powiedziéć, kto kogo wyprzedzi z 6,000 Holendrów i dziesięciu batalionów angielskich, z 5,000 Francuzów i Hiszpanów, tedy wiesz o naszych losach .....“

(1) Lecky, I, 485. — (2) History of England, I, 468.

„Francuzi spóźnili się,—niech będą dzięki Bogu! Ale gdyby byli wylądowali przed tygodniem w 5,000 ludzi na którymkolwiek skraju téj wyspy, przekonany jestem doprawdy, że zdobycie wyspy całéj nie było by ich kosztowało jednéj bitwy“ (1).

Żadne zaś zaślepienie nie gra roli w téj obojętnéj postawie. Masy ludowe, patrzące zimném, albo co najwięcéj ciekawém spojrzeniem na zaglądające im w oko ewentualności, wiedzą o co chodzi. Przesadzają nawet w swoich wyobrażeniach przewidywane przez się następstwa. „Kiedy ostatnie powstanie wybuchło, pisze w r. 1749 lord Hardwicke, większość ludzi przekonaną była, tak sądzę, że nienawistny papizm i niewola będą nieuniknionemi owocami zwycięstwa, jeżeli przechyli się ono na stronę powstańców... jednak, gdyby szczęśliwy los nie był nam pozwolił sprowadzić na czas z za morza podostatkiem wojska regularnego, byli by ciż powstańcy zajęli naszą stolicę bez napotkania żadnego oporu, chyba ze strony téj garstki żołnierzy, którą mieliśmy w Londynie (2).

Niechęć do armii stałéj jest w części tylko pośród tych indyferentyzmem zarażonych mas ludowych wyrazem ich nieufności względem tronu i obawy przed despotyzmem; w części zaś, i to bardzo znacznéj, naturalném następstwem tegoż indyferentyzmu. Dbałość o utrzymanie swobód narodowych służy i tu najpospoliciéj za wygodny płaszczyk do okrycia wstydliwszych uczuć i motywów. Analogia zjawisk, uderzająca historyka uprzytomniającego sobie nasze polskie stosunki, zachowującego w uszach echo sejmowych naszych rozpraw i haseł, potęguje się tu aż do zawrotowego dla umysłu pomięszania miejsc, osób i zdarzeń.

„Armia stała, to gromada niewolników!... Nie jest zaś rzeczą godną wolnego narodu wprowadzać niewolę w swoje łono!... Oręż, jeżeli jest potrzebnym dla obrony kraju, nie powinien być oddany w ręce niewolnicze!...

Kto się odzywa w ten sposób? Czy nie który z naszych sejmowych zelantów wolności i obrońców pospolitego ruszenia? Nie, to angielski prawnik, Blackstone, drukujący w r. 1765 pierwszy tom swych uczonych „komentarzy“ (3).

Czyni się zaś on tylko w tym przypadku rzecznikiem stale do wyrażonych w ten sposób pojęć przywiązanéj opinii i stałéj polityki parlamentu. Ze wszystkich postanowień rządu restauracyjnego najpopularniejszém okazuje się to, które niweczy armią kromwelowską. Starają się wprawdzie następcy Karola II-go o utrzymanie

(1) Campbell, Lives of the Chancellors, VI, 236—238. Walpole, Letters, II, 65. — (2) Campbell, Ibid. VI. 256—257. — (3) Blackstone, I, Rozdz. 13, księga I.

jakiego takiego jądra siły zbrojnéj, ich bezpośredniemu zwierzchnictwu podległéj; ale parlament krzyżuje energicznie te usiłowania. Poważna siła zbrojna potrzebną jest tylko na czas wojny; w czasie pokoju trochę żołnierza przy boku królewskim, dla ozdoby majestatu, i trochę jeszcze dla trzymania załogi w głównych fortecach, oto wszystko czego żądać, na co pozwolić mogą synowie wolnéj Anglii. Gwoli zaś utrzymania ducha wojennego w narodzie, jest milicya—nasze pospolite ruszenie—o któréj utrzymanie i rozwój dbać należy. I nietylko teoretycy książkowi, jak Blackstone, nietylko warchoły polityczne, których i tu nie brakuje, ale najprzedniejsi mężowie stanu wyznawcami są téj ewangelii. Sam wielki Pitt jest jéj apostołem w epoce rządów Walpola (1). I wolna Anglia pozostaje istotnie bezbronną. W roku 1697, po dojściu do skutku pokoju Ryswickiego, parlament obstaje przy ograniczeniu armii do 10,000 ludzi, to jest do trzeciéj części tego kontyngensu, który zdaje się niezbędnym królowi Wilhelmowi dla bezpieczeństwa kraju. W r. 1717 Walpole, do opozycyi jeszcze należący, przemawia za zmniejszeniem pokojowego kontyngensu z 16 do 12,000. Jeżeli zaś nie dotrzymuje sobie w zupełności słowa po objęciu władzy, tedy nie dopuszcza przekroczenia cyfry 17,000 ludzi. A ta cyfra jest jeszcze, najpospoliciéj, cyfrą na papierze. W latach 1756 i 1757, wobec powtarzającéj się groźby wylądowania wojsk francuskich, pokazuje się, iż niema w całym kraju więcéj nad trzy półki zdolne do wyruszenia w pole. I sam wielki Pitt znowu przyznaje, że w przypadku pojawienia się 20,000 Francuzów, wszystko przepadło, Anglia zginęła (2). I wszyscy powtarzają to za nim. I ta sama zmora strachu panicznego siadła na wszystkich piersiach. I wszystkie oczy zwracają się błagalnie ku obcéj zkądkolwiek pomocy, z Holandyi, czy z Niemiec. Znamy i to u siebie! Rokiem pierwéj wprawdzie, głośno brzmiały protestacye przeciwko obecności wojsk cudzoziemskich na wolnéj angielskiéj ziemi. Tak—głośno, jak u nas! Ale teraz niemasz innego ratunku. Wolna Anglia nie jest w stanie obronienia siebie!

„Przyszedł dzień, w którym warunki pokoju utrechckiego, aczkolwiek nie dorównywające poniesionym ofiarom, aczkolwiek piętnujące wiecznym zarzutem minione pokolenie, stały się przedmiotem koniecznych, ale prawie nie podobnych do urzeczywistnienia życzeń naszych; w którym państwo doczekało się swego końca, (*the empire is no more*), porty w Holandyi wydane zostały nieprzyjaciołom, traktat z Holandyą stał się pustém brzmieniem, Minorka a z nią

(1) Lecky, II, 475. — (2) Lecky, II, 425

razem morze Śródziemne stracone dla nas, nawet posiadłości Amerykańskie zagrożone....“

Słowa są zawsze Pitta, w konfidencyonalnéj spółczesnéj depeszy (1), obok któréj znajduje się inna, ofiarująca Hiszpanii zwrot Gibraltaru, w zamian za pomoc w odzyskaniu Minorki (2). I ofiara daremna, i sam geniusz największego podobno z mężów stanu, których doczekała się dotąd Anglia, zdaje się w pierwszéj chwili niezdolnym do odwrócenia grożącéj państwu zagłady.

„Ktokolwiek jest ministrem — pisze w tymże czasie Chesterfield, ktokolwiek być nim przestał, wszystko z nami skończone, przekonany jestem o tém *(we are undone, I am sure)* i tu w kraju i za granicą. Tu w kraju przez nasze wzrastające długi i wydatki; tam za granicą przez prześladujące nas nieszczęście i przez niedołęstwo nasze. Król pruski, jedyny nasz sprzymierzeniec na całym świecie, jest teraz, lękam się o to, *hors de combat.* Hanower zdaje mi się być w tém samém położeniu co Saksonia, co prowadzi do aż nadto łatwo przewidziéć się dających następstw. Francuzi są panami położenia w Ameryce. Przestaliśmy być narodem.“ (3).

Przestaliśmy być narodem! Zginęliśmy!—znamy i ten okrzyk. Ostatnie słowo u nas narodowéj tragedyi. Ostatnie przedgrobowe hasło. Zwątpienie o sobie, rozpacz i ostatnie wspólne rysy rozchwiewającego się już niedługo podobieństwa. Dla czego rozchwiewa się ono? Dla czego analogia urywa się na téj wspólnéj karcie przeszłości historycznéj? Niech odpowiadają Pitt i Chesterfield i szlachetny Burke, przekazujący najpóźniejszym wiekom pamięć chwili, w któréj naród cały drżał przed zapowiedzianém przybyciem dwudziestu tysięcy Francuzów (4). Czy nie dla tego, że wiatr opiekuńczy rozegnał w Dunkierce i w Brescie zgromadzone floty; że pomyślniejsze geograficzne warunki zostawiły czas jednemu z dwóch narodów do przebycia dokonywających się w jego organizmie przeobrażeń, do dźwignięcia się z chorobliwego letargu, towarzyszącego temu wytwórczemu procesowi, do odzyskania sił, do wystąpienia napowrót w pełnym rynsztunku?

Zarejestrowanie téj odpowiedzi było celem niniejszych kartek.

---

(1) Do sir Benjamina Keene, sierpień 1757. Chatham Correspondence, I, str. 251.— (2) Tamże I, 247—256. — (3) Chesterfield do...., lipiec 1757. Miscellaneous Works, IV, 198. — (2) Lecky, II. 452.

K. Waliszewski.



KRÓLOWA.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH.

AKT TRZECI.

NAWOJKA.

OSOBY AKTU.

Jadwiga, Wilhelm, Dymitr, Jaśko, Jędrek, Pieś, Gniewosz, Suchenwirth, Nawojka, Dowojna.

Krużganki klasztoru Franciszkanów, zwanego Bosackim. W głębi gwar hucznej zabawy. Strojna młodzież — muzyka — śpiewy—tańce. Na ścianach wspaniałe opony — posadzka zasłana kobiercami. Wszędzie światła, kwiaty i pozastawiane stoły. Od przodu miejsce ustronniejsze nieco, z wyjściem na ogród.

Jadwiga *(uprowadzając Wilhelma)*.

Chodź, chodź — tam nazbyt gwarno.

Wilhelm.

Gwar ten wzlata
Na cześć uroku możnych tego świata.

Jadwiga.

Tam blasku nazbyt wiele.

Wilhelm.

W blasków chwale
Orły się pławią.

Jadwiga.

O! nie. Nie to wcale
Chcę mieć w tej chwili. Siądź tu — o tu, przy mnie.

Wilhelm.

U nóg twych.

Jadwiga.

Nie tak. O! bo ja nie wierzę
W słów marnych dźwięki. Od nich, jakby w zimnie,

Serce się moje wstrętem duszy wzdryga.
Siądź tu. Tyś tylko Wilhelm, jam Jadwiga—
Kochanków dwoje.—Teraz—mów mi szczerze,
Słowami których nigdy nie zapomnę:
Wszakżeś mój?

WILHELM.

Tak jest. Prawo mam niezłomne
Do twojéj ręki.

JADWIGA.

Nic nie mówisz zgoła
O słodszém prawie, o tém, co to zdoła
Sprawić, że komuś czyja chęć łaskawa
Dłoń dając, serce na téj dłoni dawa.

WILHELM.

O! wszak ty pomnisz naszych rannych latek
Układy wczesne? Ślubów twych zadatek
Ten pierścień, który z rąk twych wtedy wziąłem,
Patrz — u kołpaka noszę po nad czołem.

JADWIGA.

Pokaż. Tak—prawda. Jego rąbek cienki
Znikł gdzieś, w kamieni skrzących wzięty wdzięki.
Tak. On zapinką jest u pióropusza —
Wiatr płochy nad nim ptasie strzępy wzrusza...
Ja, twój, na piersiach w tajniach serca noszę —
Bo mi są święte uczuć tych rozkosze,
Których wspomnieniem słodko tęskni dusza.

WILHELM.

A ja, śmiem głośno myśléć. Ja, przebojem
Idę, wprost z czoła chlubny szczęściem mojém!
Niech wié świat cały, i niech skroń swą zgina
Znając, żeś zdawna żoną władcy—syna
Prześwietnych przodków, który ubezpiecza
Rycerską swoją cześć błyskami miecza!

JADWIGA.

O! jakżeś piękny w tym wzruszenia szale!
Tak. Tyś mój rycerz! — i ja w barwy moje
Tak ci ustroję pierś, i tak uzbroję,
Że, ku czci Boskiéj, oraz własnéj chwale,
W szranki się pomkniesz, dźwiękiem trąb uczczone,
I tam, w przeważnéj twoich cnót ozdobie
Z współzawodniki walcząc, ty mię sobie
Zdobędziesz — prawda?

WILHELM.

Tak, i tę koronę,
Którą mi z ręką twą, w ozdobne wiano,
Nieprzedawnionèm nigdy prawem, dano!

JADWIGA.

A! a! koronę mówisz? I czyś pewny
Tyleż królestwa tego, co królewny?...
Widzisz — nie wszyscy są tu tobie chętni.
Więc, nim ich sprzeczność celów roznamiętni
Rozprawy żądzą,—dobrzeby, mniéj dumnie
O państwo to się starać, idąc ku mnie —

WILHELM.

Co? co? Rycerzy zastęp bojowniczy,
W imieniu mojém, jak wiatr liście w lesie,
Na grzmiących mieczach w strzępy wnet rozniesie
Nieposłuszeństwo téj niesfornéj dziczy!

JADWIGA.

Ta dzicz — to lud mój.

WILHELM.

....Poczém, w gród prastary
Trojańskich moich przodków, mą małżonkę
Wwiodę, i ztamtąd, berłem w jednéj dłoni,
A w drugiéj mieczem, który krwią ocieka,
Przez wielkorządcę mego pilnie będę
Tym krajem władać.

JADWIGA.

Jakto? Z tak daleka?

WILHELM.

Twój ojciec rządził tak — i dobrze było.

JADWIGA.

Wątpię, czy dobrze. Mój dziad, zawołany
Gospodarz, pilnie dbał, by go mogiłą
Rodzinne tylko mogły uczcić łany —
I tak się stało. W polu on szerokiem
Wszystko naglądać zwykł swém pańskiém okiem.
On późno kładł się spać a wstawał rano.
Pilnował roli, praw wymiaru, grody
Dźwigał, i kresów strzegł i świętéj zgody—
I przeto Wielkim słusznie go nazwano.
Odkąd nie stało pana w chacie, wkrótce
Ład stary różni jęli psuć przewódce.

Ztąd pól i gumien gospodarka licha—
A wróg, na miedzach, by się worał, czyha.

WILHELM.

O! bądź spokojna. Z dziecka mię uczono
Władania sztuki. Znam ich. We krwi mają
Niezgody drżączkę. Łatwo jest tą zgrają
Rządzić—wzajemnie szczując ich. W czém zresztą
W pomoc mi przyjdzie możny Krzyża Zakon,
Z którym oddawna wspólność spraw mię wiąże.

JADWIGA *(wstając)*.

Czy się ty kiedy modlisz — mości książe?

WILHELM.

Każdy się sobie modli tak, jak może.
Ja mogę w sposób taki: — Ojcze w Niebie!
Proszę cię, dla mnie zrób ni mniéj ni więcéj,
Tylko to samo, cobym ja dla Ciebie
Zrobił w niemałéj łasce méj książęcéj,
Gdybyś Ty mną był, a ja Tobą....

JADWIGA.

Boże!
Czym ja bluźnierstwo, czy téż usłyszała
Obelgę krwawą?—Skroń mi dziwnie pała.
Jak tu jest parno!

WILHELM.

Co ty mówisz pani?

JADWIGA.

Pani? Co znowu! Czyż ja pani jaka?
W królestwie mojém tyle pożądanem,
Jednego nie ma w chwili téj biédaka,
Któryby nie był większym niż ja panem!

WILHELM.

O! przebacz proszę. Nie wiem sam. Być może
Wymową nazbyt szorstką się uniosłem.
Lecz zważ — rycerska cnota jest rzemiosłem
Zdobywczo tnącém, jak miecz w słońcu nagi.
O! w cztery oczy chciéj posłuchać pani
Mych słów szczerości. Widzisz—my wybrani...

JADWIGA.

Jesteśmy innéj miary, oraz wagi.
Wiem, wiem.

WILHELM.

....Z żelaznych naszych serc, śpiżową
Wolę, niezłomną wygłaszamy mową.

Bo tylko wtedy panem czuć się można,
Kiedy pod biczem dyszy trzoda trwożna.

JADWIGA *(cofając się)*.

A! serca, mówisz, groźne mieć należy?
I że, z paniami serc tych, kwiat rycerzy,
Przy drzwiach zamkniętych mówić zwykł najszczerzéj?
Ta szczerość— wyznam — dość mi się podoba.
Lecz, iż jastrzębich ani szpon ni dzioba
Ni mam, ni pragnę, więc mię nikt nie zgani:
Że, aby słuszną rzeczy dwóch wymianą
Coś za coś było—ja—chcąc być kochaną,
Chcę kochać tylko.... *(odchodzi w głąb)*.

WILHELM.

Co zamyślasz pani?

JADWIGA *(gorączkowo)*.

Co? nic. — Mym gościem jesteś, miłościwy
Rakuzki panie. — Pozwól, że się żwawo
Zakrzątnę, by cię uczcić przyzwoicie.

(U wyjścia w ogród).

Patrz, patrz, — ten księżyc blady, tam w błękicie,
W tym wypłowiałym, jak się on ospale
Tuli w obłoki senne, których fale
Chłód wieją, niby prąd od skrzepłéj rzeki.
Wiatr zdrętwiał—zcierpły i skostniały drzewa,
I gwiazdom drżące mrużą się powieki —
Każdy tu na śmierć nudzi się i ziewa!
Cóż to? Niedawno w téj pustelni mniszéj
Śmiechem i skocznym tańcem wszystko wrzało,
A teraz człowiek niemal tętna słyszy
Własnego serca. — Hej tam! Piersią całą
Pieśń gwarną huknąć! Świateł niech tysiące
Ćmi wzrok, a kwiatów niech nas woń odurzy!
I niech precz sobie pójdą tacy, którzy
Odepchną czary od swych ust szumiące!
Jam tu królową uczty! Niechże przecię
To państwo moje głośno brzmi po świecie!

(Ma się ku wyjściu. Z zewnątrz słychać rozgłośne dźwięki rogów i litaurów. Do wchodzącego Jaśka:)

Panie Tęczyński — co ta gędźba znaczy?

JAŚKO.

Zaraz się dowiem.

DYMITR *(wchodząc).*
Właśnie ztamtąd dążę.
To wjazd swój czyni możny Litwy książę,
A z nim prześwietnych Stryjców tłum junaczy
W orszaku butnym.

WILHELM *(z ręką na sztylecie).*
Niedźwiedź, z wilków zgrają.

DYMITR.
Jest naszym gościem, takim, jak i drudzy
Dostojni goście.

JADWIGA.
Niech uczczenie mają.
Tak sobie życzę. *(Odchodzi — za nią Wilhelm).*

DYMITR.
Ha! ha! Nizcy słudzy
Mój ty rakuzki żbiku! Czyś uważał?
Gdyby mógł, byłby zębów swoich zgrzytem
Kości mi zmiażdżył.

JAŚKO.
Ten pyszałek lichy!
Czekać na siebie dał, i nim wejść raczył,
Trąb dźwięk i herold go obwieścił, jako
Małżonka naszéj panny!

DYMITR.
Mój mosanie—
Oskoma tobie i niedoczekanie!
Zostawmy jednak losom bieg tych rzeczy.
Sam on od siebie wprędce ją uleczy.
Już i tak czegoś drżąca ztąd i blada
Wyszła, i z śmiechem głośnym, choć mu łzawa
Posępność źrenic cichy kłam zadawa.
Coś tu pomiędzy niemi zaszło.

JAŚKO.
Zdala
Patrzałem na to, i choć słów nie mogłem
Schwycić, to jednak mniemam, że ta panna
Nierównie więcéj nasza jest, niż swoja.

(Wbiega Jędrek mocno wzburzony).

JĘDREK.
Jak mi Bóg miły, tak jak temu szołdrze
Obetnę uszy!

DYMITR.
Komu? gdzie? i za co?

JĘDREK.

Jakto? do czarta! Chłystek ten zielony (1)
Z Rakuzkiéj psiarni...

JAŚKO.

Z barwy jego wnosząc,
Właśnie to taki który przygód szuka.

JĘDREK.

I znajdzie guza. On śmiał Ofce mojéj...

DYMITR.

Tyleż jest ona twoja, co i moja,
Do mnie! Co? Cóż on śmiał?

JĘDREK.

Warkocza wstążkę,
Którą zgubiła w tańcu, porwał zprędka,
I na kołpaku swoim wpiął,

DYMITR.

Do licha!
Na tym cudackim dworze, to podobno
Za nic się mają takie krotochwile.

JĘDREK!

Ja mu ją ze łba garścią zedrę.

JAŚKO.

Słuchaj—
Jeśli gdzie późniéj wyzwiesz go na rękę,
Jam twój. Lecz teraz—tu—gdzie ma swą władzę
Obecność naszéj Pani—tak ci radzę:
Nie szukaj zwady. To gardłowa sprawa.

PIEŚ *(nadchodząc)*.

A ja ci mówię—w każdym razie daj mu pokój—bo cię jeszcze szpinakiem swoim powala. Zresztą—poczekaj. Wiem, że zrobił ślub oglądania na własne oczy dzikiego króla Saraceńskiéj Litwy. Otóż—bądź pewny, że skoro go ujrzy, ze strachu zdechnie i staniesz się jego spadkobiercą.

JĘDREK.

Idź precz.

PIEŚ.

Może masz i słuszność. Bo dobrze to powiedział jeden : że w kij dmuchać a głupiego o drogę pytać—to dwie rzeczy równe trzeciéj, którą jest koniec nie długiego nosa. Otóż, skoro słuchać

---

(1) Barwę zieloną przybierali na siebie rycerze zaciągający się do cechu tak zwanych Błędnych. Szajnocha podług St. Palaye Tom VI. 260.

mię nie chcesz, w następstwic tego, ja się ciebie pytam o dalszą twoją drogę.

JĘDREK.

Idź precz, powiadam—bo cię kopnę. Zły jestem.

PIEŚ.

Ja także nie bardzo dobry. Niezgorzéj to powiedział inny znowu jeden (ale nie żaden tamtego krewny):—że łysa kobyła w niczém nie lepsza od siwéj szkapy. (*do wchodzącego Gniewosza:*) Mości starosto—cóżeś to tak skwaszony?

GNIEWOSZ.

Mości Wesołku—chodź—na Boga błagam—

PIEŚ.

Za nic nie pójdę. Rozkaz królowéj — rzecz święta. A ona przecię sama, nie wyręczając się nikim, za drzwi mi iść kazała. I za co—proszę? Za to, żem jéj po przyjaźni radził: ażeby, w drogę do Farmazonii swego Rakuszanina, potężny bochen Prądnickiego chleba z sobą wzięła; bo tam być może chrzan jéj tylko do jedzenia dadzą, i to zaprawny octem siedmiu złodziei, będących wyborcami Świętego Rzymskiego Cesarza z Mistrzem Wielkim w odwodzie—

GNIEWOSZ.

No widzisz. Po co było takie rzeczy....

PIEŚ.

Od rzeczy myśląc, prawić nic do rzeczy—
Wszakże tak?

GNIEWOSZ.

To już poszło w zapomnienie.
Chodź. Ja ci za to będę nieskończenie
Do grobu wdzięczny.

PIEŚ.

Idź precz! bo cię kopnę.

GNIEWOSZ.

Słowo to więcéj śmieszne, niż okropne.
Ja się na żartach znam. Na—masz dukata,
Byłeś tam wrócić raczył.

PIEŚ.

Idź do kata!
Zły jestem.

GNIEWOSZ.

Gdzież tam! Tyś poczciwy z kośćmi.

PIEŚ.

Kto drugi powiedziałby: z gnatami. No—widzicie. Kłania mi się, przypodchlebia, i jeszcze za to płaci. Inni, czasem i dwom pa-

nom, on, sobie jednemu wiernym jest sługą. Ma przyszłość przed sobą. Giętki w karku—wlazłby nawet pod ławę, co mu się może i zdarzy kiedy, i jeszcze gotów ztamtąd podkomorzym się wydobyć. Co do mnie—cześć moją wysoko noszę i rad na ławie siadam, zwłaszcza mając przed sobą takich, jak Waszmość, miły Starosto, dworaków. Otóż, z téj miary, gadaj sobie co chcesz, a ja z wygnania mego za nic wrócić nie raczę. Panem chcę być, skoro mi się sposobność do tego nadarza.

GNIEWOSZ *(obcierając czoło z potu).*

A! ciężka z tobą sprawa! Głowę tracę.
Głupieję. Za nic wszystkie moje prace!
Królowa chmurna, gniewna, roztargniona,
Nic ją nie bawi.

PIEŚ.

Jakto? Nawet ci wszyscy w koło niéj: srokaci, kudłaci, czubaci, kostropaci?

JĘDREK.

Jest tam i ten psubrat zielony.

JAŚKO.

I drugi, co ma plaster z rękawiczki na gębie. Toćże to rzecz do upękania.

DYMITR.

I taki, co kobiecy naramiennik na łydce nosi. Wart w kark za to.

PIEŚ.

A on że Suchenwirt, kołowacizny owéj słowik błogi?

GNIEWOSZ.

Swemi madrygały
Nudzi ją bałwan ten podtatusiały.

PIEŚ.

Co? co? Śmiał się tego dopuścić? A! wyzwanie mu odemnie proszę zanieś za to. Odtąd, z królową zgoda—wszakże nie inaczéj, jak na połowie drogi. Ja—niby z za drzwi ku niéj, a ona z przededrzwi ku mnie—uważasz? Bo ja, *tu* tylko, w ziemi mego wygnania, z tym partaczem się rozprawię, i mam nadzieję niepłonną, że on skowycząc ztąd wyleci. Sąd wyrok wyda. Idź,—kobiety, albo jak dzieci bawić trzeba, albo się z niemi droczyć—inaczéj, jak chcą rządzą, a nie zawsze dobrze. Idź. Idź. Powiedziałem.

GNIEWOSZ.

Czy to ostatnie twoje słowo?

PIEŚ *(z partesa).*

Tak jest. *(Gniewosz wychodzi).*

Ach! ach! mozolna to jednak rzecz, mieć królowę na wydaniu!

JĘDREK (*pod nosem*).

Te Niemcy przeklęte!

PIEŚ.

Jakto przeklęte? Bluźnisz, Mosanie. A ten tam oto braciszek pokorny, co tu z różańcem u pasa po wszystkich kątach pokutuje?

JĘDREK.

Nie wiele on się od nas dowié.

PIEŚ.

Żartuj zdrów. On rozumié nawet mowę, którą się odzywa trawa, kiedy rośnie.

JAŚKO.

Sam widziałem jak podsłuchiwał, kiedy tu królowa z księciem rozmawiała.

PIEŚ.

Zwyczajnie. Czasu ma dużo nie swojemi sprawami się parać. A dla czego? Zaraz wam to wyjaśnię. *(wołając.)* Héj! héj! Mości Hugo!—Udał, że nie słyszy. Nie to jedno on tu udaje.

JĘDREK.

Podobno i na sokołach zna się on tyle—

PIEŚ.

Co ty na sonetach? Właśnie. Ach! mój synu luby—i co się tobie tak do téj żeniaczki wydzierać? Bierz z niego przykład. On nie mając swojéj żony—ma sobie cudze. Nie mając jednéj—ma ich dużo. Bo posłuchaj proszę:

Wylazł miesiąc z po za chaty,
W palce utarł nos i wzdycha.
— Héj héj! tam do licha!
Toćże widzę on żonaty—
Że taki rogaty.—

I wiédz także o tém, że twoja panna, byle tylko chciała, skuteczniéj gacha od siebie wachlarzem odpędzi, niż ty go od niéj krzyżową sztuką.

DYMITR.

Wara tobie Mości Wesołku, od tego co się szabli tyczy.

PIEŚ.

Gadaj zdrów Dobrodzieju. A taki, ponad krzyżową, jest jeszcze krzyżacka sztuka. Téj zaś radzę od tego Jegomości nabyć, który tu przyszedł z łaski swojéj rozumu nas uczyć. Bo patrz, proszę. Wyście krzykacze—on tylko słucha. Wyście kłótniki—on swoim współbraciszek czuły. Wam potrzeba dużo miejsca—jemu byle kąt wystarcza. Wyście warchoły, kostery, do podwiki, szklanki i szabli w gotowości wiecznéj—on, jako mnich rozgarnięty, nawet nie tań-

czy, ani się lutni ima—chybaby na chwałę swego zakonu, która jest oraz i Boską jak wiadomo. W kości téż nie gra—chyba przy drzwiach zamkniętych w pustelniczéj celi. Dzbana zaś jeśli nachyli, to tylko mrucząc *Oremus*.

DYMITR.

Wilk w jagnięcéj skórze.

PIEŚ.

Więc gdy by tak naszą pannę za owczarza wydać—co? Tylko żeby za takiego, coby się wprzódy—nieprzymierzając—psom własnym zjeść nie dał.—Ale otóż i ona sama. Sprobuję być jéj dziewosłębem.

(Wchodzi Jadwiga i Wilhelm z całym orszakiem).

GNIEWOSZ.

Królowa Jejmość z całym swoim dworem!

PIEŚ.

Do stóp jéj padam z mém poddaństwem skorem. *(Tamci siadają)*. Piękne Panie i dzielni Panowie! Widzicie we mnie nadwerężoną ozdobę—chcę mówić osobę—która pozornie—chcę mówić pokornie—sprawiedliwości oto łaknie. Téj wymiar, myślę sobie choćby pięścią—chcę mówić pieśnią—zdobyć, czego gdy dokażę, dla siebie: o uznanie, żem zbił Niemca—chcę mówić żem zwyciężca—a dla przeciwnika mego o pobłaźnienie—chcę mówić pobłażanie—śmiem upraszać. Tę tedy rozprawę, chcąc być grzecznym, ja rozpocznę. Ale nie dla tego, żebym był pierwszym lepszym. Tylko ono to tak jest. Jeśli w dom swój kogo wprowadzając, miejsca przed sobą ustępujesz gościowi, niby go w nim panem robiąc; tedy, równém prawem, gdy on cię żegna, przed nim idziesz, ażebyś go jak najdłużéj u siebie zostawił—inaczéj, wyglądałoby, że go za drzwi wypraszasz. Otóż i tu rzecz się ma tak samo. Mości Suchenwircie! dla waści nawet korzyść nie mała być na końcu. Bo dobrze to raz powiedziały hajdawery króla Salomona, kiedy im wlazł w drogę zielony pióropusz:

Ja cię płatnę—ty mię płatnij—
Niech ma słuszność, kto ostatni.

A teraz, posłuchajcie proszę : w jaki to sposób ku gwiazdom człek podlata.

(chwyta lutnię z rąk pazia, uderza w struny i śpiewa).

Z chorągiewką wiatr się żeni
W śpichrza szczycie.
Stoją ludzie u przedsieni.
—Ach wy ludzie! Ach zdumieni!
Cóż mówicie?—

—Jakaż może być otucha
Mój Asindziéj
W stadle takiém, gdzie od ucha
Ona tańczy, on zaś dmucha
Coraz indziéj?—

Jakoż, przysiąg się wymianą
Gdy pobrali,
Wnet w podwórku usłyszano,
Jak na żonę ukochaną
Mąż się żali.

—Choć ją słowem wabię miłem,
Próżna praca!
Byle do niéj przystąpiłem,
Ona, skrzecząc, do mnie tyłem
Się obraca.—

—Bratku! Wierzgnij ty z kopyta
W te tam chryje!
Czyż nie zgoda znamienita
Płuży tam, gdzie żona zgrzyta,
Gdy mąż wyje?

GNIEWOSZ *(przez zęby)*.

A pójdziesz ty psubracie! A do budy!

PIEŚ.

Ciotusiu—to do ciebie mowa. Słyszysz, jak cię on z powrotem do Węgier wyprawia—a małośmy to zażyli kłopotu, żeby cię ztamtąd ściągnąć? Panowie! Kto Polak prawy, ten nie przyzna, żeby Suchenwirth, który z Gniewoszem trzyma, przyzwoiciéj odemnie miał uczcić weselne gody.

JADWIGA.

Dość. Nim śpiewacki spór się wasz rozpląta,
Mości zuchwały Śmieszku, idź do kąta!

PIEŚ.

Ach! Niechbym raz już miał swój własny kąt,
Gdziebym, nie wiedziéć jak i co i zkąd,
Miał dnie złożone z niedziel oraz świąt!

(odchodzi na bok).

JAŚKO.

Nie rozśmieszyłeś ty jéj. Ćmi tęschnica
Jéj łzami zaszły wzrok, i płoną lica,
I drżą jéj zbladłe usta.

PIEŚ.

Sercem całém
Zrobiłem swoje. Ziewnąć jéj nie dałem.

JADWIGA.

Mości książęcéj czci Minnezingerze!
Na ciebie koléj.

SUCHENWIRTH.

Twych ust miód kwiatowy,
Dostojna pani! duszy méj pragnienie
Zasyca szczęściem takiém, jakiém w Niebie
Świetlana Hebe Świętych Pańskich poi.
Lecz pozwól, abym wprzód, o natchnień loty,
Ku téj różaniec myśli mych odmodlił,
Która boginią serca mego będąc,
W kastalskich zdrojach dawa chrzest méj pieśni.

JADWIGA.

Zgoda. W królestwie, gdzie jest miłość panią,
Jam tylko jedna z licznych jéj poddanek.
Daléj, Nawojko — masz przedemną wianek!

NAWOJKA.

Nie śpiesz się pani, bo nikt jeszcze nie wie,
Co, zgodnie z wolą tu wybranéj damy,
Wybraném będzie: tron, czy bezkrólewie?
Mości śpiewaku — dotknij strun — słuchamy.

SUCHENWIRTH *(przebierając po strunach lutni)*.

Czémże was godnie uczcić — wy! związani
W dwa wieńce chwały i w dwa władzy miecze
Ślubem, co dole wasze nadczłowiecze
Nierozerwalnie spaja? — Pomnisz pani,
W Haimburgu, kiedym was pacholąt dwoje
Mą gędźbą bawił, tę pieśń, w któréj zbroje
Z kurzawy bojów dźwięcznym zgrzytem brzmiały,
A górą orzeł wzlatał w blaskach chwały?
W jéj rytm — czytając w oczach mego pana,
Jak się do czynu duch w nim zrywa młody—
Bywałaś całą duszą twą wsłuchana,
A zwała się ta pieśń: „Krzyżowe Gody."
W niéj było: jako z Bogiem, więc wesoło,
Pomknął szyk zbrojny w Beliałowe sioło,
Gdzie, jak wprzód rzekli jeńcy w łyka wzięci,
U stóp bałwanów strojnych w czarcie godła,
Swatów i drużbów licznych trzoda podła

Bluźnierczym trybem ślubny obrzęd święci.
Więcże, cichaczem zewsząd obskoczeni,
Ci gardło dali, ci wśród chat płomieni
Żywcem się piekli, inni w drągi skuci
Szli, pletnią gnani z téj weselnéj chuci —
Więc dziewka oklep na koń — więc pan młody
Na stryku przy niéj boso w imię Boże—
Więc wreszcie wspólne Madejowe łoże.
Tak to ucieszny jak być tylko może
Miały swój koniec te litewskie gody....

NAWOJKA *(wydzierając mu lutnię).*

Precz ty pachołku lichy! Czołem jakiem
Chcieć mogłeś pierś twą zdobić barw mych znakiem?
Służalcze nędzny! co przed pięści prawem
Jak pies się łasisz — w twém szyderstwie krwawem
Z tych, co bezbronni w dolę złą popadli,
Jak śmiesz, przewrotną świętych słów odmianą,
Wbrew czci i wiary wszelkiéj, najzajadléj
Rycerską cnotę lżyć, z ludzkości znaną?
Precz ztąd! Nie tobie chłystku dłużéj butnie
Shańbioną dłonią bić w uczciwą lutnię!

(Rozbija lutnię i odchodzi. Powstaje ogólne zamieszanie).

DYMITR.

Miarkuj się pani.

JĘDREK.

Książe sztylet chwycił,
Zgrzyt mieląc w zębach, w oczach żywiąc błyski.

JAŚKO.

Królowa wstała, blada, lecz milcząca.

GNIEWOSZ *(gromkim głosem).*

Podobna, wobec majestatów dwojga,
W zuchwalstwie, które skarci miecz, zniewaga
Praw gościnności....

(Słychać w dali dzwon wzywający na jutrznię).

JADWIGA.

Dość. Nawojko, do mnie!
Należy pomnieć : żeśmy tu jedynie,
Jako zwyczajny ludzki tłum, w gościnie
U mnichów cichych, którym dłużéj, wrzawa
Krotochwil nocnych, mącić nie ma prawa
Dla chwały Boskiéj dumań w jutrznię ciemną.
Więc—żegnam wszystkich. Kto chce, proszę ze mną.

(Podaje rękę Wilhelmowi i wychodzi z całym orszakiem).

PIEŚ *(wyłażąc z kąta).*

A co? Jam górą! *(wołając)* Héj! starosto miły!
Ty walczysz przodem — ja ci biorę tyły.
Ty machasz mieczem w męstwie twém szalonem —
A tu cię kądziel bije swém wrzecionem!

(Wychodzi za drugiemi).

DYMITR.

Jak to ta nasza pani, umiejętnie
W drażliwéj chwili z tego skorzystała,
Co jéj pomyślny traf nadarzył! Taka,
W trudniejszych także sprawach, łatwo zdoła
Dać sobie radę. Niech nam Bóg ją chowa—
Naszych to kości, naszéj krwi królowa!

JAŚKO.

Zdawna już jakaś walka sprzecznych myśli
W jéj duszy grała. Rzekłbyś, że samotność
Stała się żądzą duszy jéj. Ztąd niby
Wielce jéj było pożądaném, z miejsc tych
Odejść.

DYMITR *(zatrzymując Jędrka).*

Ty dokąd chcesz iść?

JĘDREK.

Zaraz wrócę.

PIEŚ *(wchodząc).*

Nie trudź się — jużem cię wyręczył. Masz tu z powrotem twoją wstążkę ukochaną.

JĘDREK.

A to jakim sposobem?

PIEŚ.

Wynosząc się ztąd, ów zielony jegomość, Izenburg podobno, jeśli chcesz wiedzieć — w chwalebnym pośpiechu czapkę zgubił. Oddałem mu ją — ale z tém tylko, co tu na niéj z sobą przyniósł. *(Wchodzi Dowojna).* A! w sam czas mości rycerzu,—co ma znaczyć, że w samą porę zapóźno. Już tu dzwonek bosacki całą burzę zażegnał.

I że tak było — to Bogu chwała.
Bowiem inaczéj, musiałbyś zbrojno
Mieć się do wojny, mości Dowojno—
Gdy ci Nawojka nawojowała.

DOWOJNA.

Co on gada? Nic nie rozumiem. Co tu zaszło?

PIEŚ.

To widzisz tak było.
On do mnie z pięścią miłe chłopię—
A ja kijanką grzbiet mu kropię —
Aż ono wpadł w komorę.
I wszystko dobrze, Bogu chwała:
On wziął mię, bym mu chusty prała —
Ja też je na nim piorę.

DOWOJNA.

Ależ — do pioruna —

PIEŚ.

Pfe! Takżeś się to ty kudłów pozbył niedźwiedziu? Schowaj twój piorun—tak ci radzę—jeszcze tu nie Jagiełło panem, choć go sobie razem z tobą mocno życzymy.

Patrz — tam się modlił niejaki Hugo,
Który być lubi dwóch panów sługą.
Ten, pod różańcem i suknią długą,
Ma nóż za pasem — z kusą kolczugą.

DOWOJNA.

Porwaneś ty tam....

PIEŚ *(zatykając mu gębę)*.

Milcz! Bom ja tu w chwale!

DYMITR.

Daj się ty katu pusty sowizrzale.

(do Dowojny).

Chodź waszmość z nami. Dowiész się niebawem,
Jak twoja jejmość, w uniesieniu żwawem
Dowiodła, mając z sercem dłoń złączoną,
Że jest dzielnego męża godną żoną *(wychodzą)*.

AKT CZWARTY.

DOBIESŁAW.

OSOBY AKTU.

JADWIGA, NAWOJKA, OFKA, DOBIESŁAW, DYMITR, DOWOJNA, GNIEWOSZ, PIEŚ.

Komnata w zamku na Wawelu.

OFKA *(u okna)*.

Dziedziniec pełny! Gwar, zgiełk, rzenie koni,
Barw przepych, wstęgi, lśniących zbroic granie,

Kamieni tęcze, złota blask, piór pęki
W wietrze i w słońcu. Nie inaczéj pewnie
Bywa w turnieju ostrym, gdy z krużganków
Pań strojnych orszak szarf powiewem głuszy
Serc przyśpieszone tętna. Jak przedziwnie
Pięknym być musi w szrankach popis taki!

Na czele tych rycerzy, Wilhelm, niby
Brzask dzionka w gronie zbladłych gwiazd — i gdyby
Urody mocą wieńce zdobywano,
On by doprawdy godzien był być królem....

Izenburg—o! tam. Lecz nie widzę na nim
Przepaski, którą mu niechcący dałam,
Niby jałmużnę w drogę, pątnikowi
Do miejsc gdzieś zbawczych...
(Cofa się nadąsana).
O! cóż warci owi
Mężczyźni, co się nam pod stopy kładą
Z przysięgą w ustach, a z bluźnierczą zdradą
W nikczemnych sercach?!...

NAWOJKA *(pośpiesznie wchodząc).*

Dziewczę—gdzie królowa?

OFKA.

Co ci jest pani? Drżą ci usta zbladłe—
Policzki płoną.

NAWOJKA.

Pytam — gdzie królowa?

OFKA.

Na wieść, że miejsc tych wrota się dla księcia
Zatrzasły ryglem woli D biesława,
Pobiegła, pańskiéj swéj powagi kluczem,
Zamek na ścieżaj przed upodobanym
Otworzyć gościem.

NAWOJKA.

Oby nie zdołała
Tego uczynić! Lecz podobno lepiéj
Gdyby nie chciała. Wczora się zdawało,
Że jużby nawet chcieć nie potrafiła....
Nie należało może zbyt porywczo
Wbrew jéj uznaniu działać. Może sama
Byłaby z własnéj woli... Ale gdyby
Nie miała siły?....

OFKA.

Jest cierpiąca, smutna.
Wczora, z uciechy owéj w dom wróciwszy,
Noc przemodliła całą w łzach i w łkaniu.

NAWOJKA *(chodząc niespokojnie)*.

Co ty wiész dziecko? Gdy ty snem zmożona
Spałaś, królowéj naszéj mimowolnie
Nad ranem łzawe zwarły się powieki.
Wtém, słyszę znagła krzyk jéj, który zmarłych
Mógł z grobu wskrzesić. Wpadam. Po komnacie
Biega, z oczami w słup, z drżącemi dłońmi—
— Matka! — wołając. — Matka moja! Matka!—
Ledwie w czas jakiś dobyć z niéj zdołałam
Opamiętanie — ale słów nie mogłam
Dobyć z jéj łkania, od którego cała
Jak liść się trzęsła. Wreszcie mi kazała
Odejść. I dotąd mniemać tylko mogę:
Że snadź w jéj umysł, niby struta strzała,
Widzenie jakieś wbiło szału trwogę.

OFKA.

Przedwieczny Boże! Jakże jest zwodniczém
Szczęście na szczytach! Anioł jéj obrończy
Niech nam ją strzeże! *(spojrzawszy w okno)*.
Odjeżdżają z niczém,
Źle się rozpoczął dzień ten.

NAWOJKA.

Źle się skończy.
Wieść głucha niesie, że się jakieś zmowy
Na zgubę tego państwa milczkiem knuły
W sąsiadów rzeszy. Sokolniczy Hugo
Pierzchł gdzieś bez śladu. Mówią, że przejęto
Gońca z pismami wielkiéj wagi. Mąż mój
Podobno wykryć miał tę zdradę.

(Wchodzi Jadwiga z toporem w ręku—za nią Dobiesław).

JADWIGA.

Boże
Bądź mi miłościw! *(upuszcza topór i pada na siedzenie)*.
Więcże więźniem jestem
W mym domu własnym?

DOBIESŁAW.

Pani—jam téż więźniem
W domu własnego obowiązku.

JADWIGA.

Prawda.
Tém twardszy pan to — im jest miększy sługa!
Odejdź! Nie wzgardą, lecz politowaniem
Bezlitość twoją płacę ci.

DOBIESŁAW.

O pani!
W twych rąk potęgę składam życie moje.
Dość ci jest wziąść je—a po moich zwłokach
Książe tu wejdzie.

JADWIGA.

Więc do tego stopnia
Go nie nawidzisz?

DOBIESŁAW.

A ty—przebacz pani —
Czy tak dalece kochasz go?

JADWIGA.

Szalony!
Jak śmiesz duchowych oczu twych sztylety
Topić w tajnikach myśli méj? — Niestety!
Pastwić się możesz... jestem bez obrony!

DOBIESŁAW.

O! nie—nie jesteś bez obrony! krocie
Orężnych równie ciałem jak i duszą,
Z krwi serc swych w każdéj chwili dar uczynią
Za tę, co naszéj doli jest władczynią!
I nie mów, że się pastwię. Mém pytaniem,
Chciałem jedynie sędzią między nami
Uczynić własne twe sumienie, które
Po wiekopomnym dziadzie, sprawiedliwość
Wraz z berłem wzięło.

(klękając) O! posłuchaj pani,
Ta głowa, którą do twych stóp dziewiczych
Skłaniam, szronami licznych zim zbielała.
Bom ja, w imieniu ojca twego, z trudem
Królestwa tego rządy sprawiał na to,
By je w twe ręce wiernie zdać. Więc teraz
Czyż mam swéj własnéj zadać kłam przysiędze,
Wiedząc, że, słuszną czynów złych zapłatą,
Z niesławy piętném resztki życia spędzę—
Jak ten wyrzutek z grona współrycerzy,
Co się obronie słabszych sprzeniewierzy?

JADWIGA.

Dość. Wstań. Uznaję praw twych moc zuchwałą,
Która oporu broń mi z rąk wytrąca.
Jest w niéj potęga obezwładniająca,
Od któréj mięknie równie duch jak ciało!
Bowiem—patrz proszę—topór ten, w téj chwili,
Naprożno dźwignąć dłoń się moja sili—
A jednak, użyć gdy mi go wzbroniono,
Z méj woli siłę miał nadprzyrodzoną.

Już sama nie wiem, jak się mogłam na nią
Zdobyć—ja biédna—nie od dziś w méj wierze
Ślubnéj zachwiana...
Ja ci wyznam szczerze:
Tyleż być chciałam wam, co sobie, panią.
Bo czyż przeniknie czyja myśl zwątpiała,
Z jakiém uczuciem do tych szłam podwoi,
Które wprost wiodły drogą ręki mojéj
W królestwo wasze?.. A nuż, gdybym chciała
Sprawić, że one, dłonią moją własną,
Przed nieżądanym gościem się zatrzasną?...

Lecz słusznie znoszę władzy twéj okowy.
Boś ty, ufania skąpiąc twéj królowéj,
Mógł nie uwierzyć, że na waszym tronie
Miłostkom płochym siąść poważnie wzbronię!

DOBIESŁAW.

O pani! Dozwól, abym kraj twéj szaty
Do ust przycisnął! Niech przed Bogiem stanę,
Gdy mam tę pewność, że twój duch skrzydlaty,
To państwo nasze, jak ty młodociane,
Świetlaném w cnoty podrastaniem, będzie
Wieść w dojrzałości szlaki.

JADWIGA.

Nie bądź w błędzie.
Bo proszę—o mnie sąd, mnie zostaw saméj.
Zrządzenia zdarzeń i ich moc—czyż znamy?
Ufna w skuteczność leków, które bolą,
Niech, dobrowolną karcąc się niewolą,
Kobiétę w sobie zmogę, by królową
Wyjść z walki, którą własném szczęściem zową....
Zostaw mię samą.

DOBIESŁAW.

Uspokój się pani.

JADWIGA.

Odejdź. Spokojną jeszcze być nie pora.
Widzisz—ja jestem silnym smutkiem chora,
I—jak są ludzie sprzecznym wichrem gnani
Zdala od lądów—może nazbyt żwawo
Dni złych przedwczesną trwożę się obawą!

DOBIESŁAW.

Boże! W Twych rękach serce się to waży —
Zdarz, by je tchnienie Twe ukołysało,
Jak łódkę, którą toń unosi gładka....

(Wchodzi Dymitr).

JADWIGA.

Mości podskarbi! Z twojéj zbladłéj twarzy
Mój wyrok czytam. Daléj! Uderz śmiało!—

DYMITR.

O pani! chciéj być mężną —

JADWIGA.

Moja matka!

DYMITR.

Jakże? Więc wieść tę czyż ci usta czyje
Już zwiastowały?

JADWIGA.

Nie szczędź słów. Nie żyje!

DYMITR.

Strzeż Boże! Tylko, w drodze w kraj Kroatów,
Zbyt ufna sobie, wrogów nie pamiętna,
W zasadzkę znagła zdradą Bana wpadłszy,
Została ztamtąd wprost uprowadzona
W Nadadryatycki gród —

JADWIGA.

I tam—zabita!

DYMITR.

Pani — któż wieść tę, która zgrozą zgrzyta,
Chytrze ci wmówić mógł?

JADWIGA.

Widziałam sama.—
Z trzaskiem więzienna pękła znagła brama,
I matka moja wyszła ztamtąd — ale
Nóż mając w piersiach — a krwi wrzącéj fale
Szły w ślad jéj....

DOBIESŁAW.

Pani — Bóg cię miéj w swéj pieczy!

Snem przykrym nieraz bywa umysł człeczy
Dręczony marnie, nim się opamięta,
Że jest w przywidzeń uwikłany pęta.
Miałaś już przedtém duszę nadwątlałą,
Ztąd snadź ją zmogło swą przewagą ciało.—
Chciéj oprzytomnićć.

JADWIGA.

Słowo to, nie do mnie.
Myślę i mówię, tak jak wy, przytomnie.
Próżno mię słabém dzieckiem zrobić chcecie.
Jam jest méj matki dziecko — jeślim dziecię!
Mych pojęć wiedzę mam, i mam w mą duszę
Wszczepioną wiarę, z którą zostać muszę:
Że, com widziała poprzez łzy i dreszcze,
Jeśli się dotąd nie spełniło jeszcze,
To się koniecznie spełnić musi.

OFKA.

Biadaż
Nam wszystkim od téj groźby!

NAWOJKA.

Cóż za sroga
Bezlitość zrządzeń!

DYMITR.

O! na imię Boga
Pani — uspokój się.

JADWIGA.

Co? co? powiadasz:
Ja mam spokojną być? A! tak. Być może
Masz słuszność. Jeszcze nie jest czas w téj porze
Załamać ręce. — Ona tam zaledwie
Więźniem dopiéro jest — i ztąd obiedwie
Jednéj służymy doli. — Nie, jam od niéj
Szczęśliwsza jeszcze. Mnie tu jest swobodniéj
W mym własnym domu więźniem być, gdy ona
Wśród wrogów zgrai wbrew czci wszelkiéj kona—
Chcę mówić, hańbę cierpi.

DYMITR.

Pani nasza —
Chciéj wierzyć— ból twój płonnie cię przestrasza.
Myśmy zarówno twojéj rodzicielki
Jak i jéj córy przedostojnéj sługi.
Orężny orszak wyślem, a z nim wielki

Okup — i ona wróci w czas nie długi.
Czyż raz łotrowie w żądzach swych zuchwali,
Celem wyzysku, króle porywali?

JADWIGA.

Dość. Ufam chęciom waszym, i spokojną
Względnie być pragnę. *(do wchodzącego Dowojny)*
Mości nasz Dowojno—
Z czém Waść przychodzisz?

DOWOJNA *(przyklękając)*.

Miłościwa pani—
Czy mi jest mówić wolno?

JADWIGA.

Zawsze wolno,
Gdy z ważną wieścią.

DOWOJNA.

Wieść to, dotycząca
Spraw Państwa.

JADWIGA.

Dobra, czyli zła?

DOWOJNA.

I dobra
I zła. Lecz raczéj dobra—bo jéj dano
Ujawnić zdradę chytrze uknowaną.

JADWIGA.

Więc wnet w téj rzeczy mów swobodne słowo.
Już ja nie córką jestem, lecz królową!

DOWOJNA.

Starać się będę zwięzłym być w téj mierze.
Hugo, na dwór ten, od Wielkiego Mistrza
Z darem wysłany, okiem był i uchem,
Które, dla swego Pana wielce szczerze,
Lecz nie dla cnoty pracowało. Otóż,
Znając go kędyś, Witołd Litwy książe,
W bystréj uwadze drogi jego kręte
Mićć nam zalecił. Więc raz tak wypadło,
Że nam się goniec dostał w ręce, z pismem
Z którego widno. że ten Mnich, nie tylko
Podpatrywaczem, lecz i pośrednikiem
Bywał, w układach tak potwornie czarnych,
Jak więc z czarnością spraw tych, nawet znana
Nie wiem czy czarność zrówna się Szatana!
Oto jest list ów.

JADWIGA *(do Dobiesława).*

Mości kasztelanie
Proszę—przeczytać zechciéj to pisanie.

(Dobiesław przegląda pismo).

DYMITR *(do Dowojny).*

Czy zdrajca w pętach jęczy?

DOWOJNA.

Nie. Przeciwnie.
Puszczony wolno. Tylko jego oczy
Pilnie wyjęte z jam, a także uszy
Obcięte krótko, poszły inną drogą
Dojść rąk Wielkiego Mistrza. Książe Witołd,
Przed onym panem, za ten czyn zbrodniczy,
Sam osobiście odpowiadać życzy.

JADWIGA *(do Dobiesława).*

Cóż tedy Mości czytelniku niemy?
Kiedyż i czego z twych się ust dowiemy?

DOBIESŁAW.

O Pani—daruj, że mną chwiejność miota—
Bo sam już nie wiem, w sposób mam jakowy
Tę rzecz ci wieścić.

JADWIGA.

Żelaznemi słowy—
Skoro z Zakonnym wrogiem tu robota!

DOBIESŁAW.

Gdybyż z nim tylko! Lecz posłuchaj pani,
Od czego Bóg nas ustrzegł. W razie, jeśli,
W zamian za rękę twoją, ślubném wianem
Jagiełło miałby Litwę wnieść nam w darze,
Z wszech stron, wrogowie zgodni, równocześnie
To państwo nasze znagła najechawszy,
Wspólnemi siły zgubę mu przedwczesną
Zgotować mieli.

JADWIGA *(porywając się).*

Któż są ci związani
Tym ślubem wrogim?

DOWOJNA.

Miłościwa pani
Racz być spokojną.

JADWIGA.

Już po raz to trzeci
Podobne słowo w słuch mój marnie leci.

Strzeż Bóg tych śmiałków, którzy własnéj pani
Swych rad udzielać pragną nie pytani!
Królowa wolę swą chce mieć! Kobieca
Precz od niéj słabość!.. W duszy méj się wznieca
Krwi żądza, zgiełku bitw, i łun płomieni
Przedziwnie pełna. Więc i niepokojem
Mych przodków godnym, serce w łonie mojem
Słusznie narasta... bo je w piersi zmieszczę...
Daléj więc! Któż są trzéj ci sprzysiężeni?

DOBIESŁAW.

Zolner i Wacław Czeski—i—i jeszcze
Jeden... O Pani! Niech cię Nieba strzegą—
Ja—prawdę mówię...

JADWIGA *(głucho)*.

Dość. Imienia jego
Wiedzieć nie żądam *(siada)*.

OFKA *(do Nawojki)*.

O! patrz dobra pani—
Jak ona walczy!—Tylko co się dla niéj
Zatrzasło niebo zgrzytem klęsk, a ona
Została sama, i jedynie na to,
By, zubożona wszelkich dóbr utratą,
Mieć skarb swój w sobie. Tylko co, z jéj łona
Buchnęły krewko wrzące gniewów szały,
I woli przemoc, i wyniosłość chwały,—
A potém pod nią nogi się zachwiały,
I chwilę duch w niéj zdał się być zwiędniały,—
Aż zwolna spokój z twarzy jéj wykwita,
Jak światłość krótko w łonie chmur ukryta,

NAWOJKA.

W swéj Łasce Bóg ją wraz z jéj sercem chowa.
Co ty wiesz dziewczę? przecież to królowa!

JADWIGA *(po namyśle)*.

Nie wątpię o tém, że was nic nie straszą
Zamysły, które pięść walecznych znęka.
Ja zaś mieć żądam: by ta odtąd ręka
Nie moją była, lecz wyłącznie waszą,
I niech ją od was bierze wraz z jéj panią
Ten, kto najwięcéj dać wam zechce za nią.
Takie królowéj waszéj jest orędzie—
I ta jéj wola niech wam prawem będzie.
(do Dobies.) A teraz—proszę, Mości kasztelanie.—

(zdejmuje z szyi pierścień Wilhelma).

Masz. Oddaj księciu pierścień ten, i powiedz:
Że, w sercu mojém, ślubów z nim grobowiec,
Nieodwołalnie i nieubłaganie,
Sama z méj własnéj cierpkiéj wzniosłam woli—
I że od tego wręcz mię nic nie boli
I nie bolało.—Powiedziałam.—Zaczém
Odejdźcie wszyscy. Sama niech zostanę.—

(wszyscy odchodzą).

Dźwięk słów méj mowy, brzmieniem swém junaczém
Kłamliwie świadczył zaszłą we mnie zmianę—
Bo były one w piersi méj wezbrane
Żywego serca krwią i duszy płaczem.
Lecz mi jest słodką ta mnie saméj zdrada...
Stało się. Tak jest. Precz odemnie blada
Chwiejności uczuć! Bo kto tylko szczerze
Chce panowanie pełnić, ten niezwłocznie
Nad sobą samym niech je w czas rozpocznie,
Aby, w szerokiéj ze wszech względów mierze,
Był własnym władcą—gdy drugiemi włada....

Zaraz. Nim daléj pójdę—niech na chwilę
Śmiertelny całun z moich strat odchylę....
Boże! Tam grobów tyle! zwalisk tyle!
Złudzenia spełzłe i osierocenie,
I zagrożony byt narodu, który
Wianem będący Możnéj Piastów córy,
Ma prawo u mnie być w tém większéj cenie!..

Królowa. Tak jest. Matka rojowiska...
Z méj ręki korzyść lub z niéj spłyną straty.
Więc niech, bogata tém co naród zyska,
Zyskam, by on téż mną być mógł bogaty.
I mniejsza o to, że w téj cudzéj sprawie
Doczesną kaźnią serce sobie skrwawię...—
(po chwili) Jednak, w kobiecie—doli méj dziewiczéj,
W królowéj—żal mi kobiecości mojéj.
Więc, nim z powszednich szat, jak Niebo życzy,
W świąteczny szkarłat duch się mój przestroi,
Czyż dziwno, jeśli przez niedługą chwilę
Skroń mą z korony obnażoną schylę,
I zanim, w cierniach krwawiąc stopy bose,
W odległych dziejów poczne iść przepychy,
Zdala od ludzkich oczu, w téj tu cichéj
Samotni, rzewnym płaczem się zaniosę?!...

(wybucha łkaniem i osuwa się na kolana).

Boże mój! Boże! Ty, Twéj wiernéj słudze
Daj tylko pracy nie dość krzepkiéj trwogę!
Niech się nad siły, niech się na śmierć strudzę—
Byle z méj ręki kwitły szczęścia cudze,
Skoro własnego szczęścia mieć nie mogę! *(wstaje).*
Giń we mnie przeszłość, przyszłych dni przemocą!!

(spostrzegłszy Piesia, który od niejakiego czasu wszedł był i stał w głębi:)

Ty chłopcze tutaj? Jakżeś wszedł i po co?
Oddal się. Widzisz—mógłbyś się daremnie
Trudzić, i także mnie utrudzić. We mnie
Już nie ja jestem. Ja ci nawet powiem:
Idź, weselszemu panu służyć—bowiem
Tak spochmurniały życia mego dzieje—
Że się już nigdy więcéj nie rozśmieję....

PIEŚ *(u nóg jéj).*

O! nie odpędzaj mię królowo! Błagam cię—panowanie twoje od miłosierdzia rozpocznij. Bóg ci to policzy. Dokądże ja pójdę od ciebie, i czy doprawdy żal ci nie będzie, żeś mię odepchnęła? Pamiętasz—kiedyśmy oboje dziećmi byli—chłopiątko do zabawy wam oddane, psem waszym bywałem, koniem, sokołem, kanclerzem, czasem nawet Rządcą kraju. Szczuto mną, jeżdżono na mnie, jeślim źwierza udawał—w dyby kuto, biczem ćwiczono, na śmierć skazywano, jeślim był niby wiernym poddanym. Do tego, karał mię jeszcze Ochmistrz, gdyście grzeczni być nie chcieli. Jednak, podczas gdy drudzy nademną się pastwili—tyś mię zawsze broniła Więc za to teraz, kiedy smutną rzeczy odmianą wypadło, że ty karku przed przeznaczeniem ugiąć musisz, i kiedy okoliczności nad tobą się pastwią—to widzisz, ja z całéj duszy chciałbym twym obrońcą zostać. Kto cię chwilami od siebie saméj oderwie? Kto przed tobą chytrych obnaży? Kto dopilnuje, żeby ci tylko prawdę mówiono, jeśli ja precz pójdę?—O! nie zdejmuj mi z karku twéj obroży! Przecięż ja na tych tylko zęby wyszczerzam, którzy tobie szkodzą. I teraz oto—patrz—ja całuję nawet kopnięcie twéj stopy—bo kopnięcie to z bólu twéj duszy wyszło—czyż ja tego nie zgaduję? I także, bo stopa twoja, to taka, z poprzed któréj należy zdmuchiwać pył ziemski, jako nie godny, żeby po nim stąpała—czy to ja tego nie wiem?—Więc cóż? Jeśli odejdę—czy mię choć przywołasz znowu?...

JADWIGA.

Nie—nie odejdziesz—o ty dobry człecze!
O ty mój wierny w dniach wichrzącéj fali!
Myśmy dziś niby, znów jak niegdyś mali,
Ty ze mną—w twarz nas wpólny wiatr niech siecze—

I gdy chcesz serca mego mieć podziękę,
To mi nie stopę, lecz ucałuj rękę.
Tylko że—że odkąd Nieba mi królową
Być nakazały—dziwniem zubożała—
Bo jest już cudzą hojność moja cała.
Jednak mię jeszcze stać na dobre słowo—
Więc w imię moje, niech ci Bóg zapłaci
Za mój brak szczęścia, szczęściem twych współbraci!
(podaje mu rękę do pocałowania i wychodzi).

PIEŚ.

Jakże okrutnie sprzecznych Zrządzeń władza
Po téj życiowéj łące się przechadza,
Kędy kwiat kwiatów, poprzez rosy łzawe,
Słońcu się szczęścia w blaskach tęczy cieszy!
Ten, wyróżniony znagła z licznéj rzeszy,
Bywa koroną w dół wdeptany w trawę,
I gdy się dźwignie, zgiętą mając szyję,
Już się nie cieszy—tylko daléj żyje.

Był słyszę taki, co się śmiał—a drugi
Taki, co ciągle łez wylewał strugi,
Patrząc na dziwne świata tego sprawy.
Któryż miał słuszność? Trzeci znów ciekawy
Znalazł: że równie w dole, jak na szczycie,
Ni łez, ni śmiechu, nie jest wartém życie;
Bo zbyt poważny wróg to, by bezkarnie
Drwić z siebie dawał—a zaś godność na tem,
Byś, zacisnąwszy zęby, szedł przed katem,
Jak ten, co w siebie wszelką myśl swą zgarnie.
(siada) To—mówił Mędrzec. Ale trefniś głupi,
Gdy raz uwagę rozstrzeloną skupi,
I tam wzrok wlepi, gdzie, w wyniosłym stanie,
Bez tronu nawet, mają królowanie
Młodość i piękność którym świat się śmieje—
I gdy ich wiary ujrzy i nadzieje,
Niby mydlane bańki, wskroś przekłute
Przez rozpacz niemą, która w sposób cichy
Stawia nieszczęściu krnąbrną czoła butę—
To mu na piersi drgną błazeńskie szychy,
To się zatrzęsą na nim dzwonki z miedzi,
I ten człeczyna, w którym serce siedzi
Nie bohaterskie żadne lecz prostacze,
Czy chce czy niechce, głośno się rozpłacze.
(Zakrywa sobie twarz rękami. Wchodzi Gniewosz).

GNIEWOSZ.

Mości wesołku — waszmość płaczesz widzę?

PIEŚ.

A! w istocie. No, proszę cię — nawet nie uważałem. Już to u mnie, na dnie szklanki, żeby nie powiedziéć dzbana, rozrzewnienie i serdeczność z lubością gościć zwykły. Ot i teraz — pozwólno tylko. Niby patrzę na ciebie przez obwarzanek z świńskiego ogona, i wydajesz mi się nieprzymierzając, jak pasterz Arkadyjski, godnym zazdrości hultajem. *(śpiewa):*

Hej pasterzu! hej ty bosy!
Postój no tu z łaski swojéj.
Cóż to? widzę masz dwa nosy?
Nie—to mnie się w oczach dwoi.
Co u licha? Co u licha?
A tu kufel wciąż wysycha.

GNIEWOSZ.

Wstydź się. Tu — wobec dworu? Gdzie królowa?

PIEŚ.

Niestety! Nie przezemnie już do niéj droga. Nie pamiętasz ty: czy to dla tego mię odprawiła, żem się upił, czy téż dla tegom się upił, że mię odprawiła? *(śpiewa):*

Hej pasterko! hej ty bosa!
Na tém wzgórzu w dół zapadłem,
Cóż ty stoisz tak z ukosa?
Nie — to ja chcę stać, a siadłem,
I przysiadłem sobie nogę,
Więc choć chciałbym wstać — nie mogę.

GNIEWOSZ.

Nie mam co gadać z tobą dłużéj.

PIEŚ.

Czekaj.
Jeszczem nie skończył. Warto słuchać daléj,
Poczém już mądrze będziem rozprawiali.

(Śpiewa znowu).

Czyście tańcem Wita tknięci
Wy bez butów tam pasterze?
Nie — to mnie się we łbie kręci.
Szczęściem oto w rowie leżę,
I mam wody aż do kostek,
A pod głową zgniły mostek.

A teraz — pomóż mi wstać. Nie chcesz? No, to się bez ciebie obędę. Ty zaś, nie wiem, czy sobie bezemnie dasz radę .Jak widzisz, dobrze jeszcze na nogach się trzymam — z tego powodu możesz mieć do mnie zaufanie. I także nie jest prawdą, żebym miał królowę w trąbę puścić, więc mi się jeszcze kłaniać możesz. Wiem, po coś tu przyszedł—ale nie wiem, czy się jeszcze na co przydasz komu.

GNIEWOSZ.

A to dlaczego?

PIEŚ.

Bo ten zbyt ciekawy
Dowojna, wetknął nos w nie swoje sprawy.

GNIEWOSZ.

Słyszałem o tém coś, i przyznam chętnie,
Że się zasłużył dobréj sprawie, skoro
Obłudzie z twarzy maskę zdarł, i zbrodnię
Spełnić zapobiegł.

PIEŚ.

Mówisz jak z Psałterza.
Jednak to Litwin — dzik i wilcza dusza.

GNIEWOSZ.

Jest chrześcianinem.

PIEŚ.

No tak. Tylko szkoda,
Że nie z krzyżackiéj sfory.

GNIEWOSZ.

Trudno ztamtąd
Chrztu się doprosić. Toćże go Jagielle
Zollner odmówił.

PIEŚ.

Zrobił bardzo słusznie.
Bo nawrócona Litwa — to mysz w norze,
Bezpiecznie sobie drwić mogąca z kota,
Który ją w polu wziąwszy w garść, łaskota
Pazurów cnotą, mrucząc w Imię Boże.

GNIEWOSZ.

Byle nie na śmierć — aby jak najdłużéj
Przed światem świadczyć mógł, że Bogu służy.

PIEŚ.

Co? co? No proszę — rozmawiamy tu sobie jak nieprzymierzając dwaj dobrani mędrcy — tylko com nie powiedział, śmieszkowie. Bo nie chwaląc się, niedawno temu, kiedyś o tych samych rzeczach z porywczą Nawojką rozprawiał, pamiętasz, rozbrajać was musiałem. Teraz zaś, jak widzę, dalibyście sobie buzi w imię Perkunasa.

Hej! hej! Mosanie! Ledwie że nadążę
Basować waści. — No, a cóż twój książę?

GNIEWOSZ.

Mój? Wcale nie mój. Dałby Bóg, by długo
Był swoim własnym. Jam królowéj sługą,
I zawszem pełnił, co się jéj być zdało
Z pożytkiem państwa —

PIEŚ.

I z twą brzmiącą chwałą.

Słowem—jesteś wzorem figlarzy. Ha! ha! Jeśli mię kiedy królowa na prawdę przepędzi, ja cię jéj na moje miejsce zalecę. Licz na to. Co zaś do tego księcia, który, jak mówisz, nie jest już twoim, to znajduję, że trochę za głośno się on modlił codzień: — Święć się imię moje, przyjdź królestwo moje, bądź wola moja. — Bo oto stało się znagła, że nie będzie po jego woli, że królestwo do niego nie przyjdzie, i że nie święci się téż jego imię, gdyż wątpić nie należy, że go teraz Mistrz Krzyżowy, po niejakim namyśle, do wszystkich dyabłów odeśle. Więc, jak się patrzy, nie tęgim ty byłeś drwosłębem. I nawet, wogóle, nie bardzo ci radzę daléj na téj drodze chleba czy dorobku szukać. Bo zważ tylko, jak to po świecie bywa:

Swą babę Bartek wybił żwawo,
A potém układł się pod ławą,
Lecz nos ma zakrwawiony.
I żadne z nich nie wyszło cało —
A przecięż męża jéj się chciało —
On zaś zapragnął żony.

GNIEWOSZ.

Z nas każdy przecię, tak jak umié, szczerze,
I z dobrą wolą działa w dobréj wierze.
Mylić się mogłem — ale nikt nie powie,
Bym co innego w sercu miał, jak w głowie.

PIEŚ.

Wybornie. Mówiłeś dotąd jak książka, a teraz wyglądasz jakby złocona jéj oprawa. *(Obejmuje go za szyję).*

Niech w świat niewdzięczny wszystkie klęski grzmocą.
Ja się nie zgorszę ducha twego mocą!
Niech ludzi wszystkich wszyscy dyabli biorą,
Byleś słabości mojéj był podporą!

(Ugina go pod swoim ciężarem i tak wychodzą).

Felicyan.



ZASIEDLENIE UKRAINY.

(Dokończenie).

„6. Wypadki epoki Chmielnickiego, ogromne bitwy i powszechna walka ludu zmniejszyły na nowo zaludnienie południowo-zachodniéj Rusi; lecz zwycięstwa Bohdana za to ściągnęły ku Ukrainie nowych wysiedleńców z innych części litewskiego—powiada szan. profesor—państwa, tak że w czasie przyłączenia Małorosyi do państwa moskiewskiego zaludnienie tego kraju okazuje się (1654) bardzo znacznêm. Powtórne zajęcie prawobrzeżnéj Ukrainy i zaszłe ztąd zamieszki drugiéj połowy XVII-go w. wywołały tu na nowo zmniejszenie ludności przez uchodzenie jéj na moskiewską słobodzką ukrajnę. Wprawdzie nowemi nadzwyczajnemi swobodami, panowie polscy znowu (w początku XVIII-go w.) przyciągali do siebie osadników na prawy brzeg Dniepru, pomiędzy innymi i takich, którzy wstąpili byli w granice Rosyi, lecz potém po upływie terminu zwodniczych swobód wróciła stara klęska polsko-kozackich niesnasek, tępienia się wzajem dwóch narodów słowiańskich w bratobójczéj rzezi (hajdamaczyznie). Ruch kolonizacyjny ku stepowym okolicom, ku morzu Czarnemu z téj strony ustał.“

Prawdziwe wogóle i smutne fakty; ale podniesienie hajdamaczyzny na taką wyżynę, na któréj wygląda ona, jako poważna walka narodu z narodem co najmniéj nieuzasadnione. Przez cześć dla narodu mało-ruskiego za reprezentantów i paladynów jego hajdamaków uznać nie możemy.

„7. Ostateczne zasiedlenie stepów do mórz Czarnego i Azowskiego dokonaném zostało już siłami państwa rosyjskiego, które w połowie XVIII-go w. ogarnęło swemi noworosyjskiemi koloniami południowe granice państwa polskiego, tak iż jeszcze za istnienia

Rzpltéj misya jéj kolonizacyjna ostatecznie została ustąpioną przez nią sąsiadce."

My ze swéj strony dodamy tu tylko: tak, ustąpiła Polska swéj misyi tutaj jako Rzplta, ale wcale jeszcze nie jako naród etnicznie wzięty. Któż nie wié, ile to żywiołu polskiego zaginęło w pracy osiedlenia stepów chersońskich; któż nie wié, jakie tam, pod sterem już rosyjskim, cywilizacyjne i kolonizacyjne zasługi Polaków, na nieszczęście ze szkodą ich narodową!

Po roztoczeniu tez powyższych, w których się streszcza zapatrywanie się badaczy szkoły mało-ruskiéj na sprawę kolonizacyi Ukrainy, p. Władimirskij-Budanów zamyka rzecz następnemi jeszcze uwagami:

„Z ogólnego powyżéj schematu ruchu południowo-ruskiéj kolonizacyi uwydatnia się, jako fakt uderzający żywotność i wytrzymała energia plemienia południowo-ruskiego. Ruski naród cały jest *per excelenciam* narodem kolonizatorskim; lecz południowo-ruska gałąź onego, nie mając zdolności pochłaniania w sobie obcych żywiołów i zwiększania się obcoplemienną domieszką, z saméj siebie wydobywała siłę, przeciwdziałającą nieprzerwanym ciosom wstrząsającym, zadawanym jéj od połowy XIII-go w. po w. XVIII-ty i nietylko nie zaginęła, lecz wyniosła nawet z téj otchłani mąk 400-letnich swój czysty ruski typ etnograficzny, nie dostrzegalny chyba tylko dla uprzedzonych oczu jakiego turanisty lub negowany wskutek z góry powziętéj teoryi. Może to być zaś sprawdzoném przez każdego nietylko w tych częściach Rusi południowéj, które wchodzą obecnie w skład państwa rosyjskiego, lecz i w krainie, od XIV-go w. i do dzisiejszego czasu od niego oddzielnéj (Galicyi). Z drugiéj zaś strony w historyi narodowości polskiéj uderza widoczna mała zdolność do ruchu kolonizacyjnego; nie tylko obcoplemienne krainy przyległe Polsce (litewskie, rumuńskie, tatarskie) nie doświadczyły żadnego przewrotu plemiennego skutkiem sąsiedztwa i długotrwałego panowania Polski, lecz ziemie ruskie, zostające dawniéj częścią pod wpływem, częścią pod władzą Polski, nie przedstawiają nigdzie ani pozoru polskiéj kolonizacyi ludowéj. Jedynie klasy wyższe (nadto bardzo nie dawno) przybrały polskie oblicze, co, oczywiście nie wchodzi w zakres idei ludowéj kolonizacyjnéj działalności.".

Zanadto tu poważne potrącono kwestye etnologiczne i historyczne, ażebyśmy na zamknięcie i nad niemi nie mieli się zatrzymać.

Żywotność i wytrzymała energia plemienia mało-ruskiego zaprawdę uderzające! Przyznajemy mu je, jako ludowi, nawet w wyższym stopniu, aniżeli sami domniemani jego przedstawiciele.

Zgoda i na to, że naród ruski, w najobszerniejszém tego terminu znaczeniu, grupowém, genetyczném, jako cały odłam wschodni szczepu słowiańskiego jest narodem *per exc.* kolonizatorskim. Mniejsza, iż wiele tu zaważyło w wyrobieniu tego usposobienia samo położenie geograficzne i stosunek etniczny, duchowy do obcoplemiennych sąsiadów. Nawet najmniéj rozpierający się Białorusini i ci zdobyli na zewnątrz na Litwinach wierzchowiska Wilii i Niemna; Małorusini nieporównanie energiczniejsi czy szczęśliwsi od nich.

Ale żeby Rusini południowi nie mieli zdolności pochłaniania w sobie obcoplemiennych żywiołów, pomnażania swéj siły przymieszką obcoplemienną—to chyba tylko przy zapomnieniu historyi i statystyki obecnéj chwili dało by się upozorować; nie mówiąc już o tém, iż najniepotrzebniéj robi to ujmę sile przyciągającéj ludu małoruskiego. Nie masz bowiem może wśród ludów słowiańskich ani jednego, coby w takim stopniu posiadał siłę, pochłaniającą zapadłe w ich łono żywioły obce, byle kulturą swą nie wyższe, jak lud południowo-ruski właśnie. Ileż to przeróżnych drobnych plemion turskich nie rozpłynęło w jego masie za prastaréj doby dziejów! Gdzie się podziały wszystkie owe, różnych nazw szczegółowych. Czarne Kłobuki? A przez Zaporoże—ile to żywiołów obcoplemiennych w zaczyn ten słowiański nie wsiękło? Kogóż bo tam nie spotykamy: Tatarów, Wołochów, Ormian! A z drugiéj strony w stosunku do pobratymców—gdzież zatonęły owe fale całe spływającego nieustannie w dobie litewskiéj i później, z góry prądami Dniepru, ludu białoruskiego? Kto wznosił Czerkasy a może i inne zameczki po Dnieprze, jeśli nie „dobroderewcy“ Białorusini, obowiązani zasilać go nadto? Zburzony zamek w Bracławiu, w. ks. Aleksander, przybywszy tu „so wseju zemleju litowskoju“, oprawił „ludmi litowskimi“. A tych ludzi litewskich, niewątpliwie Krywiczan przeważniéj, zastrzęgało na Ukrainie, w ten lub inny sposób, wcale nie mało. Lecz to nic jeszcze. W kogoż się zamieniła przemożniejsza część ludowego wychodztwa polskiego—(włościan, mieszczan i szlachty drobnéj), które całe stulecia posuwało się wciąż ku Ukrainie, jeśli nie w Rusinów, ledwie pamiętających rodzinne swe tradycye? Jakiż to nadto procent rodzin szczero-polskich z pochodzenia—takich, które jeszcze tylko obrządkiem wyróżniają się od ruskiego gminu. Kto zna Ruś południową oddawna i patrzy na życie bieżące, ze zdumieniem przychodzi do przeświadczenia—co téż to za liczba ogromna jednostek i rodzin polskich, w jego własnych oczach, zanikła w toniach mało-rusczyzny! Nie paradoks i to—bardzo poważna część duchowieństwa prawosławnego na Wołyniu i Podolu, rodzin byłych

uniatów, jest pochodzenia czysto-polskiego, świadczą o tém ich nazwiska i tradycye familijne. A zwróćmyż się teraz na stepy noworosyjskie—ileż to tam żywiołu polskiego zatonęło, spływają tylko wierzchem nazwiska polskie, i nie tylko szlacheckie—jakby na świadectwo. A daléj—w co się tam zamieniła głośna Nowo-Serbia, nawet na mapach etnograficznych, jako wyspa na ruskim morzu długo zaznaczana; tyleż śladu po niéj 'co po polskich wysiedleńcach. Wszystko Ruś pochłonęła. Jeden Bułgar staje odpornie względem Rusina, wyższy odeń kulturą i pracą a wręcz odmiennéj natury. Wołoszka nagnie go do swego obyczaju, ale co do języka ustąpi. Że „ruskij człowiek“ —„kacap“ nie podda się w niczém „chochłowi“—rzecz zrozumiała: czuje się on być członkiem panującego narodu a na południu najczęściéj różni się od Rusina wyznaniem; zresztą góruje może nad nim większą jeszcze żywotnością narodową.

Potężną więc była i jest, mimo wszystko, siła asymilacyjna mało-ruskiego żywiołu. Ale żeby naród południowo-ruski miał w przeszłości być winnym wszystko samemu sobie jedynie, żeby z samego siebie miał był wydobyć siłę, dającą mu możność stawienia czoła wszelkim ciosom, jakie weń uderzały „od połowy XIII-go do XVIII wieku“, to i na to, tém bardziéj, w imie historycznéj prawdy, zgodzić się nie możemy. Gdy idzie o to, że „Ruthenia fara da se“, najszczersze tylko jéj życzenia złożyć gotowiśmy; lecz gdy nam chcą wmówić, że ona téż i w przeszłości wszystko „a fatta da se“—to „scusate“! Po rozgromie mongolskim, Ruś ukrainna bez Litwy nie dała by sobie rady. Nie dla zasady: co się stało, stać się musiało—to twierdzimy. Za pierwsze podanie sobie ręki, za pierwsze swe podźwignięcie, Ukraina obowiązana jest nieskończenie żywiołowi krywickiemu, stanowiącemu podstawę narodu białoruskiego. Białorusini to przeważnie, prowadzeni przez Gedyminowiczów, wyparowali ze średniego Dniepru Tatarów, powznosili zamki nad jego brzegami, i ośmielili ludność rozpierzchłą. Wątpliwe téż bardzo, czy bez Białorusinów zdołałoby spotężnieć i Zaporoże, zasilane nieustannie dopływem niemałego kontyngensu Siewierzan, Smolan a może i dalszych Krywiczan. Co to mówić: teraz jeszcze nie kto inny przecie młodego badacza przeszłości bractwa zaporoskiego przewiózł przez groźne zawsze „porohy“, jak dzielne „Litwiny“, ciż sami dawnych lat „dobroderewcy“—sam on dawał im chlubne świadectwo na zjeździe archeologicznym w Odesie 1884 r. Dziś, gdy każdy, nawet akademicznie, w przeszłości, ujmuje się za swojém, za prawdą, wypadałoby, aby należyciéj wykazano wagę i narodu biało-ruskiego w ogólném życiu Litwy i Rusi. Z drugiéj znów strony, a co ważniej-

sze, nie stałaby się Ruś południowa bez Polski tak wcześnie uczestniczką cywilizacyi zachodniéj. Cokolwiek by o niéj powiedzićć można, była ona zawsze cywilizacyą taką, na jaką się ówczesna Europa zdobyć mogła. Cywilizacya ta, przyswajana, przeobrażana nad Wisłą, wkraczała na Ruś, jako polska, czy ją tam wnosili aryanie czy jezuici; a więc obcą, nie ruską. Jeżeli Ruś wszakże posiadała siłę wytwarzania wszystkiego sama z siebie, dla czego również nie przyswoiła sobie bezpośrednio pierwiastków ogólnych cywilizacyi i nie wytworzyła sobie właściwéj cywilizacyi ruskiéj? Przecież środków po temu by jéj nie zabrakło—jéj liczni a potężni kniaziowie i ziemianie przed unią 1569 r. jeszcze nie byli spolszczeli. Nie stało się tego jednak; cywilizacyi samoistnéj Ruś południowa sobie nie wytworzyła. Bo nie była w stanie! Musiała więc przyjąć taką, jaką jéj Polska podawała: tak — tylko podawała, nie zaś narzucała. Niezawodnie byłaby ją Ruś odparła, gdyby miała siłę ową. Tymczasem na pogrzebie Bohdana Chmielnickiego pisarz wojska zaporoskiego, Zorko, przemawia po polsku; książki polskie drukują w Nowogródku Siewierskim; małorosyjscy już skrybenci czyny młodego cara Piotra sławią nie inaczéj, jak po polsku. Tém łatwiéj to zrozumiéć, gdy dodamy, że siostra tegoż, carewna Sofia, modli się na książce polskiéj (nie katolickiéj oczywiście). Zaprawdę—inaczéj by się całe dzieje Rusi zwróciły, gdyby w narodzie jéj była istotna świadomość jego siły.

Owe zaś 400-letnie męki — dopiéro od połowy XIII w. poczynające się—istotnie doba to bardzo, bardzo smutna w dziejach południowéj Rusi. Ale naprawdę: czy miałaby ta doba tak wielce czego zazdrościć dobie ją poprzedzającéj — wątpliwa. I czegóż by zazdrościć? Oto idylla przeszłości téj, oto obraz jéj ujmujący: bracia książęca w najlepsze morduje się i oczy sobie łupi; mordują téż książęta i bojarów po kilkuset odrazu, ale zato ich synowie tychże książąt na szubienicach wywyższają, wszędy wesoło przy łunach połowieckich, wśród tańca z Połowcami! A smerdowie? — o gmino staro-ruska, o przedmiocie westchnień dusz młodocianych, jakże i w łonie twojém daleko od błogiéj sielanki: smerd co prawda nieraz probuje podnieść głowę, ale napróżno; dopiéro od przyjścia Mongołów uczuł się on swobodniejszym—o zgrozo, gdy kniaziów a bojarów trochę przetrzebiono. Chociaż i wtedy nie bez pieśni w życiu i pieśni pięknéj „o pułku Igora"; i nie bez pociechy religijnéj—ojcowie peczerscy wciąż modlą się a modlą za grzesznych! Miałażby może doba ta mąk 400-letnich zazdrościć dobie po-perejasławskiéj: nie nam nie uczestniczącym w tych błogościach sądzić; choć zresztą wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi.

Dodać tu nadto wypada, iż owa otchłań mąk 400-letnich, owe „gorniło iztiazianij“, jako charakterystyka epoki, jako dominująca barwa obrazu, trąci nieco znaną dobrze frazeologią wątpliwéj szczerości, nie mogącą miéć nic wspólnego z powagą surową historyi. A przecie naród południowo-ruski nie tylko że „wyniósł“ z téj otchłani swój czysty typ etnograficzny; lecz co więcéj, pracy i owym mękom tych 4-ch stuleci typ ten swój zawdzięcza!

Czyż istniał bowiem przedtém typ ten, tak skończenie zarysowany w życiu i przeświadczeniu? Czy w chaotycznym konglomeracie rurykowskiéj rzeszy przeróżnych plemion wschodnio-słowiańskich i obcych plemiona południowe czuły się bliższemi między sobą wzajem, na wyciągniętéj linii od Sanu po za Trubeż, jak każde z osobna, ku swemu sąsiadowi o miedzę innego etnograficznego odcienia? Czy taki Polanin perejasławski czuł bliższe swe krewieństwo z Chrobatem przemyślskim, jak z Siewierzaninem Nowogródka? Poczucie odrębności grupowo-etnograficznéj nie wydostało się było jeszcze z pod powagi imponującéj przeświadczenia solidarności ogólnéj, polityczno-kulturowéj względnie rodu Ruryka i cerkwi. Nawet za czasów litewskich, przy zbliżeniu się ściślejszém dwóch odłamów staréj Rusi w jedném bardziéj spoistem teraz państwie oraz prądzie osadniczym z północy litewskiéj ku południowi — zgoda — możeby się i mógł wyrobić z czasem jeden ogólny ruski typ ludności, gdyby nie system polityczny w. księstwa, dozwalający szerokiéj autonomii odrębnych krain; ale cóżby na tém pochłonięciu Ruś południowa wygrała? W warunkach zaś faktycznych, czémże był ów oficyalny „naród ruski“, „język ruski“? Ani Białorusin, ani Małorusin z osobna, jako do swego wyłącznie dońby się nie przyznał. Powoli wyosobnienie niemal autonomiczne ziemi wołyńskiéj, potém oderwanie całego pasu południowego od Litwy i zetknięcie go ściślejsze z Rusią Czerwoną w jednéj prowincyi małopolskiéj skutkiem unii 1569 r. — to dopiéro zdecydowało wytworzenie się wśród mieszkańców ziem południowo-ruskich przeświadczenie swéj względnéj bliższości, prowadzące w ostatecznym wyniku i do wyraźniejszego uznania swéj odrębności narodowéj. Z czém téż zarazem z popod oficyalnéj bezpłodnéj wszechruszczyzny ówczesnéj począł wykwitać samoistny język małoruski, który z nizin warstw wieśniaczych zdołał się był widocznie przecisnąć i na zamki kniaziowskie. Co więcéj, język ten, mimo niepowstrzymanego niczém przyswajania przez klasy wyższe cywilizacyi zachodniéj w postaci polszczyzny, stał się zarazem wśród nich-że samych skarbnicą, w któréj spoczął zaczyn i kultury samoistnéj.

Tak—niezaprzeczenie, przy obumieraniu staro-rusczyzny, która straciła była już całą swą żywotność, jeśli ją kiedykolwiek istotnie miała, pierwéj pewnie nawet nim kultura polska przenikła między warstwę ziemiańską dalszéj Rusi, zakiełkowuje w niéj to, coby można było nazwać zaczynem samorodnéj i samoistnéj kultury południowo-ruskiéj. Wkraczająca w głębie społeczeństwa ruskiego, przez warstwy pierwotnie najwyższe tylko, cywilizacya zachodnia nic temu zwrotowi ku usamoistnieniu się nie przeszkadza; owszem samochcąc pomaga może. Wysoce wojenny, prawdziwie rycerski nastrój warstw wyższych całéj Rusi południowéj, przy wrodzoném usposobieniu poetyczném jéj mieszkańców, zapala, jak wszędzie tak i tu, umysły bohaterstwem, porywa serca ku pieśni. Zabrzmiała surowo — poważnie smutna duma historyczna, przepełniona zarazem najrzewniejszym liryzmem. Bardowie i słuchacze ich wieńczący są to oczywiście przedewszystkiém rycerskie syny ziemi wołyńskiéj, poważni i kozakujący, a miejscem popisu nie tylko obóz wojenny, lecz i komnaty zamków kniaziowskich. Był to niby dalszy ciąg dumy o pułku Igora, lecz bardziéj już samoistnéj, nie tylko co do języka. Gdy zamki dla niéj z czasem zobojętniały, żywiło się nią i uprawiało daléj kozakujące ziemiaństwo—zabrzmiała ona na Zaporożu. Gdy i tam przycichła, wtedy już lirnicy ludowi podchwycili ją obumierającą i lud ją zatrzymał w swéj pamięci — choć i automatycznie tylko. Zatrzymał—razem z niewyczerpanym skarbem lirycznéj swéj muzy, w któréj jakby zaklęta, spoczywa potężna siła samodzielnego duchowego odrodzenia się narodu, bez któréj przyswojone nabytki ogólnéj cywilizacyi europejskiéj bezskutecznemi, w znaczeniu nacyonalném być by musiały. Wszystko to zaś właśnie dała Rusi owa, tyle potępiana specyficzniéj, epoka mąk i niedoli, których sprawcą nie było zresztą społeczeństwo polskie, przebywające jednocześnie, jako lud, swoje męki czyścowe!

Zamykając ostatecznie rozważaną wyżéj kwestyą, jeszcze mocniéj teraz poprzemy tezę szan. profesora, że naród południowo-ruski nic nie uronił ze swego czysto-ruskiego typu etnograficznego w owéj epoce długiéj niedoli, mimo wszystko, coby tam o tém jakaś turańska czy inna teorya podawać mogły. Nie inaczéj! Wprawdzie absolutnéj niezmienności typu w ciągu długiego życia jakiegoś historycznego narodu utrzymywać niepodobna. Ale przecie! Południowe plemiona Słowian wschodnich stanowiły odrębną grupę etnograficzną już do przyjścia Rusów. Dla wątpiących dość będzie może, gdy wśród wielu wskażemy choć na jeden fakt bardziéj prosty, jasny, niezawiły: wiadomo naprzykład, iż lud Polesia litewskiego należy do dwóch różnych etnograficznych typów; na Pole-

siu dolném, mozyrsko-rzeczyckiém, bliższém Kijowa do typu biało-ruskiego, na górném zaś, brzesko-pińskiém od Kijowa dalszém do typu małoruskiego. Gdyby to się miało stać skutkiem jakich wpływów czy wypadków późniejszych, toć w każdym razie w znanych dziejach Rusi ślad by tego jaki pozostał! Żaden pierwiastek obcy nie wdarł się wszakże na Polesie dolne, aby typ etnograficzny ludu tu zmienić—typ zresztą wspólny całéj grupie białoruskiéj. A ponieważ typ ten jest takim, jakim jest, t. j. zupełnie odrębnym od małoruskiego, a nadto podchodzi z północy bez mała pod same mury Kijowa, nie ustępując nic jego wpływom, więc istniał on tu takim odrębnym od czasów przedhistorycznych; gdy Kijów, z drugiéj znów strony był tu ostatnią strażnicą, wysuniętą ku północno-wschodowi grupy południowéj, równie wyosobnionéj w zamierzchłych już czasach. Pierwotny typ ogólny południowo-ruski musiał się jednak zmienić nieco w ciągu dziejów. Nie tylko, że się oddalił bardziéj jeszcze od biało-ruskiego, ale jeszcze zróżniczkował się — jeśli wolno tak powiedziéć — sam w sobie. Na Ukrainie oddziałał niezaprzeczenie przypływ krwi turańskiéj; na Czerwieńszczyźnie nie mógł nie oddziałać silniéj jeszcze widomy tam od wieków wpływ lechicki. Wpływy to wszakże etnograficznie nieznaczne, nie zmniejszające czystości ruskiego charakteru, nawet w obliczu Białorusów, słabo tylko tkniętych krywejtowską litewszczyzną. Utrzymał się tedy mimo wszystko samoistny typ nawet w „odcudzonéj" od XIV w. Galicyi, wycieniował się, wyrobił się duchowo i wzbogacił zasobami dla dalszego właściwego mu rozwoju. Tragiczność doli społecznéj wypiętnowała się w literaturze, w pieśni; niechże historyografia narodu tak żywotnego mniéj już uderza w żałobny ton sentymentalizmu!

Przechodząc następnie ku charakterystyce narodowości polskiéj, w stosunku do ruskiéj, co do zdolności ich osadniczo-ekspansywnéj, p. Władimirskij-Budanow zaznacza słusznie uderzającą małozdolność żywiołu polskiego do kolonizacyjnego ruchu. Istotnie—lud polski jest wielkim domatorem, poruszać się bez ostatecznéj konieczności nie lubi. Opuściwszy chałupę własną, w rozproszeniu między żywiołem obcym łatwo daje się asymilować i ginie. Podobny pod tym względem zupełnie do ludu małoruskiego, a może i każdego ludu. Tam jednak, gdzie posuwa się ławą, opierając się plecami o stare swe siedziby, tam trzyma się twardo—dowodem Podlasie mazowieckie i mazursko-pruskie. Nie łatwo téż daje się zalać obcym falom większa wysepka szczero-polska, jak na Rusi Czerwonéj i Podolu. Na nieszczęście tylko lud polski mało się wysiedlał gromadnie, posuwać się ławą nie miał kędy, nie siedział u miedzy

z ruchliwymi koczownikami, nie miał u swych rubieży ani stepów, ani przestronnych puszcz nawet. Gdy mu się zaś rozwarły na oścież wierzeje osadnictwa, przez zuniowanie się Korony z w. księstwem litewskiém, tylko wolne warstwy ludowe, a więc drobno-szlacheckie przeważniéj, posunęły się ku wschodowi bardziéj tłumnie. Przyczyniły się one z czasem do polonizacyi odpowiedniéj sobie położeniem warstwy litewskiego i ruskiego bojarstwa; ale gromadniejszemi nad rozproszone zaścianki osadami rzadko się sadowiły. Wychodźtwo to wolnego szlacheckiego i mieszczańskiego ludu, mimo zmieszania się z ludnością miejscową, utrzymywało do upadku Rzplitéj, nawet i na dalszéj Rusi południowéj, mocno cechy swe narodowe. Znaczna część onego przez miejsce zamieszkania i węzły familijne przyjęła obrządek słowiański, unicki, i dopiéro tą drogą poczęła z czasem tracić charakter swój etniczny, zmieniać język etc. Zato lud kmiecy, gdzie tylko nie osiadał gromadniéj, wychodziec, zbieg osobliwie, wnet się zatracał w masie ruskiéj. I do niego to tylko stosuje się właściwie zdanie autora co do niezdolności kolonizatorskiéj narodu polskiego. Natura wieśniaka polskiego—miękka, wrażliwa, dająca się łatwo pociągać wszystkiemu, co dlań sympatyczniejsze. Smutne, bardzo smutne dzieje społeczne nie wyrobiły w nim wyższéj świadomości narodowéj po nad poczucie pierwotne odrębności etnograficznéj. Jego polskość była na Rusi cechą wielkopańską, on zaś uczuciem lgnął do podobnegoż sobie ludu, więc ruskiego i rozstawał się samochcąc ze swą narodowością.

Naprawdę téż niema tak wielkiego paradoksu w twierdzeniu pewnych etnografów szkoły małoruskiéj, utrzymujących, iż główne przeciwieństwo dwóch bratnich narodów polskiego i południowo-ruskiego uwydatnia się najbardziéj w wyrobionych przez ich poprzednie dzieje cechach społecznych, co ich charakteryzują. Na ile bowiem Polacy mają być narodem na wskróś arystokratycznym, na tyle demokratycznym są Rusini. Wytwór to różnego kierunku poprzednich dziejów — nic innego. Ale tak się stać musiało, gdy Ruś swą rozpasaną arystokracyą na rzecz polską straciła. Polskość na całym obszarze Rzplitéj stała się wyrazem dystynkcyjnéj — społecznéj i towarzyskiéj wyższości. I na Rusi téż wszystko, co tylko czémkolwiek—stanowiskiem, inteligencyą, bogactwem — wznosiło się nad tłum wieśniaczy, przybierało świadomie czy nieświadomie, dobrowolnie czy przeciw własnéj woli, cechy narodowości polskiéj—duchem czy tylko obyczajem polaczało. Nieposłuszni pułkownicy wojska zaporoskiego, archimandryci monasterów błahoczestywych, rajcowie miasta Kijowa, profesorowie jego akademii byli z oby-

czaju takimi Polakami, jakimi w istocie saméj stali się już kniaziowie i ziemianie ziem ruskich „gente Rutheni, natione Poloni.“ Ale z powodu tak jednostronnego społecznego rozwoju, dzieje przekazały nam fatalny postulat, że ten tylko śród nas będzie miał głębsze poczucie narodowości, kto otrzyma wyższe wykształcenie, stanie się ucywilizowanym bardziéj. Z czém łączyła się jako prosta konsekwencya, iż chłop, trzymany w ciemnocie, nie poczuwał się do wyższych obowiązków narodowych, a znalazłszy się między Rusią, łatwo nacyonalnie ginął. Na nieszczęście obydwóch narodów, cechy owe tak przeciwne zespoliły się jakoby z ich charakterem, zrosły z ich naturą samą. Jakim arystokratyzmem ducha musi być podsycane poczucie nasze narodowe — o tém sąsiedzi wiedzą; ale i myśmy do niedawna patrzyli, nie bez powątpiewań poważnych, jak na Rusi, z bardzo rzadkim wyjątkiem, ciemna tylko masa ludu, za demokratyczną poczytywana, przejęta była na seryo poczuciem etnicznéj swéj odrębności, a wszystko to, co wysuwało głowę po nad kmiecia, myślało tylko nad tém, jakby się ubrać do niepoznania w cudzą szatę i przestać być samém sobą!

Przy braku zdolności kolonizatorskich narodu polskiego nic dziwnego, iż nie oddziałał on na wywołanie „przewrotu plemiennego“ wśród swych sąsiadów litewskich, wołoskich, tatarskich. Oczywiście przewrót wewnętrzny, moralny, nie etnograficzny, wywołany w narodzie litewskim do tego stopnia, że ten stał się bliższym Polakom, aniżeli najbliższym sobie ze Słowian, Krywiczanom, nawet pobratymcom swym szczepowym Łotyszom, w rachubę nie wchodzi. Nie dadzą się téż tu podciągnąć ani Tatarzy litewscy, ani Ormianie Rusi Czerwonéj. Twierdzenie zaś, jakoby ziemie ruskie „nie przedstawiają nigdzie ani pozoru polskiéj ludowéj kolonizacyi opiera się jedynie na nieznajomości faktycznego stanu rzeczy. Zarazem prosta nieprawda téż, aby „jedynie klasy wyższe, a nadto bardzo niedawno przyswoiły tam sobie oblicze polskie“ — jeśli rzecz idzie o całéj Rusi południowéj!

Oto odpowiedź nasza na uwagi o zasiedleniu Rusi szan. profesora kijowskiego. Przybiera ona tém większe znaczenie, o ile samochcąc może musieliśmy wystąpić obustronnie nie tylko od siebie osobiście. Jak byśmy się tam bowiem wyróżniali w naszych sądach szczególnych od poprzedników i współtowarzyszy na polu badań nad przeszłością ziem ruskich, należymy z osobna, każdy ze swéj strony, do szerszéj grupy pracowników, do historycznéj szkoły. Łączy nas wspólny przedmiot badania, ale pryzmat zapatrywań się naszych oczywiście nie może być jednostajnym. Nie potrzebujemy go zmieniać, nie przeszkadza bowiem ani powadze, ani skuteczności

poosobnych dociekań. Byleśmy się na jedno zgodzili, mianowicie na obowiązek moralny opierania sądów naszych na faktach autentyczności dowiedzionéj—to jedno, a powtóre na obowiązek, nie mniéj imperatywny a równie surowy, patrzenia na rzeczy przeszłe i obrazowania ich „sine ira“—bez rozżalań się i roznamiętniań: pokój grobom, kiedy sami żyć chcemy, prawda historyi niech je osłania i przebaczenie! Prawda faktyczna i przebaczenie obowiązkowéj dla historyka bezstronności. Naprzód tedy o ową prawdę iść nam musi, o jéj wykrycie i wyświetlenie. Co do naszego wspólnego przedmiotu: wyrozumienia istoty wewnętrznego rozwoju ziem ruskich w ubiegłéj przeszłości, upowitym jest on dotąd przeważnie w stosach aktów archiwalnych. Rozumiemy to doskonale, że przed ich całkowitém wydaniem i rozjaśnieniem krytyczném, nie mamy prawa wypowiadać ostatecznego sądu w kwestyach zawiłych lub spornych, nauczeni doświadczeniem, jak się to zmieniają przedpowzięte poglądy ogólne na rzeczy, za każdorazowém ukazaniem się w druku jakiejś wiązki nieznanych dotąd źródeł. Nie uprzedzajmyż odkryć i wykryć, sprostowań i wyjaśnień krytycznych, w samych źródłach zawartych; uporczywie i z całą świadomością abnegacyi pracujmy pierwéj nad wydaniem materyałów przedewszystkiém. Główny zarzut właśnie, jaki robimy szkole kijowskiéj jest to podnoszenie pojedynczych faktów, nie dostatecznie rozjaśnionych, oderwanych, do ogólnego znaczenia, uogólnianie skore wszystkiego, zakrawające na jakąś historyczną doktrynerya. Bądźmy tedy cierpliwsi, nie wznośmy za każdym razem całokształtów, poprzestając ile można wytrzymaléj na złomkach budowlanych. Przygotujmy pierwéj dostateczny ich zasób. Kijowska archeograficzna komisya znajduje się pod tym względem w wyjątkowo pomyślnych warunkach, naszym prywatnym usiłowaniom jéj nie sprostać, na niéj téż leży i obowiązek większy. Zasoby archiwalne ma ona wszystkie prawie pod ręką a chociaż okazało się ostatecznie, że dla archiwum lubelskiego, obejmującego i akta trybunalskie prowincyi mało-polskiéj, do któréj zaliczały się i ziemie ruskie, najodpowiedniejsze miejsce w Wilnie, łatwiéj przecie komisyi i tam z kolei do swego działu się dostać. Jako na rzecz bardzo dla nauki pożądaną zwracamy téż tu na to, sami oddaleni, przy okoliczności uwagę. Skarby tam się znajdą jeszcze nie tknięte. Gdy zaś z czasem wydobędziem na jaw wszystkie źródła główniejsze, śmieléj się odważymy, z przeświadczeniem uprawnienia po temu, i do ogólniejszego rzutu oka na dzieje wewnętrzne tak ziem ruskich jak i całéj Rzpltéj; na charakter i ważenia się wzajemnego oddziaływania na się dwóch społeczeństw narodowych, w niéj zrzeszonych, polskiego i ruskie-

go, tak dodatnio jak i ujemnie. A wtedy niewątpliwie, zestawiwszy wszystko cokolwiek się znajdzie wydaném odnośnie kolonizacyi Rusi południowéj, zlicowawszy z obecnym stanem rzeczy, przyjdziemy do przekonania już zobopólnie, że naprawdę nie małoznaczną grał rolę żywioł polski, jako pierwiastek ludowy nawet, w zasiedleniu i zagospodarowaniu Rusi południowéj wogóle; że nie mało tysięcy staj dziewiczéj ziemi stepowéj oddane były raz pierwszy pod uprawę ręką rataja polskiego—począwszy choćby od tych Lachów jeńców, których jeszcze Jarosław mądry osiedlił na Porosiu; nie mało krwi polskiéj rozpłynęło się, marnie i nie marnie może, w masie ludu ruskiego. Nim zaś co—poprzestańmy i na tém półświetle, jakie dla nas dostępne, wdzięczni pracownikom kijowskim za nowy ten przyczynek do wspólnych dziejów.

Aleksander Jabłonowski.





CZÉM SIĘ KIERUJĄ

PTAKI PRZELOTNE

W CZASIE SWYCH WĘDRÓWEK?

Przyczyna, dla czego ptaki przelotne w czasie swych wiosennych i jesiennych wędrówek umieją doskonale trafiać do swych pierwotnych siedlisk, była dotychczas zupełnie nieznana. Nikt nie potrafił wskazać, czém lub według czego ptaki w wędrówkach się kierują. Brakło tu nawet przypuszczeń. Jak dalekimi byli zoologowie od rozwiązania téj zagadki, dość przytoczyć słowa Karola Darwina (1):

„Dziwny jest to instynkt, który zmusza gęś berniklę *(Bernicla brenta)* do przedsiębrania wędrówki na północ, lecz nie wiemy, w jaki sposób ptak ten odróżnia północ od południa. Podobnie też nie pojmujemy, w jaki sposób ptak, odbywający wędrówkę nocą przez morze, co tak często ma miejsce, tak doskonale umié trzymać się swéj drogi, jak gdyby miał przy sobie kompas."

Widzimy więc z tego, że Darwin zaznacza fakt oryentowania się ptaków w podróży, nie umiejąc atoli go wytłómaczyć.

Niektórzy zoologowie (Fabre) przypuszczają, że u owadów istnieje zmysł t. zw. topograficzny, którym się w czasie swych wycieczek kierują i wskutek tego umieją trafiać do gniazda; jednakże jest to przypuszczenie niczém nie poparte, a nadto zmysłu owego nikt nie miał ochoty przyznać i ptakom, gdyż twierdzenie swoje w takim razie trudnoby przyszło jakimikolwiek dowodami poprzéć.

Aby ptaki w podróży swéj, będąc wysoko wzniesione, mogły wzrokiem się kierować przez objęcie ogromnego widnokręgu, bo

---

(1) O powstawaniu gatunków. Przełożył S. Dickstein (str. 411).

kilkaset mil geograficznych wynoszącego, jest rzeczą niemożebną. Najprzód dlatego, że ptaki wędrowne nie lecą wyżéj jak $^1/_2$ mili (12000 stóp) wysokości, a zresztą, nawet przypuściwszy, że lecą na wysokości $^3/_4$ mili (18000'), to i wtedy z téj wysokości nie mogłyby nad tak wielkim obszarem w żaden sposób wzrokiem zapanować: wiemy bowiem z geografii (1), jak wielki widnokrąg roztacza się z różnych wysokości—i tak:

z wysokości		widzi się koło, którego promień wynosi
300 stóp	—	3·88 mil geograf. (*)
500 „	—	6·17 „ „
1000 „	—	8·66 „ „
3000 „	—	15·04 „ „
5000 „	—	19·50 „ „
8000 „	—	24·50 „ „
12000 „	—	30·06 „ „
15000 „	—	33·18 „ „
20000 „	—	38·80 „ „
25000 „	—	43·40 „ „

Odległość między siedliskiem letniém a zimowém wielu ptaków jest o wiele większa, niżli promień widnokręgu, jaki się z wysokości 1 mili roztacza. I tak odległość między Szwecyą a Egiptem, lub Finlandyą a Mezopotamią wynosi w prostéj linii mniéj więcéj około 550 mil geograficznych, podczas gdy z wysokości jednomilowéj ma się przed sobą widnokrąg w promieniu tylko 42 mil rozległości. Wypływa więc z tego, że ptaki przelotne z miejsca wyruszenia nie mogą dojrzéć wzrokiem krain tych, do których dążą. Powtóre wzrokiem dla tego nie mogą się kierować, iż wędrówki po największéj części odbywają wśród ciemnych nocy. Z téj saméj przyczyny nie mogą ptaki według słońca się kierować. Że według księżyca lub gwiazd one się nie kierują, znajdujemy znowu dowód w téj okoliczności, że częstokroć ptaki w czasie bardzo ciemnych nocy, kiedy niebo zasłane jest chmurami, a tém samém księżyc i gwiazdy są niewidzialne, wędrówki odbywają, jak np. dzikie gęsi i kulony, przelot swój w téj porze zdradzające tylko częstem odzywaniem się. Że prądami powietrznemi ptaki kierować się nie mogą, mamy dowód w téj okoliczności, że one odbywają wędrówki w cza-

(1) Por. Geografia powszechna przez Baranowskiego i Dziedzickiego. Lwów, 1876 (str. 5). — (*) Jeśli żadne ziemskie przedmioty nie zasłaniają widoku.

sie różnych wiatrów i prądów powietrznych. Nakoniec mniemania niektórych, że ptaki kierują się biegiem rzek — jest mylne; kierują się nim tylko niektóre ptaki, jak np. mewy, rybołówki, po części kaczki dzikie, a to dla tego, że będąc ptakami wodnemi, ciągną wzdłuż wód, szukając żéru; lecz nie tyczy się to ani żórawi, ani szpaków, ani wielu innych ptaków. Mniemanie więc, jakoby ptaki przelotne trzymały się rzek, jest z gruntu fałszywe i może tylko pochodzić od ludzi, którzy przelotów ptasich nie obserwowali w naturze; widzimy bowiem mnóstwo stad przelotnych ptaków w miejscach, gdzie rzeki na poprzek linii ich lotu toczą swe wody. Okazuje się więc z tego, że wszystkie wyżéj przytoczone wyjaśnienia krytyki wytrzymać nie zdołają.

Przed niedawnym czasem, mieszkając przez dwa lata na wsi i widząc nieraz ogromne stada różnego ptastwa w czasie przelotów, byłem mocno zainteresowany pytaniem: jakim sposobem ptaki do swych siedlisk trafiać umieją, nie błądząc po drodze. Przechodziłem z kolei wszystkie wyż wymienione wyjaśnienia i ostatecznie przyszedłem do wniosku, że wszystkie wyjaśnienia są fałszywe. Przyjaznym zbiegiem okoliczności szczęśliwa mi myśl przyszła do głowy: badać, czy kierunek lotu ptaków wędrownych w czasie przelotów nie zgadza się z kierunkiem igły magnesowéj (busoli). Obserwacye rozpocząłem w jesieni 1885 r. i do jesieni włącznie 1887 czyniłem spostrzeżenia w téj sprawie. Przez przeciąg tych dwu lat nazbierany materyał tak się przedstawia:

Obserwowane przezemnie bociany leciały w kierunku wskazywanym przez igłę magnesową.

Wszystkie stada żórawi również leciały w tym kierunku.

Dzikie gęsi obserwowane po największéj części leciały w wymienionym kierunku, jednakże nie wszystkie stada, gdyż jedno stado widziałem lecące wprost ze wschodu na zachód, co tłómaczę tym sposobem, że musiały zapewne lecieć na jakie stawy lub większe wody, na siedlisko, i zmieniły wskutek tego kierunek lotu.

Z tych spostrzeżeń, acz nielicznych i niedostatecznych wyciągam wniosek i stawiam go tymczasowo w formie przypuszczenia następującego:

Ptaki przelotne w czasie wiosennych i jesiennych wędrówek posiadają poczucie prądów magnetycznych i w locie niemi się kierują.

Z fizyki i meteorologii czytelnikom wiadomo, że zboczenie jak i nachylenie igły magnesowéj zależy od szerokości i długości geograficznéj. Oprócz tego i dla danéj miejscowości jest zmienne z biegiem czasu.

W celu unaocznienia czytelnikowi, w jaki mniéj więcéj sposób zmienia się kierunek prądów magnetycznych w różnych punktach środkowéj Europy, załączam tablicę, przedstawiającą zachodnie zboczenia (deklinacyą). Długość rachowaną jest na wschód od Ferro (1).

Szerokość północna	DŁUGOŚĆ WSCHODNIA										
	30⁰	31⁰	32⁰	33⁰	34⁰	35⁰	36⁰	37⁰	38⁰	39⁰	40⁰
45⁰	10,9⁰	10,4	9.9	9,4	8,9	8,5	8,2	7,7	7,3	6,9	6,3
50⁰	11,3⁰	10,8	10,2	9,7	9,2	8,7	8,1	7,6	7,1	6,6	6,0
55⁰	11,7⁰	11,1	10,6	10,1	9,5	9,0	8,4	7,8	7,3	6,7	6,0

Tablica ta zawiera dane z roku 1884.

Nagłe zmiany w zboczeniu lub nachyleniu igły magnesowéj zowią się burzami magnetycznemi. W razie, gdy burza magnetyczna zachwyci w czasie przelotu jakie ptaki, to według naszéj hypotezy wypada, iż ptaki takie powinny błądzić. Rzeczywiście zdarzają się wypadki, iż ptaki wędrowne w pewnych okresach czasu w porze przelotów błądzą, zalatując w strony, w których zwykle nie przebywają. Témby się tłómaczyły zalatywania w nasze strony nie-których ptaków azyatyckich, naprzykład pustynnika *(Syrvhaptes paradoxus Illig.)*, siewki azyatyckiéj *(Charadrius fulvus Gm.)* i wiele innych.

Na jedną jeszcze okoliczność chciałbym zwrócić uwagę czytelnika. Wiadomo ze spostrzeżeń ornitologicznych, że ptaki przelotne w czasie swych wędrówek w razie natrafiania na wysokie grzbiety gór, np. Alpy, jeśli nie lecą w wysokości przenoszącéj łańcuchy gór, zwykle są bezradne, to jest nie umieją w pierwszéj chwili zmienić kierunku lotu, ani téż wznieść się nad poziom wyższy od wierzchołków gór i wskutek tego błądzą, tułając się u zbocza grzbietu. Przemawia to za twierdzeniem, że ptaki mają właśnie poczucie kierunku prądów magnetyzmu ziemskiego i że podczas wędrówek zmienienie linii lotu raz obranéj z wielką trudnością im przychodzi.

Jeden tylko zarzut dałby się tu podnieść. Zapyta kto, jakim sposobem kierują się i trafiają do domu (siedliska) swego pocztowe gołębie. Na to odpowiem, że we wszystkich wypadkach, gdzie, jak

(1) Por. F. Kohlrausch. Leitfaden der praktischen Physik. Leipzig 1884. 5-te wyd. (str. 343). Załączona tablica wyjęta jest z tego dzieła.

wiemy, ptaki te będąc o kilka, kilkanaście lub o mało co więcéj mil przeniesione, są wypuszczane, — a więc w wypadkach, w których nie odbywają podróży po kilkaset mil wynoszących, kierują się ze znacznéj wysokości rozległością widnokręgu, a która dla nich, przy tak niewielkiéj podróży, jest zupełnie wystarczającą. Jako sprawdzian tego twierdzenia, przytoczę okoliczność, że gołębie z odległości wynoszącéj więcéj niż kilkadziesiąt mil geogr. już nie umieją do domu trafiać; tém bardziéj nie potrafią wrócić z odległości kilkuset milowéj. Wiadomo zresztą, że powracanie i trafianie gołębi pocztowych do gniazd jest (można powiedziéć) w odwrotnym stosunku do odległości miejsca ich wypuszczenia, to znaczy, że im większa odległość, tém mniejsze prawdopodobieństwo powrotu do swego siedliska.

Twierdzenie moje o poczuciu prądów magnetycznych u ptaków przelotnych jest niczém innén, tylko hypotezą, ale hypotezą mającą bardzo wiele prawdopodobieństwa za sobą. Podaję (1) właśnie niniejszy sposób wyjaśnienia do szerszéj wiadomości z przyczyny, że przy pomocy licznych obserwacyi będzie można tę hypotezę albo poprzéć, albo obalić, co w każdym razie przyczyni się do wyświetlenia omawianéj tu kwestyi. Jest rzeczą dziwną, że znajdują się ludzie, którzy wszelkie hypotezy lekceważą i to swoje zapatrywanie chcieliby wpoić innym ludziom. Tymczasem każdy pojaw nowéj hypotezy w jakiejkolwiek nauce znamionuje jéj żywotność i dowodzi jéj postępu. Każda prawie hypoteza znakomicie się przyczyniła do rozwoju pewnego działu nauki, a to przez to, że przy krytycznym jéj ocenieniu tyle trzeba poruszyć i roztrząsnąć jak najdokładniéj *pro* i *contra* kwestyi, że sprawa w wszechstronny sposób przeprowadzona, częstokroć w nowém zupełnie przedstawia się świetle. W nauce nieposiadającéj hypotez, nie ma téż i postępu.

Zresztą jeszcze jest jeden powód do przypuszczenia, że ptaki mają poczucie prądów magnetycznych. Wiemy, iż bardzo wiele zjawisk, dostrzeganych w przyrodzie nieorganicznéj, spotykamy również i w organicznéj. Znaném jest np., że własność fosforescencyi występuje w wielu tworach organicznych, z których przytoczę tylko świetlika świętojańskiego *(Lampyris noctiluca L.)*. Znaném téż jest, że niektóre zwierzęta mają własności ciał naelektryzowanych, np. kot pocierany (w ciemności), lisa ogon, — również, że

---

(1) W r. 1886 doniosłem o swoich spostrzeżeniach Komisyi teoryi ogrodnictwa i nauk przyrodniczych pomocniczych w Warszawie. Doniesienie to zostało na posiedzeniu Komisyi 21 października 1886 odczytane. Por. „Wszechświat“ 1886, str. 702.

istnieją ryby o własnościach prądów galwanicznych. Wychodząc z punktu filozoficznego, ogólnego, wypada wnosić, iż jeśli fosforescencya, elektryczność, galwanizm są specyalnie rozmieszczone w świecie organicznym, to i magnetyzm w niektórych żywych tworach koniecznie *musi* być rozmieszczony. Ptaki do tego znakomicie się nadają. Unosząc się w powietrzu, są one izolowane, tak, że działają na nie tylko powietrzne prądy magnetyczne, nie mieszając się ani nie będąc naruszane przez prądy ziemne.

Te są fakta, a następnie wywody, które mnie skłoniły do przypuszczenia, że ptaki posiadają poczucie prądów magnetycznych i w czasie przelotów nimi się kierują.

Michał Wierzbowski.





Z LITERATURY ŚREDNIOWIECZNÉJ.

MIRACLES DE NOSTRE-DAME PAR PERSONAGES.

Znany pod tym tytułem manuskrypt (man. N. 7208, gr. in 4º) biblioteki królewskiéj w Paryżu zawiera 40 udramatyzowanych legend, każda o objętości 2000—3000 wierszy, których treść jest w większéj części nie wymysłem autora, czy autorów—bo uważać trzeba zbiór ten za pracę rąk wielu,—ale spuścizną owych budujących książek z tytułami: *Żywoty świętych*, *Żwierciadła cnót*, etc., co były podręcznikami moralności dla zakonników i świeckich i co przedstawiają się najbardziéj typowo w *Złotéj legendzie* Jakóba de Voragine z XIII w., tłómaczonéj na wszystkie niemal europejskie języki; lub téż onych romansów rycerskich, co w owym czasie zaczęły tracić swój rapsodyczny charakter i przetwarzały się pod rękami truwerów na nieskończenie długie i nudne powieści epickie; lub nakoniec owych nowel, *fabliaux*, co podawane z rąk do rąk stworzyły dla następnych dwu wieków olbrzymi materyał, odżywiający nowelistykę, i scenę włoską, niemiecką, angielską, niepogardzany nawet przez geniusz Szekspira.

Miracles de Nostre-Dame par personnages należą do teatralnego repertoaru XIV i XV w., składającego się, jak to i na naszéj literaturze śledzić można, z Misteryów *(Mystères)*, Dyalogów moralnych *(Moralités)* i Komedyi *(Farces, sotties)*. Wiadomo, że tradycya przedstawień scenicznych nie potknęła się o szkopuł idealizmu chrześciańskiego kościoła i nie zastanowiła w gustach ludu ani na chwilę; tylko wyzyskany przez duchowieństwo na liturgiczne cele dramat ludowy musiał chwilowo odbyć pokutę przed ołtarzem, aż i tam wynaturzony wyrwał się i powrócił, gdzie było miejsce jego,—na rynek, wlokąc za sobą nieodczepiony przez długie wieki element cudowny, co sprowadził na sceniczne deski cały chrześciański

Olymp i Hades, potworny dramatyczny aparat o trzech piętrach, z niebem na górze, z piekłem na dole, z ziemią,—gdzie się właściwe odbywało działanie,—w pośrodku. Duchowieństwo, ratując resztki kościelnego wpływu, dopuściło wprawdzie do łacińskich misteryi język ludowy,—(Fr. Michel (1) przedstawia nam próbę takiéj mieszaniny w misteryum: O mądrych i głupich pannach, w którém obok partyi łacińskich czyta się ustępy w *langue d'oc*),—ale już w XIII w. powstaje we Francyi dramat czysto świecki,—wdzięczna pastorella *Jeu de Robin et Marion* truwera Adama z Halli, ojca opery komicznéj, jest dążności téj najcenniejszym owocem,—a i monopol przedstawiania dramatów religijnych przechodzi w ręce profanów. W r. 1303 zawiązuje się Bractwo *(Confrèrie)* de la Basoche; w r. 1380 towarzystwo dzieci bez troski *(Enfants sans souci)*: w r. 1398 najruchliwsze Bractwo Męki Pańskiéj *(Confr. de la Passion)*; studenci paryscy grają misterye na *Pré aux Clercs*. Uroczystości dworskie, ważne święta kościelne nie obchodzą się bez przedstawień w obu rodzajach; grubsze natury raczą się farsami wyjętemi przeważnie z nieskromnych powiastek trubadurów, jak farsą o Młynarzu, znaną z rozwiązłéj noweli Rutebeufa, którą mer pewnego miasteczka kazał grać w czasie deszczu, aby przywabić widzów na misteryum o św. Marcinie.

Walka z duchowieństwem stworzyła dla sceny owéj element satyryczny; mścili się zwłaszcza truwersy za prześladowanie wykrywaniem klasztornych sekretów, wybieraniem na typy chytrości, fałszu, przekupstwa biskupów i papieży. Tak w czasie uroczystości pasowania na rycerza królewicza Ludwika w r. 1313, widziano z jednéj strony Adama, Ewę i Piłata umywającego ręce, z drugiéj mistrza *Renarta*, z kitą widną mu z pod biskupiego stroju. Powoli wszystkie te widowiska zeszły na wyuzdane orgie: przy wjeździe Ludwika XI do Paryża przedstawiano np. żywe obrazy, w których występowały kobiety zupełnie nagie; tuż daléj wznosiło się rusztowanie z misteryum o męce Pańskiéj (2).

„Cuda Matki B." stanowią na pozór rodzaj odrębny; w rzeczywistości sceniczne ich wymagania każą je podporządkować misteryom; akcya ich odbywa się bowiem równie na trzech lub dwu piętrach; za to główna część przypada żywiołowi ziemskiemu; aktorzy zaziemscy są w nie wciągnięci niekiedy przemocą, dla zawiązania i rozwiązania sztuki zbędni zupełnie. Cuda te należały do repertoa-

(1) Théâtre français au Moyen âge, publ. par Monmerqué et Fr. Michel. Paris. 1840.

(2) Porów. Achille Jubinal. Mystères inédits du XV siècle.

ru bractw; manuskrypt nasz wykazuje pismo pierwszéj ćwierci XV w., ale językiem zdradza wiek XIV; wydany był w drobnéj części w cytowaném wyżéj dziele Fr. Michel'a, w całości ogłosili go drukiem dopiero prof. Gaston Paris i Ulysses Robert w Zbiorze „Towarzystwa starofrancuskich tekstów“ (1). Piszę o nich tém śmieléj, że nie były dotąd przedmiotem popularnéj monografii, przedstawiają zaś niezmiernie ciekawy dokument wykrzywienia pojęć etycznych, estetycznych i poczucia religijnego w wieku XIV, wieku zaciekłych dysput scholastycznych, „moralizowanych“ Owidyuszów i mistrza Renarta, wierszowanych biblii i alegorycznych poematów w rodzaju *Romansu o Róży*, należącego jeszcze do wieku XIII, ale niesłychanym swym wpływem ogarniającego cały wiek następny (2). Żarliwość naiwnéj wiary szła w czasie owym częstokroć daléj, niż sam kościół żądał: z 25 cudów, opowiedzianych u Gonzalo Berceo z XIII w. w Hiszpanii, zmuszony był kościół uznać 23 za nieautentyczne; w nich to Matka B. ocala od piekielnych mąk pobożnego zakrystyana wracającego z nocnéj schadzki i tonącego przez nieostrożność w rzece; w nich to powraca do życia powieszonego rozbójnika, podtrzymując mu stopy świętemi dłońmi; obaczymy, że „Cuda“ nasze nie ustępują w niczém nawet najdziwniejszym opowieściom Złotéj legendy.

Powiedzieć należy na wstępie, że udramatyzowane zostały ręką nader wprawną, świecką bez wątpienia, bo lśni na nich barwa rycerska; niektóre sceny są pełne ruchu, niektóre figury pełne życia. W jednych akcya jest wprowadzona zręcznie polowaniem, w drugich dyalogami mieszczaństwa lub żołnierzy; nie używał ich

---

(1) Miracles de N. D. Collection de la Société des anciens textes français, 7 tomów. (1876—1883).

(2) W tym-to *Roman de la Rose* (w. 14796—14806) znajduje się słynna i cytowana tylekroć teorya komunizmu w ostatniéj swéj formie wspólności żon:

Car Nature n'es pas si sote
Qu'ele feist nestre Marote
Tant solement por Robichon
Se l'entendement i fichon,
Ne Robichon por Mariete,
Ne por Agnès ne por Perrete;
Ains nous a fait, biau filz n'en doutez
Toutes por tous et tous por toutes,
Chascune por chascun commune
Et chascun commun por chascune.

„Bo natura nie tak głupia, jeśli zastanowić się zechcemy, aby stworzyła Marysię jedynie dla Robiszona; ani Robiszona dla Marysi, dla Anusi, dla Piotrusi. Stworzyła nas, mili chłopcy., wierzyć chciejcie: wszystkie dla wszystkich i wzajemnie“,

trafniéj Goethe w Goetzu z Berlichingen. Środki sceniczne są oczywiście nader proste: różne kąty sceny odpowiadają różnym miejscowościom, podróże z Węgier do Szkocyi, z Toledo do Paryża, odbywają się przed oczyma widzów, równie jak tułaczki po morzu; bohater pośpiesza upewnić zawsze, iż przybywa na miejsce „nabłąkawszy się wiele".

Jak o jedności miejsca, tak nie ma mowy o jedności czasu. Utwory te, przerabiane z powieści, rozwinęły się też na zasadzie pierwiastku epickiego, a choć czuć już w tym embryonie dramatyczne tętno, nie przedstawia się on niczém więcéj jak historyami w osobach. Po ślubie bohaterów następuje połóg już w następnéj scenie; w trzeciéj syn i córka występują jako dorosła młodzież. Dramatyczne owo tętno pulsuje w układzie, który zdradza już przeczucie potrzeby zestrzelenia działań około głównego wypadku i wypełnienia w ten sposób zasady jedności akcyi; w istocie, nie natrafia się w nich scen zbytecznych, wielka zasługa i wielki postęp wobec niemowlęctwa reszty prób dramatu. Pisane są w 7 i 8-mio zgłoskowych tyradach zakończonych krótszym wierszem jambicznym, naprzykład:

Par m'ame... Diex! qu'il sent bon!
Oncques mais je ne senti chose
Si bon flairant, ne lis, ne rose,
Ny autre espice. (*Z cudu N. 10.*)

Figur występuje w nich wiele: Pan *(Seigneur)* i Pani *(Dame)*, lub Król i Królowa; syn, córka, papież, biskup i pustelnik, ostatni zwłaszcza jest nieodzowny; na niebie Matka B., Jezus, oznaczony zawsze tytułem *Bóg*, aniołowie Gabryel i Michał, święci; w piekle Lucyper i Belzebuth. W szemacie tym nie ma odmiany żadnéj,—zabytek stałych figur sceny ludowéj rzymskiéj.

W zbiorze spostrzedz się dają wyraźnie dwie grupy: jedna tych utworów, gdzie legenda istnieje dla cudu, druga, gdzie cud przystosowany jest do legendy; w pierwszych cud gra rolę główną, w drugich występuje jeno gwoli uświęcenia sztuki. Treść pierwszych znalazła się gotowa w podaniach kościelnych i żywotach świętych; tu należą obok tych, które wymienię w dalszym ciągu: cud o św. Chryzostomie (N. 6), św. Pantaleonie (N. 22), o świętéj Salomei (N. 5), która za niewiarę w niepokalaność Maryi utraciła ręce, lecz potém skruszywszy się, odzyskała; O proboszczu, wybawionym z czyśćca (N. 14), etc. Układ ich jednakowy: dramat rozpoczyna się zwykle kazaniem lub rozwiniętą na biblijny temat sentencyą moralną; tuż zawiązuje się „intryga", następuje grzech i fatalne położenie boha-

tera, modlitwa i skrucha. Natychmiast Jezus wnosi instancyą do Matki B.;—rzecz godna uwagi, że osoba boska schodzi w „Cudach“ tych na plan drugi, służąc jedynie do przenoszenia skarg, próśb i poselstw;—Marya zstępuje zawsze na skrzydłach aniołów Michała i Gabryela, wezwanych rozkazem: *Or sus my ange!* i śpiewających w drodze rondo *(rondel)*, rodzaj hymnu, z powtarzającym się raz lub dwakroć refrenem; następuje cud i ekspiacya, ukoronowana częstokroć wstąpieniem grzesznika do klasztoru.

Potworność zasady tych „Cudów“ leży w tém, że dzieją się one zawsze dla grzesznika, nieraz dla zbrodniarza, którzy wychodzą z aureolą świętości tam, gdzie według najpobłażliwszego prawa wyjść by powinni z piętnem katowskiém na czole. W cudzie o Kobiecie uchronionéj od spalenia (N. 26) *Guibour* każe udusić zięcia w piwnicy, z powodu, iż posądzali ją sąsiedzi o występne z nim stosunki;—(także okrutny sposób zamknięcia ust obmowie!);—po spełnieniu zbrodni żachowuje zimną krew jak patentowana morderczyni; rzecz się jednak wykrywa, Guibour skazana na spalenie ucieka się z modlitwą do Matki B.—i oto dzieje się cud: wychodzi z ognia nietknięta, a sędzia bije się w piersi przed wielce zbudowanym tłumem: „Zgrzeszyliśmy ciężko przeciw Bogu, krzywdząc to święte ciało; teraz widzę zaiste, że jesteś kobieta święta“. Za całe zadosyć uczynienie Guibour wstępuje do klasztoru.

Klasztor jednak ówczesny nie był bynajmniéj zakładem, gdzieby grzechy ziemskiego żywota zacierało się surową pokutą; tam rozpoczynał się byt nowy, przedstawiony przez autora z naiwną prawdą, choć ze szczyptą złośliwości, w kilku innych cudach, między innemi w Cudzie o Ksieni brzemiennéj (N. 2). Rozpoczyna się on, po scenach wstępnych wierszowaném kazaniem na temat stojący w związku z samą historyą: *Transite ad me omnes qui concupiscetis me. Et generationibus meis implemini.* Podobnie w innych cudach; tutaj zamiarem kaznodziei jest przeciwstawienie związkom cielesnym obcowania z Jezusem. Wydałoby się to satyrą, gdybyśmy przypuszczali w autorze subtelny dowcip dzisiejszy. Dwie zakonnice przeczuwają odrazu i nie bez racyi, że kazanie będzie długie i nudne; siostra Izabella zwłaszcza ma w pogardzie nabożne praktyki i wymyka się, jak wyznaje późniéj gromiona przez ksienię, do swego „kuzyna“. Serce przełożonéj poznajemy w długim monologu ruszone miłością ku klerykowi, który chce udawać Józefa, ale wnet słabnie i fatalne następstwa nie dają na siebie czekać; ksieni schodzi do sióstr, skarżąc się na „ból głowy“, te śród złośliwych aluzyi radzą jéj słodkiego wina i jabłek a potém mszcząc się za jéj dawną surowość, śpieszą z doniesieniem do biskupa, który przyrzeka zejść

na „wizytę“. Podczas, gdy siostry wypróżniają we dwoje beczkę wina (scena ta jest pełna werwy), ksieni modli się do Pani, „która jest razem i panną i matką,“ o ratunek w „ciężkiéj potrzebie“ — i o dziwo! Marya zstępuje z doraźną pomocą, a z łagodnym jeno wyrzutem: „Głupia, głupia, patrz, jaką pociechę odnosisz z grzechu...“ „Za to jednak, żeś mi służyła, wiesz co uczynię łaskawa? Od owocu twego cię uwolnię; „matroną“ być się nie wzdrygnę, tak, że nie pozna nikt, choćby śledził, twego stanu.

C'est fait: vez le cy tout en vie,

(cytuję oryginał, bo przekładu nie wykrztuszę), poczém odchodzi z dzieckiem do pustelnika, któremu je oddaje pod opiekę. Przybywa tymczasem biskup, srodze rozgniewany każe zawołać „matronę,“ poczém odbywa się wstrętne w szczegółach badanie; ksienię znajdują „bez plamy,“ a co więcéj „skórę jeno i kości.“ Zakonnice mają być skarane, wtedy ksieni spowiada się biskupowi, a ten miast oburzenia składa jéj hołd jako ubłogosławianéj szczególną łaską; daje jéj opactwo i odbiera na wychowanie od pustelnika wcale pucołowatego malca.

Nie wahałem się, dla wprowadzenia czytelnika w nieznany świat fantazyi wieków średnich, przedstawić cud ten w szczegółach. To nie niemoralny *Assomoir* Zoli—to religijne misteryum, potępiane może w téj formie przez kościół, ale wynikłe fatalnie z długiego wpajania w umysły nauki o nieograniczonéj skarbnicy łask i wyszłe bądź co bądź pośrednio lub bezpośrednio z fantazyi mnichów. Świadczy ono, że wieki średnie stały stokroć niżéj od naszych, dzięki uniewolnieniu swobody sądu człowieka, zahamowaniu jego naturalnych pojęć etycznych. Wpływem tym został uniemoralniony nie sam człowiek tylko; jak widzieliśmy, także Niebo; toć Minos i Radamantys w podziemiu sprawiedliwiéj ważyli ludzkie zasługi i winy, surowiéj porównywali grzech z zadosyćuczynieniem. Tu bogowie są tylko pobłażliwi — gdzieindziéj są wykrętni.

Wiadomo, jak był zawsze oszukiwany dyabeł mimo swoje cyrografy; zjawisko godne wskazania, że we wszystkich faktach żyd i dyabeł uczciwiéj zawsze dotrzymywali słowa niż chrześcianin; fabuła Kupca Weneckiego jest własnością wieków średnich; pomnę, że dzieckiem jeszcze będąc, żal mi było na scenie tego nieszczęśliwego oszukanego podwójnie ojca, czułem, że przecież wyrządzono mu krzywdę i że funt mięsa prawem mu należał. We wszystkich legendach ludowych dyabeł oszukiwany jest przez chłopa; w następnym cudzie (N. 1) wyprowadzony jest w pole przez samego Stwórcę.

Pan i pani ślubowali wieczną czystość (także owoc średniowiecznéj kazuistyki). Na tę wieść Lucyfer i Belzebuth sprzysięgają się przeciw Pogromicielce głowy wężowéj i natychmiast spostrzegamy skutki ich pokus w niespokojném zachowaniu się Pana. Dama się broni, zaklinając, iż owoc grzesznego związku odda dyabłu; istotnie dyabeł zakazuje chrzcić nowonarodzone, zjawia się po nie kilkakrotnie, odwłócząc zawsze termin na rozpaczliwe prośby matki; nie pomagają pielgrzymki Syna do Rzymu i do trzech pustelników (sprawa była zawiła) — w ostateczny termin schodzą się, dobijając o ofiarę. Z drugiéj strony zstępuje Matka B. i rozpoczyna się prawdziwa kłótnia, w któréj Czarni grożą, że poskarżą się P. Bogu „na tę damę,“ jak wyrażają się pogardliwie o Maryi. Bóg każe sobie pokazać zasady dyablego żądania: okazują cyrograf matki. „Cyrograf nie wart gruszki“ — woła Matka B. „Daj go sam, obaczymy.“ „Godził się li ojciec na oddanie dziecka?“ Niestety, dyabli zapomnieli o odnośnym paragrafie kodeksu cywilnego owych czasów. „Szatanie, powiadam ci, że według prawa nic żonie bez woli męża wydawać nie dozwolono.“ Dyabeł odchodzi wściekły na ten prawniczy kruczek, z żalem czytelnika, bo jest jeszcze najwdzięczniejszą dramatu tego figurą; Syn wstępuje do klasztoru.

Przy takim nastroju umysłów rwą się najświętsze węzły rodzinne. Rycerz uwodzi zakonnicę — dodać trzeba, że te uwiedzenia nie są bynajmniéj gwałtem, bo dzieją się za nader chętném zezwoleniem uwiedzionych, tém mniéj wytłomaczona owa dla grzechu pobłażliwość;— żyją z sobą lat 30, nagle Matka B. napomina ją we śnie, poczém ojciec i matka opuszczają dzieci — „dzieci“ musiały już być zapewne pod wąsem, ale dramat przedstawia je jako chłopców opuszczonych i płaczących — i wstępują oboje do klasztoru. Zaiste, czyny to niezbyt budujące.

Gdyby te misterya pisane były dziś, wydałyby się zgryźliwemi satyrami; przeniosłszy się przy lekturze w owe wieki, musimy wytłomaczyć te dziwne zjawiska nie złośliwością, lecz rzetelną wiarą w ich podniosłość; niektóre przecież rysy, niektóre figury wyszły ze złośliwości świadoméj: taką była siostra Izabella, takim bohater cudu (N. 8) o papieżu, który przez chciwość sprzedał olej z kaplicy świętego Piotra. Pewien mieszczanin był obowiązany, dla spełnienia *votum* swego dziada, ofiarować kaplicy pewną ilość oleju; wydatek ten ciężył widocznie skąpemu i mało nabożnemu kupcowi — postanowił wykupić się. Idzie o sprawie pomówić z papieżem:

....parlez jusqu'au pape,
On dit qu'argent voulentiers hape (!);

u drzwi smaruje łapy odźwiernym, niechcącym go wpuścić — (we wszystkich cudach, gdzie mowa o audyencyi u papieża, powtarza się ten rys charakterystyczny) — następnie targuje się z Ojcem św. Papież żąda 300 denarów, kupiec daje 200,—dobijają targu. Święty Piotr rozgniewany za uszczerbek swojéj chwały, ukazuje się winnemu we śnie; kupiec wezwany, zbywszy daniny, powrócić doń oczywiście nie chce. Św. Piotrowi potrzeba satysfakcyi i oto zjawia się kupiec klejnotów pokazując karbunkuł rzadkiego blasku, istny w téj chwili *deus ex machina*. Zawieszają go jako przedmiot zastępujący lampę (!) w kaplicy, ale św. Piotr w powtórném zjawieniu uznaje się niegodnym tak wielkiegu skarbu i każe ofiarować go Matce Boskiéj, co się téż dzieje.

Brutalna naiwność niesie z sobą pogwałcenie wszelkich uczuć przyzwoitości, pozwala na czyny, które dziś nazwalibyśmy profanacyą. Niebiańska postać Matki B. przedstawia się prostaczo mimo wszelkie anielskie dekoracye, słowa jéj rubaszne, giesta chłopskie. W cudzie N. 10 przynosi biskupowi mleko własnych piersi w złotém naczyniu — relikwie niezwykłe:

„. . . .ce sont relques moult beles,
Plain est du lait de mes mamelles“

o woni, przy któréj nikną „róże, lilie i wszelakie korzenie.“

Do drugiéj grupy należą cuda przerobione z bardzo starych romansów rycerskich. Osoba Matki B. została w nie wprowadzona— jak to mówią — za włosy; na dolę bohaterów — z małymi wyjątkami — nie wpływa zupełnie, a tylko zstępuje w pewnych chwilach, aby ich pocieszać lub krzepić. Cuda te są nadzwyczaj ważnemi dokumentami dla badacza średniowiecznéj epopei i romansu; niektóre, jak cud o Klodwiku nawróconym przez Klotyldę, odnosi się do pieśni bohaterskich, które jako epopeje zaginęły, zachowawszy się jedynie w kronikach. Dostrojone jednak do pojęć XIV w., musiały popaść w krzyczące anachronizmy i fałsze: i tak, Klodoweusz podróżuje do Ziemi świętéj (N. 39), Rzym jest częstokroć oblegany przez Saracenów etc.

Sławne romanse: „Amis et Amilles“ (N. 23), „Robert Dyabeł“ (N. 33), „Św. Aleksy“ (N. 40), posiadały już żywioł cudowny w swych kształtach pierwotnych; reszta objawia charakter zupełnie świecki.

Ulubione były w średnich wiekach historye o niewinnych prześladowanych żonach, pomieszane późniéj z inną legendą: o dziewczynie, którą ojciec chciał zaślubić i która, aby ujść grzesznéj jego żądzy, ucina sobie rękę i ucieka. Redakcye ich są niezliczone,

znane w najstarszéj formie z powiastek ludowych: o *Sneewitchen* w Niemczech, *Peau d'âne* we Francyi, o „Złéj macosze“ u nas etc. Zlane razem już bardzo wcześnie dały historye o Manekinie, Oliwie, pięknéj Helenie z Konstantynopola etc. (1). Pierwszą część téj legendy, jeszcze nie zamąconą, co świadczy o jéj poważnéj sędziwości, znajdujemy kilkakroć w naszych cudach. Cud N. 32 opiewa „o królu Teodoryku (Thierry), któremu matka doniosła, że jego żona Osanna powiła troje psiąt (choć ona powiła troje synów), za co ją skazano na śmierć, a ci, którzy ją zabić mieli, puścili ją na morze, a potém znalazł król dzieci i żonę.“ Treść widna z tytułu. Drugi cud (N. 29) mieści podanie to samo z dodatkiem pierwszéj części o dziewczynie z uciętą ręką. Jest to poprostu wierna przeróbka powieści o Manekinie, córce króla węgierskiego. Po śmierci żony król nie chce wejść w powtórne związki, chyba z taką, która będzie zupełnie podobna do pierwszéj. Panowie, nie mogąc znaleść takiéj, radzą mu ożenić się ze swą córką. Papież pozwala na ten związek (w powieściach prozaicznych król postępuje przynajmniéj wbrew przestrogom papieża), za radą kardynałów uzbrojonych argumentem: „Człowiek to jest niezwyczajny, a do każdego garnka swoja łyżka! *(Si que a tel pot tel cuiller).*“ Dziewczyna ucieka morzem (z Węgier!) do Szkocyi, gdzie rozgrywa się ów dramat ze złą matką królewską.

Inny cud o prześladowanéj (N. 27) stoi w związku z podaniami o Sybilli i Hildegardzie, żonach Karola Wielkiego (2); cud „o cesarzowéj rzymskiéj, którą brat cesarski oskarżył, aby ją zgubić, przeto iż nie chciała być mu powolna; a potém obsypany został trądem, a Matka B. go uleczyła, skoro grzech swój naprawił.“

Przysmakiem dla badacza epopei karolingskiéj jest Cud o Bercie, żonie króla Pepina, a matce Karola W. Legendę znamy z *Chanson de Geste*: Berta wielkonoga *(Berthe aux grand pieds)* (3), znamy ją z kompilacyi włoskiéj: *Reali di Francia* etc. (4). Berta jest córką króla węgierskiego Floryana i żony jego Blancheflour (także dwa imiona sławne w epopei starofrancuskiéj). Bohaterka jest zwierciadłem wszystkich cnót, posiada tylko małą wadę, wymienioną w tytule. Pepin zaślubia ją, ale ochmistrzyni dworu, chcąc wysadzić na tron córkę swą *Aliste*, straszy młodą królowę, że król Pepin, choć

---

(1) Porównaj acz nie kompletny jeszcze wykaz w Herm. Suchier, prof. weimarskiego: Oeuvres poétiques de Philippe de Remi, sire de Beaumanoir. Paris 1884.

(2) Porów. Histoire poetique de Charlemagne par Gaston Paris. Paris 1865

(3) Porów. Gaston Paris j. w.

(4) Porów. Pio Rajna: Reali di Francia.

„Mały“ jest takiéj „kompleksyi“, iż każdéj oblubienicy śmierć grozi w jego gwałtownych objęciach. Przyrzeka więc posłać na jéj miejsce własną córkę (ten motyw podstawiania jednéj kobiéty za drugą pierwszéj nocy ślubnéj jest ulubiony epopei średniowiecznéj); zdradliwa Aliste poświęca się dlatego tylko, aby uzurpować wszelkie prawa królowéj. Oskarża ją o zamiar morderstwa; Berta skazana na stracenie, ocalona przez katów chowa się w lesie. Tymczasem królestwo węgierscy przybywają do Francyi w gościnę. Aliste zakrywa twarz udając chorą, ale matka odkrywa podstęp—po nogach. „To nie nogi Berty — powiada, — tamte dłuższe są o cztery palce.“ Król każe spalić ochmistrzynią, fałszywą Bertę osadza w klasztorze; prawowitą zaś małżonkę znajduje w lesie.

Jedna nowella Bokacyusza, Roman de la Violette, Cymbeline Szekspira znajdują wszystkie swój pierwowzór w inném podaniu o prześladowanéj, o któréj nieskazitelność mąż poszedł w zakład i przegrał, bo przeciwnik postarał się bądź podpatrzéć tajemne znamię na jéj ciele, bądź jak w cudzie N. 28 wykraść kostkę (!) mężowskiego palca, którą tenże dał jéj ku przechowaniu.

Najciekawszy w téj seryi jest N. 4, osnuty na jakiéjś nowelli. „Zaczyna się cud Matki B., jak żona króla portugalskiego zabiła podczaszego królewskiego i własną krewną, jak była skazana na spalenie i jak ją Matka B. wybawiła.“ Król śród polowania zabłądziwszy w lesie, zachodzi do domu kasztelana; kasztelanka podoba mu się; żąda jéj ręki, saméj jednak prosi o dopuszczenie pewnych przed ślubem wolności. Po długim oporze, na zaklęcie króla, iż przypłaci zdrowiem, oddaje mu klucz od swych komnat. Król zwierza się podczaszemu, który, aby uniemożebnić mezalians, wkrada się na jego miejsce, a dziewczyna—jak się to dzieje we wszystkich podobnych historyach — poznaje błąd dopiéro rano. Zabawne jest niedołęstwo autora, z jakiém przedstawia jéj zdziwienie; potrzeba jéj na to kilkunastu wierszy, w których wodzi oczyma po nieznanej figurze, tłómacząc sobie, że to nie król, lecz ktoś inny. Za radą „krewnéj“ ucina podczaszemu głowę, a pierwszéj nocy ślubnéj posyła ją na swe miejsce—dla zatarcia śladu fatalnego wypadku. Jest to krok śmiały, jednak sądząc, że

„Quant vostre pucellage ara
Je croy bien qu'il s'endormira“,

przyjdzie w nocy, obejmując obok małżonka miejsce prawowite. Nie brała w rachubę ambicyi kuzynki, która o ustąpieniu miejsca ani słyszeć nie chce. „Straciłaś rozum—powiada—skoro król wziął moje panieństwo, ja teraz będę królową za twą wolą lub bez niéj.“

Rozgniewana królowa podpala łóżko, a króla wyprowadza; oskarżona przez spowiednika i skazana na stracenie, ucieka się do Matki Boskiéj. Za jéj rozkazem wykrywa rzecz całą pustelnik i teraz w sensie moralnym karę odnosi spowiednik. Intryga w tym cudzie zawilsza i artystyczniejsza niż w innych, czyni go nader interesującym dla badacza teatru średniowiecznego; same historye owe, dziecinne i śmieszne, nie godne są zapewne wielu szpalt w naszym wieku surowym, poważnym i utylitarnym; starałem się téż skrócić pracę mą do tyla, o ile może zająć ciekawych średniowiecznéj społeczności, obyczajów, wierzeń i literatury.

Edward Porębowicz.





CZŁOWIEK Z EPOKI DYLUWIALNEJ

NA MORAWII. (*)

Przebywanie człowieka w epoce dyluwialnéj na Morawii jak najgruntowniéj stwierdzone zostało. Badania naukowe wykazały nadto, że żaden inny kraj monarchii austryackiéj, a może i całéj środkowéj Europy nie odznacza się tak wielkiém bogactwem pozostałości z czasu pierwszego śladu człowieka, jak stosunkowo mały kraj Morawski.

Dziś znamy już tam dwanaście miejscowości, które zadziwiającą obfitość w przedmiotach wykopalisk z różnych faz epoki dyluwialnéj wydały, a w siedmiu z tych jaskiń jest obecność człowieka z epoki czwartorzędnéj uzasadniona. O tych wykopaliskach mamy pełne treści sprawozdanie prof. Maška w Nowym-Iczynie, który, obok dr. Henryka Wankel'a, największe względem badań jaskiń na Morawii położył zasługi. Zapewniał on, że człowiek dyluwialny na Morawii, w swoim czasie, polował na olbrzymiego mamuta, srogiego pod względem drapieżności niedźwiedzia jaskiniowego, dzikiego tura i *żubra* (1), a również i na towarzyskiego renifera.

Prof. Maška twierdzi, że niema żadnego powodu przypuszczać, jakoby człowiek epoki dyluwialnéj przebywał wyłącznie w jaskiniach i żeby one tylko służyły mu za miejsce wyłącznego pobytu, schroniska i przytułku. Życie owoczesnego człowieka opisuje wspomniany badacz w następujący sposób.

(*) Porównaj dzieło: „Diluvîale Mensch in Mähren. Ein Beitrag zur Urgeschichte Mährens von Prof. Karl v. Maška mit 51 Abbildungen. Neutitschein 1886. Reiner Hosch."

(1) Żubry (*Bison europ.*) znikły z całego kontynentu prócz Litwy, gdzie w Białowiejskiéj puszczy (gub. Grodzieńska), jako osobliwość w niewielkiéj ilości się znajdują.

Już przy pierwszym występie na ziemi widzimy człowieka owego, wyposażonego całym szeregiem zasobów pewnych wiadomości, które stawić go każą na wyższym stopniu kultury w stosunku do zwierząt. Znał on już ogień i jego własności, które mu służyły nie tylko dla ciepła, aby się ogrzewać, lecz i aby przy ogniu odpowiednio do smaku przyrządzać mięso z upolowanych zwierząt, które obok owoców stanowiło jego smaczne i posilne pożywienie. Umiał on daléj ku swojéj potrzebie z łupku twardego korzystać, używając go jako ostrego narzędzia do obcinania gałęzi, czyli wogóle używał do czego tylko mógł użyć; umiał z olbrzymich rogów tworzyć przyrządy do swego użytku i potrzeby osobliwie jako broń, a nawet jako broń poważniejszéj natury. Nie znał on jeszcze atoli wyrobów glinianych. Najpierwszy i najdawniejszy stopień kultury człowieka przebywającego na Morawii przedstawiają jaskinie „Stamberger", które prof. Maška nawet do epoki lodowéj odnosi.

Drugi stopień kultury, znacznie późniejszy, z wyraźném piętnym przedstawia „Předmost", ze starannie wyrabianemi przyrządami, służącemi za zbroje, broń, które się nawet pewną okazałością odznaczają, z gładzonéj, szlifowanéj kości, i jak na swój czas to zadziwiająco pięknymi na kości mamuta rysunkami.

Pośredniém ogniwem między dwoma powyższemi okresami, czyli stopniami kultury, są wykopaliska ze średnich warstw „Šipka" i „Čertova dira".

Trzeci stopień kultury, daleko późniejszy a nadzwyczaj licznemi zaznaczający się wykopaliskami, mamy w pozostałościach z „Kostelik." Są to przedewszystkiém utwory przeważnie skrobanego i ciekawie w ornamenta przyozdabianego rogu renifera i jeszcze bardziéj ozdobionéj szczęki końskiéj.—Do czwartéj, najmłodszéj, dyluwialnéj epoki kultury, która, zdaje się, że ma być przejściem do wieku człowieka z epoki najnowszéj aluwialnéj, zalicza prof. Maška pewną liczbę sztuczniejszych przyborów.

Najważniejszym przedmiotem z „Šipki" jest dolna szczęka ludzka skamieniała, co jest najlepszym dowodem egzystencyi człowieka podczas epoki dyluwialnéj. Ze względu na dostrzeżony w niéj stan rozwoju zębów, możnaby tę szczękę przypisać dziecku, przechodzącemu zmianę zębów. Z charakterem tym jednakże dziecięcéj zmiany zębów stoi w sprzeczności nadzwyczaj wielki rozmiar całéj szczęki, jaki teraz obecnie tylko u dorosłych ma miejsce (1).

---

(1) O olbrzymach czytaj poetów przed-Herodotowych: Homera, Pindara i Eschyla. Hr. W. Dzieduszycki: „Wiadomości starożytnych o geografii ziem polskich." Rozprawy i sprawozd. Akad. um. krak. wydz. hist.-filozof. Kraków, 1887.

Z tego dawałby się wyprowadzić wniosek, że jak w zamierzchłych owych czasach istniały zwierzęta rozmiarów olbrzymich, tak téż i człowiek mógł być rzeczywiście większym i silniejszym. Prof. d-r Virchow chce wspomnioną czaszkę przypisać dorosłemu, inne jednak powagi naukowe, jak Schaffhausen, Quatrefages i Magitot za dziecięcą ją uważają. Wobec Virchowa stoi Baume, powaga w kwestyach dentycznych, który w téj szczęce widzi dowód egzystencyi osobliwszéj rasy ludzkiéj z epoki dyluwialnéj; Carus Stein z tych podstaw wnioski do teoryi descendecyjnéj poczynił.

J. H. Nowalski.

Wiedeń, w styczniu 1888 r.





Z ZIEMI NADODRZAŃSKIÉJ.

Towarzystwo starożytności szląskich (z siedzibą zarządu we Wrocławiu i ze wspaniałém a bogatém w zbiory muzeum tamże), bardzo gorliwie chodząc za badaniem zamierzchłéj przeszłości ziemicy szląskiéj, coraz pomyślniéj się rozwija, bo coraz więcéj doń przystępuje członków, a i szersza publiczność chętnie je w pracach i badaniach archeologicznych — w czém się już pewna systematyczna wyrobiła metoda—wspiera i znaleziskami, oraz starożytnemi osobliwościami zbiory jego nieustannie wzbogaca.

W drugiéj połowie grudnia r. z. odbyło rzeczone Towarzystwo walne zebranie doroczne. Ze sprawozdania, przy sposobności téj ogłoszonego, dowiadujemy się, że liczyło Towarzystwo wtenczas, prócz 7-miu członków honorowych, 623 członków zwyczajnych. W ciągu roku administracyjnego przystąpiło 36 członków. W czasie tym odbyło Tow. we Wrocławiu ośm posiedzeń wieczornych z odczytami, przedsięwzięło w 18 miejscach poszukiwania archeologiczne, zaczém szły naukowe badania znalezisk. Liczbę okazów muzealnych pomnożono o 595 numerów z daleko znaczniejszą ilością poszczególnych sztuk. 427 numerów przeszło w posiadanie Muzeum na drodze darowizny, 17 numerów powierzono mu z zastrzeżeniem sobie prawa własności, 101 numerów nabyło Towarzystwo przez kupno, resztę drogą wymiany.

Muzeum miało niejednokrotnie sposobność przysłużenia się zamiejscowym badaczom i instytucyom naukowym poszczególnemi relacyami; bardzo znaczna liczba zamiejscowych i zagranicznych archeologów zwiedziła Muzeum; za opłatą zwiedziło je 2000 osób. Szczególnie znacznym był napływ zwiedzających w czasie wystawy najnowszych znalezisk *zakrzewskich*.

Druków ogłosiło Towarzystwo trzy: „*Der Fund von Sakrau*“ przez d-ra Gremplera, referat o druku „*Schlesiens Vorzeit in Bild und Schrift*“ i „*Zeitschrift des Vereins für Geschichte und Alterthum Schlesiens.*“ Ostatnią publikacyą bezpłatnie otrzymują członkowie Towarzystwa starożytności szląskich corocznie, nadto otrzymują ją muzea, zamieniające wydawnictwa swoje z Muzeum wrocławskiém.

Towarzystwo cieszy się względami zwierzchności miejskiéj Wrocławia, pism publicznych szląskich i władzy prowincyonalnéj. Ostatnia w ciągu roku administracyjnego udzieliła Towarzystwu na publikacye znacznego jednorazowego wsparcia, nadto podwyższyła roczną subwencyą z 3000 m. na 6000 m. Miasto Wrocław daje rocznie 1200 m. Członkowie składają 4000 m. Dochód z wstępnego przynosi mniéj więcéj rocznie 900 m.

Ostatnie przez Muzeum podjęte poszukiwania archeologiczne były w Bukowie (Bockau), w powiecie strygowskim, obwodzie rejencyi lignickiéj, w Bruchaczu (Brauchitschdorf) w powiecie lubieńskim (Lüben), także w obwodzie rejencyi lignickiéj, w Połczycach, w ziemi brzeskiéj, i w Rozmiarce i Adamowicach, w powiecie wielko-strzeleckim na Górnym Szląsku.

W Bukowie już w końcu zeszłego i w trzecim dziesiątku bieżącego wieku „kopano urny.“ Teraz, oprócz urn pospolitéj roboty, w znacznéj części ciężarem wierzchniego nasypu pogniecionych, napełnionych popiołem i resztkami węgli drzewnych, znaleziono i popielnice wytwornie wykonane, a pomiędzy niemi misę z czerwonéj gliny pięknie profilowaną, wewnątrz ciemno barwioną i siecią łączących się trójkątów zdobną. W misie téj stała czerwono-brunatna czara, ślady pomalowania nosząca, a druga, na żółto barwiona, bardzo misterna, leżała obok. Malowane te naczynia przedhistoryczne są *specyalnością Szląska*, znajdują się jednak i w w. ks. Poznańskiém, tylko że w mniejszéj ilości. Ukaże się niebawem rozprawa o nich z tablicami kolorowanemi. Z zabytków kruszcowych znaleziono na cmentarzysku bukowskiém bronzową obrączkę i kawałek zardzewiałego żelaza, podobnego do noża, w kształcie sierpa; nabyto téż w Bukowie od pewnego znalazcy dwie bronzowe obręcze, z których jedna, jak znalazca ich zaręcza, urnę obejmowała. Przy sposobności dalszéj pracy, przedsięwziętéj cokolwiek późniéj na tém samém miejscu, znaleziono dwie bronzowe zausznice, takąż bransoletę i urnę, która była żelazną obręczą objęta.

Na terytoryum *bruchackiém* dokopano się cmentarzyska przedhistorycznego przy rudowaniu polesia sosnowego; o czém, zawiesiwszy natychmiast robotę w tém miejscu, właściciel Bruchacza, hr. Schmettow, uwiadomił zarząd Muzeum wrocławskiego, a zarząd

wysłał niezwłocznie asystenta Muzeum dla podjęcia poszukiwań. Poprowadzono rowy od wschodu ku zachodowi i niebawem, w półmetrowéj głębokości, pod szczelnie ułożoną warstwą kamieni, odkryto groby, których zawartość, to jest urny, tak wskutek ciężaru wierzunich kamieni, jak i z powodu rozrastających się korzeni drzew leśnych znacznie ucierpiały. I tu znaleziono popielnice dwojakiéj roboty: proste i bez ozdób, mieszczące niezawodnie popioły prostaczków, i wykwintnie wykonane, nadto czary i łzawice.

Żal na polu pełczyckiém znajduje się 20 kroków od Sławki, strumyka, zaginającego się na tém miejscu w kolano. Długość żalu wynosi, o ile go odsłoniono, 30, szerokość 16 kroków. Znaleziono tu 31 wybornie zachowanych popielnic, z których największa 105 centymetrów ma objętości. 10 urn rozpadło się w skorupy; skorup tych przecież będzie można użyć do rekonstrukcyi całości. Wszystkie urny ustawione były w sześć gniazd po 6—8 sztuk. Odznaczają się pomiędzy niemi urny z 5 do 6 wokoło wyrobionemi wypukłościami, co im nadaje poniekąd kształt kanciaty. Największa z nich, mająca 98 centymetrów obwodu, aż po sam wierzch napełnioną była niedopalonemi kościami i pokrywą nakryta.

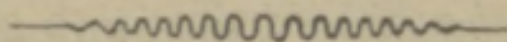
Nieznanym dotąd pomiędzy znaleziskami przedhistorycznemi na Szląsku kształtem odznacza się wydobyte tu naczynie, ongi prawdopodobnie do picia służące, w formie buta. Wydobyto téż dobrze zachowaną czarę o uszku, 6-ciu wklęsłościami wokoło zdobną, daléj kawałek bronzowéj špilki i kamienne części żarn: kamień spodni, w kształcie płyty 43 centymetry długiéj a 25 centymetrów szerokiéj i kamień wierzchni, 25 centymetrów długi a 17 centymetrów szeroki.

W najbliższém otoczeniu grobów znaleziono rozłupki krzemienia, może na ostrza do strzał służyć mające, jako téż bardzo subtelnie wykonane ostrze takie z bronzu.

Na témże terytoryum, ale w przeciwnéj stronie znaleziono cmentarzysko z urnami typu grodziskowego („*Burgwall*“), t. j. urny na kręgu garncarskim robione, następnie wypalone i wężykowatemi liniami zdobne.

Urny, w Rozmiarce i Adamowicach wykopane, sięgają epoki przedgminoruchowéj.

J.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

August Wrześniowski. Zasady zoologii. Z 499 rysunkami w tekście i jedną tablicą chromolitografowaną. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1888 (str. 475).

Wydanie w języku polskim podręcznika z dziedziny nauk przyrodniczych należy do zjawisk niezwykłych i zarazem niewymownie pocieszających. Brak podobnych podręczników odczuwają nietylko uczący się, lecz w równéj mierze i nauczający, zwłaszcza młodzi, którzy do obecnéj terminologii i nomenklatury przyzwyczajeni, szukają w podręcznikach terminologii i nomenklatury polskiéj. Niestety wszystko, co w téj mierze posiadamy — a posiadamy bardzo mało — jest albo mocno przestarzałe, albo nie odpowiada potrzebie, dla tego téż nauczyciel często zmuszony jest tworzyć nowe wyrazy, niezawsze udatne i z duchem naszego języka zgodne. Cóż dopiero mówić o tych, co kształcąc się sami, nie znajdują w literaturze naszéj szkolnéj prawie nic, coby odpowiadało najskromniejszym choćby wymaganiom. W dziedzinie mineralogii nie posiadamy absolutnie nic, w botanice lukę do pewnego stopnia wypełniają niedawno wydane podręczniki prof. Rostafińskiego, oraz świeżo staraniem redakcyi „Wszechświata“ ogłoszony „Krótki przewodnik do zajęć praktycznych z botaniki mikroskopowéj“ prof. Strasburgera, w dziedzinie zaś zoologii alfą i omegą są podręczniki Schoedlera i Nowickiego; pierwszy przestarzały i niewystarczający, drugi w wysokim stopniu niepedagogiczny. Nie ulega wątpliwości, że brak podręczników w języku polskim przypisać należy w znacznéj części przyczynom od nas niezależnym. Gdzie z planu szkolnego wyrugowane są przedmioty, stanowiące właściwie podstawę wszelkiego wy-

kształcenia, tam o dobrych podręcznikach mowy być nie może, wszelkie bowiem usiłowania w tym względzie napotykają na nieprzezwyciężoną przeszkodę, mianowicie na brak nakładców. To téż gdy za granicą wychodzą rok rocznie dziesiątki podręczników niższych, średnich i wyższych, poświęconych naukom przyrodniczym, u nas zjawienie się podręcznika z dziedziny historyi naturalnéj jest fenomenem bardzo rzadkim.

Prawdziwe uznanie należy się firmie wydawniczéj Gebethner i Wolff za podjęcie myśli wydawania Biblioteki umiejętności przyrodniczych. W r. 1884 wyszły „Zasady chemii ogólnej," Br. Znatowicza, jedyny podręcznik, uwzględniający najnowsze zdobycze w téj dziedzinie nauki, napisany z wielką znajomością rzeczy i posiadający niepospolite zalety pedagogiczne. Obecnie mamy do zanotowania „Zasady zoologii" prof. Wrześniowskiego, jako drugi tom pomienionego wydawnictwa. Dzieło to składa się z dwóch części, poprzedzonych wiadomościami wstępnemi, w których rozpatruje autor różnicę pomiędzy ciałami sztucznemi a naturalnemi, ciałami martwemi a ożywionemi, zwierzętami a roślinami, poczém następuje krótkie określenie oddzielnych gałęzi biologii. Część pierwsza obejmuje anatomią i fizyologią człowieka z uwzględnieniem budowy i spraw zwierząt, część druga zaś poświęcona jest wyłącznie klasyfikacyi.

Przechodząc do szczegółowego rozbioru książki, zatrzymamy się przedewszystkiem na anatomii i fizyologii. Dokładna znajomość budowy i czynności organów ludzkich stanowić powinna podstawę ogólnego wykształcenia zoologicznego, gdyż daje klucz do zrozumienia budowy i fizyologicznych spraw zwierząt. Chociaż więc rozpatrywanie ciała ludzkiego, ściśle biorąc, nie wchodzi w zakres zoologii właściwéj, tém niemniéj poczytujemy autorowi za zasługę, że rzecz tę uwzględnił w swoim podręczniku bardzo obszernie i w sposób niepozostawiający nic do życzenia. Zaradził dotkliwemu brakowi książki, mogącéj szerzyć zdrowe pojęcia o czynnościach własnego ciała naszego, tak potrzebne dla każdego wykształconego człowieka. Na 125 stronicach wyłożył autor najniezbędniejsze wiadomości, dotyczące organizmu ludzkiego, uzupełnione licznemi a pięknemi rysunkami, uprzystępniającemi zrozumienie treści. Po pobieżnym przeglądzie spraw fizyologicznych i budowy, rozpatruje autor przedewszystkiém przyrządy i sprawy zależności, polegające na ruchu, przyjmowaniu wrażeń świata zewnętrznego i doprowadzeniu ich do świadomości, opisuje więc skielet wewnętrzny, mianowicie kręgosłup, czaszkę, kończyny, zwracając uwagę czytelnika na własności każdéj kości zosobna, na sposoby ich łączenia się

w jedną całość, oraz na wybitne różnice, zachodzące pomiędzy skieletem człowieka a innych zwierząt. Po krótkim lecz treściwym opisie skóry i skieletu naskórkowego, przechodzi autor do układu mięsnego, zaznajamia czytelnika z budową mięśni, rozłożeniem ich u zwierząt bezkręgowych i kręgowych, oraz człowieka, a do zrozumienia zawiłego ugrupowania mięśni w różnych okolicach ciała ludzkiego wybornie się nadaje pięknie wykonana tablica chromolitografowana, na któréj znajdujemy najgłówniejsze mięśnie powierzchowne człowieka z odpowiednim opisem w języku polskim i łacińskim. Bardzo obszernie traktowaną jest mechanika ruchów wraz z postawą i miejscozmiennością. Zaznajomiwszy czytelnika z pojęciem drąga, czyli dźwigni, objaśnia szanowny profesor zasady, na których polega stanie, pełzanie, chodzenie, bieganie, skakanie, czepianie się rozmaitych zwierząt, pływanie oraz latanie. W dalszym ciągu następuje krótki wykład fizyologicznych własności mięśni, poczém autor zaznajamia nas bardzo szczegółowo z budową układu nerwowego człowieka, zwierząt kręgowych i bezkręgowych, podaje najniezbędniejsze wiadomości z histologii układu nerwowego, fizyologiczne własności nerwów, oraz ośrodków nerwowych. Budowa i czynności fizyologiczne przyrządów zmysłów opisane są bardzo obszernie z uwzględnieniem histologicznéj budowy, oraz niektórych zjawisk fizycznych, uprzystępniających zrozumienie czynności oka i ucha.

Niemniéj szczegółowo rozpatrywane są przyrządy i czynności odżywiania, mianowicie trawienia, krążenia krwi, oddychania, wydzielania skórnego i wydzielania moczu. I tu autor trzyma się planu, przyjętego przy opisie przyrządów i spraw zależności. Przedewszystkiém znajdujemy opis odpowiednich przyrządów człowieka, następnie zwierząt kręgowych, a w końcu bezkręgowych. Przy rozpatrywaniu krążenia krwi, oraz oddychania, zwrócona jest uwaga na wpływ nerwów na te czynności, nadto przy oddychaniu objaśnione są zmienione ruchy oddechowe, jak łkanie, ziewanie, czkawka, kaszel, kichanie, śmiech, płacz i t. p. Osobne rozdziały poświęcono sprawie przemiany materyi i ciepła zwierzęcego, oraz głosowi, poczém następują zbyt pobieżnie traktowane wiadomości z histologii, zajmujące niespełna trzy stronice.

Część drugą, a zarazem najobszerniejszą dzieła stanowi systematyka zwierząt. Wyjaśniwszy w niewielu słowach istotę i cel klasyfikacyi wogóle, a klasyfikacyi zwierząt w szczególności, przechodzi autor kolejno oddzielne grupy zwierzęce, zaczynając od zwierząt wyższych, mianowicie od typu kręgowców, a kończąc na pierwotniakach. Przy każdym typie podaje autor przedewszystkiém

krótką charakterystykę, obejmującą najgłówniejsze cechy, właściwe tylko danemu typowi, poczém następuje szczegółowszy wykład budowy i czynności fizyologicznych, w końcu zaś znajdujemy tablice synoptyczne gromad, wielce ułatwiające objęcie całego przedmiotu. Taki sam plan występuje przy opisie gromad, które autor dzieli na rzędy, podając w każdym najgłówniejsze rodziny, a przy każdéj rodzinie najwięcéj znane rodzaje i gatunki, illustrowane odpowiedniemi rysunkami. Przy opisie gatunków uwzględnione jest rozmieszczenie geograficzne, miejsce zamieszkania, oraz zwyczaje zwierząt. Typ kręgowców obejmuje także główniejsze zwierzęta zaginione.

Przy układzie zwierząt autor kierował się przedewszystkiém względami pedagogicznemi, rozpoczął więc wykład od zwierząt wyższych, których budowa łatwiejszą jest do zrozumienia, aniżeli budowa niższych. Zawiłą organizacyą zwierząt bezkręgowych pojąć można dopiero po uprzedniém przestudyowaniu morfologii zwierząt wyższych, a jeżeli w podręcznikach, przeznaczonych dla słuchaczów uniwersyteckich, klasyfikacya postępuje w takim porządku, w jakim zwierzęta się rozwijały, t. j. od najniższych do najwyżéj uorganizowanych, to przy takiém naturalném ugrupowaniu materyału autorowie opierają się na znajomości elementów zoologii, wykładanych zwykle w wyższych klasach gimnazyalnych. W podręcznikach szkolnych, do których należy Zoologia prof. Wrześniowskiego, najracyonalniejszym jest układ odwrotny, mniej wprawdzie ścisły, ale przystępniejszy dla umysłów młodocianych. Prof. Wrześniowski dzieli państwo zwierzęce na dziewięć typów w następującym porządku: 1) Kręgowce *(Vertebrata)*, 2) Osłonnice *(Tunicata)*, 3) Mięczaki *(Mollusca)*, 4) Mięczakowate *(Molluscoidea)*, 5) Stawonogi *(Arthropoda)*, 6) Robaki *(Vermes)*, 7) Szkarłupnie *(Echinodermata)*, 8) Jamochłonne *(Coelentarata)* i 9) Pierwotniaki *(Protozoa)*. Oddzielenie osłonnic od kręgowców, które na zasadzie historyi rozwoju łączą zwykle w jeden typ *Chordata*, jako téż ustanowienie osobnego typu Mięczakowatych, które zwykle włączają do robaków, objaśnia się również względami pedagogicznemi. Za zaletę książki poczytujemy także dokładne zaznajomienie ucznia ze zwierzętami niższémi, mianowicie szkarłupniami, jamochłonnemi i pierwotniakami, które w podręcznikach szkolnych traktowane były dotychczas po macoszemu.

Co się tyczy terminologii i nomenklatury, to autor wprowadził do wykładu wyrazy utarte, cieszące się powszechném uznaniem, a oprócz tego w odnośnikach przytacza synonimy typów, gromad i rzędów, napotykane u różnych autorów.

Wykład jasny, język czysty, wolny od naleciałości obcych, stanowi niemałą zaletę książki, którą śmiało można postawić za wzór innym tego rodzaju podręcznikom. Przytém autor uwzględnił najnowsze wyniki nauki, o ile te mogą wchodzić w zakres średniego nauczania. Jako nowość znajdujemy tu podział ssących na żyworodne i jajorodne, oparty na niedawno dokonanym przez Haackego i Caldwella odkryciu, że przedstawiciele rzędu jednootworowych *(Monotremata)*, mianowicie Dziobak i Kolczatka, składają jajka na wzór ptaków, nie zaś rodzą żywe potomstwo, jak do niedawna jeszcze mniemano.

Tyle o zaletach książki prof. Wrześniowskiego. Słabe strony dzieła polegają prawie wyłącznie na braku pewnych wiadomości, które powinny wchodzić w zakres podręcznika szkolnego, a których niestety nie znajdujemy w rozbieranéj książce. Nie mówimy już o zupełném wykluczeniu z programu zasad zoologii organów płciowych i historyi rozwoju zwierząt, o których niema najmniejszéj wzmianki, ani w anatomii i fizyologii, ani téż w części systematycznéj. Jest to rzecz osobistego przekonania autora, który uznaje za nieodpowiednie wprowadzanie do wykładu szkolnego przedmiotu, niemogącego być traktowanym z zupełną swobodą, choć w takim razie daleko konsekwentniéj byłoby pominąć podział ssących na łożyskowe *(Placentalia)* i bezłożyskowe *(Aplacentalia)*, gdyż autor nigdzie o łożysku nie wspomina i terminy te pozostają dla ucznia zupełnie niezrozumiałemi. Za to nie możemy się powstrzymać od wyrażenia żalu naszego z powodu pominięcia teoryi stopniowego rozwoju zwierząt, która naszém zdaniem powinna wchodzić w zakres średniego nauczania, jeżeli nauczanie to ma za zadanie nietylko przyswajanie faktów, ale także rozwój umysłu ucznia. Do tego nadają się w wysokim stopniu nauki przyrodnicze, zwłaszcza biologiczne, w których zasada porównawcza sprzyja wielce zapamiętaniu faktów i wyciąganiu z nich wniosków ogólnych. Jeżeli autor zachowuje szczegółowy rozbiór teoryi Darwina do wykładu uniwersyteckiego i poświęcenie temu przedmiotowi osobnego rozdziału w swoim podręczniku uznał za zbyteczne, to mógł zasadę tę uwzględnić w trakcie wykładu przez porównywanie osobnych grup zwierzęcych z sobą, przez co przedmiot suchy nabrałby wyraźniejszych kształtów i stałby się daleko więcéj zajmującym. W podręczniku prof. Wrześniowskiego każda grupa zwierzęca występuje jako całość skończona, nie łącząca się ani z grupą poprzednią, ani z następującą. A przecież nie było nic łatwiejszego, jak zaznaczyć stopniowe i niewyraźne przejście pomiędzy oddzielnemi grupami, uwydatnić cechy wspólne sąsiednim grupom zwierzęcym i przez to

wykazać, że państwo zwierzęce przedstawia nie zbiór niezależnych od siebie gatunków, lecz że gatunki te są z sobą w większym lub mniejszym stopniu spokrewnione. Zasadę tę należałoby przeprowadzić głównie w typie kręgowców przez porównanie jednootworowych *(Monotremata)* z ptakami, ptaków z gadami, płazów z rybami.

Jest to jedyny zarzut, jaki uczynić możemy doskonałej zresztą pracy prof. Wrześniowskiego. Pomimo zaznaczonych powyżéj braków, uważamy „Zasady zoologii" za najlepszy ze wszystkich wydanych dotąd w języku polskim podręczników tego rodzaju i śmiało polecamy je wszystkim miłośnikom nauk przyrodniczych, zwłaszcza zaś nauczycielom, uczniom, oraz studentom medycyny i farmacyi, którzy z téj książki prawdziwy pożytek odnieść mogą.

Zewnętrzna strona podręcznika prof. Wrześniowskiego nie pozostawia nic do życzenia. Obfitość i piękne wykonanie rysunków w wysokim stopniu podnoszą wartość dzieła, do którego na końcu dołączony został alfabetyczny spis rzeczy. *S. Grosglik.*

Adam Szymański. Szkice. Tom I. Petersburg. Nakładem autora, 1887, str. 158.

Rozgłos, jaki towarzyszył utworom p. Szymańskiego od ukazania się pierwszego z nich w odcinku „Kraju", nie daje się wytłómaczyć ani wielką donioslością spraw, które poruszały, gdyż pod tym względem niejedna powieść czy nowela je przewyższała, ani urokiem nadzwyczajnym słowa, gdyż autor nie tylko świetnym ale nawet dobrym stylistą w całkowitém znaczeniu wyrazu tego nie jest.

Był jednakże w nich jakiś pierwiastek, który zobojętniałych na bardzo wiele wrażeń czytelników poruszył, serca ich rozgrzał, umysły zaciekawił i autora, dotychczas nieznanego, odrazu pomiędzy patrycyat nowelistów wprowadził. Mało kto wiedział, że p. Szymański, zanim go losy wśród Jakutów osadziły, brał już dość czynny udział w czasopiśmiennictwie warszawskiém młodego pokolenia (w „Opiekunie domowym"), że przebył już dawniéj termin literacki; dla większości był to talent całkiem świeży, który gdzieś na dalekim wschodzie odrazu strzelił kwiatem o barwach przytłumionych a wielce ujmujących.

Zapewne, ta okoliczność, iż „Srul z Lubartowa" odbył bardzo długą wędrówkę, zanim na kartach czasopisma polskiego w Petersburgu się ukazał, wiele mu pomogła w serdeczném przyjęciu, ale gdyby nie miał zalet rzeczywistych, tylko okolicznościowe, po pierwszych grzecznościach dla gości z bardzo sympatyczną rekomendacyą, zapomnianoby o nim, jak się zapomina o ludziach i rzeczach,

o których dużo obiecywaliśmy sobie, a którzy rojeń naszych nie spełnili. Ale „Srul z Lubartowa“ posiadał przymioty istotne, a przedewszystkiém ten, że był prawdziwy bez żadnych dodatków i upiększeń, bez wielkich zachodów autorskich o jego przedstawienie czytelnikom. P. Szymański odtworzył tylko w słowie prostém i zwięzłém to, czego rzeczywiście doświadczał, co czuł, co myślał, co widział; nie wglądając domysłami do duszy człowieka, z którym rozmawiał, przedstawił jego pytania i swoje odpowiedzi, a ponieważ rzecz sama była i charakterystyczna wielce i głęboko uczuciowa; wierne jéj odmalowanie uderzyło każdego swoją prostotą i prawdą. W Jakucku wśród 35-stopniowego mrozu szedł autor oddać ostatnią posługę jednemu ze zmarłych spółwygnańców, poczciwemu kurpiowi Bałdydze. „W szopie, nie mającéj ani stołu, ani stołka, nic okrom ścian ubielonych śnieżnym szronem, na podłodze śniegiem zasypanéj, leżał również ubielony, zawinięty w jakieś prześcieradło czy koszulę ogromny wąsaty trup... Surowe oblicze nacechowane było dziwném jakimś, nieopisanym bólem, a z szeroko otwartych oczu wielkie źrenice, zda się, z wymówką sterczały het daleko, ku mroźnemu, surowemu niebu.“ Ktoś z obecnych skreślił autorowi charakter Bałdygi w tych słowach: „Zmarły *był* chłop zacny; zawsze *był* zdrów i pracowity, więc zawsze przygarniał i przytulał koło siebie kogoś z biedniejszych, tylko że to i uparty *był*, jak kurp’, więc wierzył do końca, że wróci nad Narew. Widocznie jednak przed śmiercią zrozumiał, że tak nie będzie“. Tą jedyną mową pogrzebową pożegnano Bałdygę; skamieniałe zwłoki złożono do trumny, postawiono ją na małe saneczki jakuckie, gdy „krawcowa W., pełniąca w danym razie, jako praktyk religijnych świadoma, obowiązki księdza, zaintonowała donośnie: *Witaj, królowo nieba... w smutku i radości*, podtrzymując ją urywanemi głosami“, gromadka ruszyła ku cmentarzowi. Po chwili mała tylko, świeżo usypana kupka ziemi świadczyła o niedawném istnieniu Bałdygi na świecie, ale świadczyć miała niedługo, bo za nastaniem wiosny zrówna się z poziomem, porośnie trawą i zielskiem; po roku, po dwóch niktby już jéj nie znalazł, ale bo téż i szukać nikt jéj nie będzie. Wypadek ten i myśli przezeń nasunięte był jedynie wstępem przygotowującym i autora i czytelnika do sceny, która stanowi główny temat szkicu. Wspomnienie Bałdygi wzmogło w wygnańcu uczucie tęsknoty do kraju, niedopuszczające żadnéj innéj myśli, żadnego innego pragnienia, prócz żądzy powrotu do ziemi rodzinnéj, do niw nadbużnych, albo przynajmniéj do lubowania się ich wyidealizowaném wspomnieniem. Gdy się marzeniom tym oddał, każdy nerw jego, jak powiada „czuł muskanie powietrza rodzinnego, ożywcze działanie promieni sło-

necznych, a choć na dworze mróz zgrzytał jeszcze wściekléj i coraz groźniej szczerzył na szybach swe zęby", krew jednak żywo zakrążyła w żyłach, głowa zapałała; jak zaklęty, zapatrzony, zasłuchany, nie widział i nie słyszał nic już koło siebie. Wśród tego zatopienia się w rozpamiętywaniu o ziemi rodzinnéj, zjawia mu się w rzeczywistości jéj żywe przypomnienie w postaci żyda z Lubartowa, który dowiedziawszy się, że ktoś niedawno przyjechał z Warszawy, przyszedł go odwiedzić i rozpytać, chociaż nie spodziewał się nic utargować i chociaż mróz był straszliwy. Opowiadający poruszał w rozmowie rozmaite strony życia, zagadywał o polityce, o handlu, o położeniu żydów, ale Srul wszystko to przyjmował obojętnie, chciał się on o coś zapytać, ale nie umiał wyrazić swych myśli, a prócz tego lękał się wyśmiania. I on bowiem, tak jak Bałdyga i jak autor, tęsknił za krajem, i jemu miło było przypomnieć sobie zielone pola i fasolę i wróbli, bo na „przeklętéj" ziemi, w któréj od lat trzech mieszkać musiał, nic podobnego widzieć nie mógł. Zapomniał już nawet wyrazów, któremi się owe rzeczy popolsku mianowały, ale same rzeczy głęboko mu tkwiły w pamięci i sercu. Gdy autor zrozumiał, o co właściwie żydowi chodziło, rozrzewnieniem ogarnięty, wziął go za rękę i przybrał w słowa jego myśli i uczucia tęskne, i opowiadał o polach, łąkach, lasach, zwierzętach i ludziach ziemi rodzinnéj. Srul ściskał mu ręce i śmiał się jak dziecko radośnie, i słuchał z otwartemi usty, z wlepionym weń wzrokiem; wzrokiem tym palił go i podniecał, wyrywał mu słowa, chwytał je spragniony; a po skończeniu zajęczał boleśnie, zatrząsła mu się broda ruda i łzy duże potoczyły się po znędziałéj twarzy...

Wydobycie na jaśnię i odtworzenie bez sztucznych przyborów jednego z najgłębszych uczuć, jakie sercem ludzkiém wstrząsają— oto właściwy czar pierwszego szkicu p. Szymańskiego i powód sympatycznego przyjęcia go przez ogół czytający i krytykę. Skreślenie zaś natury mało znanéj i wyjątkowe położenie zarówno autora jak i osobistości, które do szkicu wprowadził, dodawało do tego czaru pierwiastek świeżości, tak zawsze pożądany, zwłaszcza wśród mniéj więcéj jednostajnych wrażeń, jakich doznajemy przy czytaniu powieści osnutych na stosunkach powszednich.

Drugi z kolei szkic p. n. „Pan Jędrzej Krawczykowski" i trzeci p. n. „Maciéj Mazur" malują nam dwu zabójców ale z dwu różnych powodów; jeden zakatował żonę niewierną, drugi brata szpiega i zdrajcę. Opowiadanie ma tu ten sam charakter, co w „Srulu"; autor zdaje relacyą z tego, co widział i słyszał, tylko że już obszerniéj maluje przyrodę nad Leną i że szczegółowiéj przytacza rozmowy i tym sposobem już rozszerza metodą powieściopisarską to, co za-

uważył jako obserwator. Fantazya dopełniająca gra tu więc rolę ważną; autor przywykając do szerszego traktowania materyału zdobytego przez spostrzeganie, zaczyna szczegóły uwydatniać dokładniéj, zaczyna własnym domysłem wchodzić we wnętrze osób, które do opowiadania obiera, zapamiętane ich słowa zaczyna do swojego sposobu wyrażania się naginać, wzory literackie niegdyś czytane dopomagają mu do rozprowadzenia osnowy rzeczywistéj. Czy na tym utwory jego zyskują? Zdaje się, że nie. Gdyby były więcéj skoncentrowane, gdyby tak jak „Srul“ poprostu, zwięźle, ale silnie i barwnie odtwarzały to, co rzeczywiście dała autorowi obserwacya, wrażenie przez nie wywarte silniejszém-by się podobno stało. Mianowicie rozumowania autora, obracające się w sferze uniewinniania przestępstw, nie posiadają dosyć siły przekonywającéj, ażeby czytelnik wspólnie z nim i w jednakowym stopniu sympatyzował z zabójcami. Odnosi się to do „Pana Jędrzeja“, którego oczy, jak zapewnia autor, były „czyste i jasne jak woda kryniczna, niewinne i spokojne jak oczy dziecięcia“, wówczas gdy skończył swe opowiadanie o zabiciu żony. Takiemi oczyma patrzą téż, jak poucza psychologia kryminalna, monomani a nawet zabójcy z profesyi. Co do poczciwego i serdecznego „Macieja Mazura“, który kończąc swą opowieść „blady był jak trup, bielszy od ściany białéj, przy któréj siedział, rękami nie wymachiwał, tylko palce jego poruszały się konwulsyjnie“, czytelnik może całkowicie sympatyą autora podzielać, a ta zgodność sprawia, że i szkic lepszym od poprzedniego się wydaje.

Oryginalny w pomyśle, chociaż niezbyt świetny w wykonaniu jest „Stolarz Kowalski“, który w skutek nieszczęść doznanych w życiu przestał wierzyć w Opatrzność, zgorzkniał, znienawidził Boga i nauczył jedyną wierną sobie istotę i jedyną własność swoję, psa szczekać ku niebu, gdy usłyszał wymówione słowa: „Piesiu, idź nawymyślaj Panu Bogu, nawymyślaj mu dobrze.“ Dusza ta była serdeczna, lubiąca pieśni, rozrzewniająca się na wspomnienie matki, a gorycz wlana w nią przez życie, nie uczyniła jéj nieprzystępną miększym uczuciom. W ostatnich przedzgonnych chwilach czytana przy nim ewangielia ś. Jana przypomniała mu lata dzieciństwa, skruszyła go i nastrojowi religijnemu zwróciła.

Ostatnim w zbiorku p. Szymańskiego szkicem jest „Przewoźnik“. Jako o całości nic stanowczego jeszcze powiedzieć o nim nie można, dlatego że mamy dopiero część pierwszą. Co do sposobu pisania, najwięcéj tu widać przemianę, jaka zaszła w autorze „Srula z Lubartowa“. Jest to już powieść według zwykłych pojęć o tym rodzaju literackim; znajdujemy w niéj szczegółowe, charakterystyczne opisy téj miejscowości, na któréj ma się rozegrać akcya utworu;

znajdujemy uwagi autora nad usposobieniem mieszkańców, refleksye treści ogólnéj, zarysy osób zarówno podrzędną, przypadkową jak i główne znaczenie w utworze mających. Może się ona ogółowi bardziéj podobać od szkiców poprzednich, bo się tu autor wypowiada ze swemi myślami i uczuciami, ułatwiając czytelnikowi rozumienie charakteru osób; ale czy w równym stopniu zadowolni krytykę, o tém przesądzać jeszcze nie można, jakkolwiek niektóre deklamacyjne ustępy nasuwają myśl, że próba nowego sposobu pisania jest próbą dopiéro. *P. R.*

= **Historya literatury polskiéj** *na tle dziejów narodu skreślona przez Maryana Dubieckiego* (Warszawa. Nakł. M. Orgelbranda, 1888), budząca z powodu nazwiska autora, znanego na polu dziejopisarstwa naszego niemałe nadzieje, że lepiéj będzie niż dotychczasowe podręczniki opracowana, zaczęła wychodzić zeszytami. Z dwu puszczonych w świat obecnie trudno jeszcze wyrokować o wartości całéj książki, mającéj zawrzéć się w 60 ciu arkuszach; ale niestety, o treści dwu zeszytów, a zwłaszcza o tém, w jaki sposób treść ta opracowana została, nie można złożyć pochlebnego świadectwa. Autor jako na nowość w swéj pracy kładzie silny nacisk na „tło z dziejów politycznych", które szczegółowo przed czytelnikami rozwija, ażeby tém jaśniéj uwydatnić rozwój umysłowy narodu odźwierciedlony w literaturze. „Podobny system — powiada — o ile wiem, w naszych podręcznikach literatury dotąd nie był w użyciu, w szerszym przynajmniéj zakresie; *wprowadzając* go w niniejszéj méj pracy, *stawiam* na drodze *zestawienia* wszystkich objawów życia narodu *pierwsze zaledwie kroki.*" Otóż musimy sprostować to naczelne twierdzenie autora, który przejęty myślą, że wprowadza nowy żywioł do historyi literatury, nie dość pilnie śledził metody poprzedników. Już pierwszy nasz krytyczny dziejopis literatury, Kazimierz Brodziński, w wykładach swoich w uniwersytecie warszawskim, bardzo szeroko historyą polityczną kraju uwzględniał, tak, że np. wstęp jego do 1-éj epoki piśmiennictwa (od Mieczysława I do Kazimierza W.) zajmuje 26 stron druku. Późniejsi badacze nigdy nie tracili z uwagi dziejów politycznych, tylko niezawsze umiejętnie i zgodnie z celem niemi się posługiwali. P. Seweryna Pruszakowa pisząc w „Rozrywkach dla młodocianego wieku" swój kurs dziejów literatury polskiéj (ledwie zresztą rozpoczęty) aż zanadto nawet miejsca historyi politycznéj poświęciła. Sam więc ten żywioł nie jest nowością w naszych podręcznikach literatury, ale mógłby nią był zostać sposób zużytkowania go. Zazwyczaj bowiem tło po-

lityczne stanowiło obrazek oddzielny, a wymienianie zabytków piśmienniczych szło swoim torem; przyczynowy związek między pierwszém a drugiém rzadko bywał wykazywany. Wiemy, że wykrycie tego związku przyczynowego jest w dawniejszych mianowicie dobach rzeczą bardzo trudną, a niekiedy wprost niepodobną do uskutecznienia z powodu małéj ilości i sporadyczności zjawisk literackich; ale w takich razach lepiéj poprostu przyznać się do niemożności wyjaśnienia, niż łudzić siebie i czytelników, że się coś objaśniło przez podanie faktów luźnych, wzajemnie się nie tłómaczących. Prócz tego zważyć potrzeba, że do zrozumienia i wyjaśnienia naszych zabytków literackich nieraz więcéj znajdziemy światła w dziejach literatury europejskiéj, aniżeli w historyi politycznéj naszego narodu, a w takich wypadkach lepiéj oczywiście zwrócić się w tę stronę, niż wymieniać królów i ich czyny nie mające żadnéj łączności z rozwojem piśmiennictwa. Wreszcie podanie charakterystyki pojęć naszych pisarzów, zaznajomienie z formą ich utworów daleko więcéj nauczyć zdoła o rzeczywistym rozwoju umysłowym narodu i daleko właściwszém jest w historyi literatury aniżeli rozszerzanie się nad stosunkami politycznemi, które z właściwego działu wykształcenia powinny już być znane. P. Dubiecki stara się w swojém tle uwydatnić czynniki cywilizacyjne, ale niejednokrotnie, nie mając do zaznaczenia nic pod tym względem wybitnego, poprzestaje na opowiedzeniu zdarzeń ze strony ich zewnętrznéj. W przedstawieniu działalności autorów bardzo rzadko potrąca o ich przekonania i poglądy, bardzo rzadko zastanawia się nad formą dzieł literackich, zadawalniając się, jak dawniejsi historycy literatury naszej, skreśleniem biografii i podaniem tytułów ich książek. O oddziaływaniu piśmiennictw obcych na nasze napomyka, lecz tylko ogólnikowo, chociaż w dziale kronik np. albo humanizmu miał już w pracach monograficznych bardzo dobre wskazówki. Traktowanie więc tła historycznego nie może być nazwane i w téj książce zadawalniającém; nie ma ono cechy organicznego związku z właściwym przedmiotem wykładu.—Co się tyczy uporządkowania faktów literackich, panuje w nim dziwny chaos: zjawiska jednogatunkowe bywają rozdzielane, a różnogatunkowe najdowolniéj łączone. O „Bogarodzicy“, dla któréj najwłaściwsze miejsce byłoby między utworami treści religijnéj, mówi na samym początku epoki piastowskiéj (str. 35—38), chcąc zapewne uczynić zadość zwyczajowi naszych podręczników dawniejszych, ażeby zacząć dzieje literatury od pieśni religijnéj, chociaż wié, że pieśń ta jest znacznie późniejsza od „doby apostolskich prac św. Wojciecha“; o innych zaś zabytkach religijnych mówi dopiéro przy końcu owéj epoki

(str. 82—86). O Andrzeju Gałce z Dobczyna czytamy wprzód (str. 108, 109) aniżeli o husytyzmie wogóle (str. 113). Pobieżna wiadomość o scholastyce stoi luźnie na str. 115 i 116, a o przedstawicielach scholastyki dowiadujemy się dopiéro na str. 140 i następnych. Podobnie o humanizmie pisze autor na str. 116, potém traktuje osobno Grzegorza z Sanoka, jako inteligencyą wyjątkową (str. 122—125), chociaż dziś wiadomo, że był on jedynie utalentowanym przedstawicielem humanizmu, a dopiéro na str. 151—152 podaje wiadomości o humanistach, przyczepiając do nich nazwisko Grzegorza z Sanoka. Książeczkę Elżbiety o wychowaniu królewicza roztrząsa osobno, ani słówkiem nie napomykając, że to także utwór nawskróś humanistyczny. Podobnież nazwisko Mikołaja Lasockiego znajduje się wśród szeregu mówców bez zaznaczenia nawet, że to jeden z najwcześniejszych naszych humanistów. „Pamiętniki Jańczara“ mieści między przekładami utworów treści religijnéj a pieśniami religijnemi (str. 104—107), a oddziela kantyczki od tych pieśni aż 40 stronnicami, na których różne działy literatury przedstawia. Dość będzie tych przykładów, ażeby wskazać, że ani zasada chronologiczna, ani logiczna nie przewodniczyła autorowi w rozkładzie materyału historyczno-literackiego. Zabieganie naprzód i cofanie się, powtarzania nader częste, wyjaśnienia spóźnione, są już naturalnym wynikiem braku metody w układzie i dlatego o tych nie rozpisuję się szczegółowo. — Co do krytycyzmu, to dzieli p. Dubiecki z poprzednikami powszednie ich ujemności. Ten autor, który okazał w historyi politycznéj dużo przenikliwości, w historyi literatury powtarza baśnie dawno już ze świątyni prawdy dziejowéj przepłoszone. Więc mówi o pieśniach tłómaczonych przez Galla z polskiego, przytaczając za przykład tę właśnie (na śmierć Bolesława), która najwyraźniéj, naocznie prawie przekonywa, że jest utworem samego kronikarza; więc prawi, jak niegdyś Wójcicki, o dyalogu allegorycznym, ułożonym po śmierci Kazimierza Sprawiedliwego, gdzie jakoby „pojedyncze osoby były wcieleniem cnót zmarłego księcia“, chociaż dziś nie ulega już wątpliwości, że to tylko utwór uczonéj wyobraźni Kadłubka; więc i Mateusza Cholewę, jako oddzielnego kronikarza, jako niewątpliwego autora 3 ksiąg kroniki Kadłubkowéj przedstawia, dodając, że mistrz Wincenty w 4-éj księdze „stara się naśladować styl“ Mateusza; więc występuje u niego i „Ciołek“ optyk, chociaż Franke wykazał, że to nazwisko jest dowolném tłómaczeniem, opartém na złém odczytaniu napisu na dziele tego autora, którego *Vitelonem* (nie zaś Vitellionem) musimy nazywać; więc i Andrzéj ze Słupia tu pokutuje, jakby rozprawa p. Bobowskiego, wskazująca brak podstawy do przyjęcia te-

go nazwiska, wcale nie istniała. Wogóle nieznajomość nowszych monografii daje się uczuć w dziele p. Dubieckiego bardzo dotkliwie. — Co do stylu jest on niezaradnym w dość wysokim stopniu; wydaje się tak, jakby książka powstała z notatek robionych na podstawie wykładów ustnych. Połączenie zdań np. takich, jak następujące, nie są tu rzadkością: „Ruch ten wszakże *był* w pierwszéj połowie rzeczonego okresu kosmopolitycznym, myśl odziana *była* w szatę łacińskiéj mowy, mąż uczony *był* wciąż jeszcze kapłanem, ale już w XV wieku, który *był* bez zaprzeczenia.“ i t. d. (str. 90), W języku spotykają się tu i owdzie rusycyzmy, np. służyć *tematem* (str. 72); a znajomość mowy staropolskiéj wielce słaba, gdy np. przyimek *prze* poczytuje za równoznaczny z *przez* (str. 99) i t. d. Jedno tylko na pochwałę książki p. Dubieckiego powiedzieć można, że nie jest zwykłą *kompilacyą*, jak większa część historyi literatury w ostatnich 20 latach, lecz pracą prowadzoną przez autora samodzielnie. Może do téj zalety przyłączą się i inne w obrobieniu późniejszych okresów literatury naszéj; dotychczas opowiadanie doszło do wieku XVI, do „doby Kochanowskiego.“

= **L. M. Łazarewicz. Szkice średniowieczne.** *Zeszyt 1. „Rozmowa o cudach“ Cezarego z Heisterbachu (Niemcy przed Odrodzeniem). Warszawa 1887, str. 36.* — Młody pracownik na polu literatury powszechnéj widząc, że piśmiennictwo średniowieczne europejskie bardzo mało u nas jest znane, postanowił w szeregu szkiców zaznajomić czytelników polskich z wybitniejszemi epokami wieków średnich, „streszczając pomniki, posiadające *bezwzględną* wartość literacką, albo obfitujące w fakta świadczące o stanie cywilizacyi tych epok.“ Chodzi mu głównie o uwydatnienie „psychologii przeszłości“, to jest o wskazanie, „co zajmowało ongi rozum i wyobraźnię człowieka“, a za najlepszy w tym względzie środek uważa podawanie świadectw wziętych wprost ze źródeł, t. j. z zabytków literatury średniowiecznéj. Na początek wybrał dzieło zupełnie u nas nieznane, które napisane zostało w początkach wieku XIII przez mnicha z klasztoru heisterbachskiego niedaleko Kolonii, p. t. „Dialogus miraculorum“, a ogłoszone drukiem dopiéro w r. 1861. Zeszyt obecny nie zawiera jeszcze treści całego dzieła tego mnicha Cezarego, lecz tylko analizę jednéj ze składowych jego części. Jako wstęp do swych Szkiców średniowiecznych wogóle podaje autor na czele króciutką rozprawę: „Kilka słów o wiekach średnich“, dzieląca się właściwie na dwie części, niemal równéj objętości na tekst i przypisek. W przypisku przedstawia już to szkicowo, już to dość szczegółowo zarys poglądów na charakter wieków średnich, poczynając od historyków z czasów Odrodzenia aż do dziejopisów i historyografów dni

dzisiejszych. W tekscie zaś stara sie sam nakreślić ogólną charakterystykę średniowiecza. Przypisek, jakkolwiek ani wyczerpuje przedmiotu, ani systematycznie ułożony nie jest, daje bądź-co-bądź wyobrażenie dobre o różnorodności zapatrywań na znaczenie dziejowe wieków średnich; wartość tekstu o wiele niżéj stoi. Poglądy polityczno-społeczne i psychologiczne są tak ogólnikowe a niekiedy tak nieszczęśliwie sformułowane, że nie tylko niczego właściwie o średnich wiekach nie uczą, ale nawet mogą nasunąć powątpiewanie, czy autor potrafi sam sobie zdawać sprawę z natury swoich uogólnień. Weźmy dla przykładu kilka zdań. Co może znaczyć następne połączenie wyrazów: „Nieład w sądownictwie, *bieda*, *wieczne niesnaski*, samowola — to rzeczy zbyt znane, często *zabytkami średniowiecznemi* nazywane, ażeby o nich trzeba było mówić“ (str. 8). Autor musi przecież wiedzićć, że *bieda* i *wieczne niesnaski* nie tylko w średnich, ale w starych i nowych wiekach istniały i za *zabytki średniowieczne*, za coś charakterystycznego dla średniowiecza uważane być nie mogą. Podobnegoż rodzaju ogólnik bez znamiennéj wartości mieści się i w zdaniu: „Historya nie potrafii wskazać epoki, w któréjby *cnoty i występki występowały tak wyraźnie i zapełniały całe życie społeczeństwa* jak w wiekach średnich“ (str. 9). Historya nie potrzebuje wcale wskazywać takiéj epoki poprostu dlatego, że we wszystkich cnoty i występki muszą występować wyraźnie i zapełniać całe życie społeczeństwa, bo to są granice, w których całe to życie się zawiera i tylko pewne ustosunkowanie dobrych i złych uczynków, faktów ujemnych i dodatnich może się stać cechą tego lub owego społeczeństwa, téj lub owéj epoki. To co autor mówi o rozmaitych klasach społecznych, nie jest także znamiennêm, przynajmniéj w têm sformułowaniu, jakie podaje. W duchowieństwie pełno było gradacyi od świętych do nikczemników — powiada autor—ależ to samo można powiedzićć o duchowieństwie dzisiejszém; w rycerstwie widzi „wielką rozmaitość — od idealnego Rolanda do karykatury“ — alboż dzisiaj wśród szlachty czy inteligencyi niéma takich objawów. „Mieszczaństwo średniowieczne — mówi autor — odznaczało się duchem awanturniczym; kupcy imali się oręża i puszczali się w drogi dalekie, pełne przygód“; tak przecież robiły wyjątkowe osobistości; gdyby to było cechą mieszczaństwa, nie byłoby różnicy między niém a rycerstwem. Dość tych przykładów, ażeby wskazać, że autor nie obmyślił należycie swoich ogólnych określeń stanu polityczno-społecznego i że niedość się zagłębił w to, co miało stanowić główny przedmiot jego studyów, w psychologią przeszłości. Cokolwiek lepiéj przedstawia się charakterystyka literatury średniowiecznéj. Prawdą jest niezaprzeczoną, że w lite-

raturze tej pojawiają się „nieznane ludom starożytnym formy poezyi i świeże motywa psychologiczne“, że w niéj jest „mało systematyczności, ładu, porządku, ale dużo werwy, rozmaitości, świeżości kolorytu i jaskrawych barw, że „świeżość motywów psychologicznych często okupuje nieudolną formę“, że w miłości średniowiecznéj „po za wyrazami skromnemi i wymuszonemi zawsze się ukrywają niezbyt idealne pożądania.“ Atoli obok tych i innych jeszcze rysów prawdziwych, nie brak twierdzeń nieuzasadnionych, które wypłynęły z niekrytycznéj chęci podniesienia wartości literatury średniowiecznéj nad miarę właściwą. Niepodobna zgodzić się na to, jakoby nowożytna literatura rozwijała się wyłącznie w kierunku wytkniętym przez średniowieczną i jakoby pierwiastki grecko-rzymskie nie potrafiły się zespolić z nią organicznie; boć tylko szalony romantyzm a nie cała „nowożytna“ literatura wielbił bezwarunkowo natchnienia średniowieczne, a przecież i on w formie utworów niejedno wchłonął z poezyi greckiéj i rzymskiéj. Owszem uznać musimy, że wiele pierwiastków grecko-rzymskich tak silnie, tak organicznie zespoliło się z naszemi pojęciami estetycznemi, iż ich odrzucić wprost niepodobna. Starożytnym ludom nie był tak znowuż obcym mistycyzm, jak utrzymuje autor, a jasny umysł Greka czy Rzymianina lubił dociekać „rdzeni rzeczy“, bo o tém świadczy jego filozofia lub taka poezya jak Lukrecyusza. — Istotną wartość posiada dopiéro część szczegółowa rozprawki, gdyż zapoznaje czytelnika z osobistością nieznaną nam dotychczas i podaje systematycznie zanalizowaną treść pewnéj części jéj dzieła. Cezary, urodzony w drugiéj połowie XII wieku, wykształcił się głównie pod dwoma mistrzami, o których z miłością i uwielbieniem wspomina, pod Rudolfem w Paryżu i Einsfriedem w Kolonii. Młodo, prawie z ławki szkolnéj przeszedł do klasztoru, nie zaznawszy życia światowego. Mistycznie nastrojona jego dusza, pobudzona opowiadaniem o cudach i łaskach, które za przyczyną Najświętszéj Panny specyalnie na mnichów spływały, szukała zadowolenia i zbawienia po za gwarem i rozterkami ludzi ubiegających się o dobra doczesne. Lecz i w klasztorze nie brakło przykładów niecnoty; a wrażliwy lecz surowy umysł pisarza rozważając objawy ujemne, pesymizmem się przejął względem natury ludzkiéj i lubił roztaczać dla nauki moralnéj obrazy zepsucia i występków. Napisał on kilka dzieł, ale najważniejszém jest „Rozmowa o cudach“, w któréj przytaczając mnóstwo anegdot i powiastek, wybornie scharakteryzował całe społeczeństwo swojego czasu. Autor „Szkiców“, pomijając na teraz charakterystykę duchowieństwa według téj „Rozmowy“, jak niemniéj wykazanie zawartych w niéj śladów pogaństwa i mitologią

chrześciańską, wyjmuje tylko szczegóły, rzucając światło na świeckie warstwy ówczesnego społeczeństwa niemieckiego. Poznajemy więc po kolei rycerstwo, mieszczaństwo i lud; a następnie lichwiarzy, kobiéty, sądowników, żydów; w końcu herezye i króciutkie wzmianki o lekarzach, prawnikach i teatrze. Autor z różnych ustępów dzieła Cezarego skupia rysy, które mu do odmalowania wyliczonych powyżéj objawów służą; po większéj części stara się o zwięzłość; zyskuje na tém liczba przytoczonych z dzieła Cezarego faktów, ale traci barwność. Najciekawsze z uwydatnionych tu właściwości są te, które się odnoszą do pojęć religijno-moralnych. Cezary nie zna granicy pomiędzy pobożnością formalistyczną (dopełnieniem pewnych obrządków) a religijnością rzeczywistą, raz wystarcza mu jedna, to znów domaga się drugiéj, zupełnie naiwnie, bez roztrząsania i rozbioru sprawy. I tak opowiada np. o zabójstwie popełnioném przez kleryka wraz z siostrą; prowadzono ich na stos; ogień spalił kleryka, ale nie dotknął jego siostry, która idąc na śmierć, wyspowiadała się z grzechu. Przeciwnie w inném miejscu rycerze-rabusie, chociaż przed śmiercią okazywali skruchę, idą do piekła i tam cierpią męki najwyszukańsze. Najbardziéj charakterystyczną w tym względzie jest anegdota o dziadku, który wnuka swego zadusił za to, że tenże targnął się na cześć dziewczyny. Starzec ten na ostatniéj spowiedzi nie wyznał swego postępku, o którym wszyscy wiedzieli, biskupowi, uważał bowiem swój doraźny czyn za zupełnie słuszny; biskup nie chciał mu dać komunii, ale starzec dostał ją cudownym sposobem.—Rysy obyczajowe są po większéj części ujemne u Cezarego i liczba rycerzy walecznych i pobożnych jest nieznaczna, o chrześcianach w Jerozolimie powiada, że nie było takiego, któryby za pieniądze nie sprzedał swéj żony, siostry lub córki; w anegdotach o kobiétach lekkomyślność, ciekawość, idyotyzm i lubieżność ich są ulubionemi motywami Cezarego; romanse ich ze spowiednikami są u niego rzeczą powszednią. Książeczka roi się od błędów drukarskich, od niepoprawnych zwrotów językowych i stylowych. Autor nie umie używać pełnych i skróconych form zaimków osobowych, popełnia liczne błędy w składzie, a niezaradność jego stylowa jest, niestety, bardzo wielka. Widząc, że się poświęca studyom pracowitym i żmudnym, a mogącym wzbogacić naszę literaturę, szczerze wypada życzyć, ażeby usilnie językiem i stylem ojczystym się zajął.

= **Ch. Seignobos. Historya cywilizacyi** *z 200 drzeworytami w tekscie, przełożył z najnowszego wydania francuskiego Adolf Dygasiński.* (Warszawa. Nakł. T. Paprockiego; dotychczas 2 zeszyty, str. 320). Największą zaletą książki Seignobosa jest jéj treściwość, jasność

i przystępność wykładu, obfitość i ścisłość informacyi w niéj pomieszczonych. Autor nie myślał się spółubiegać o pierwszeństwo z licznymi w Niemczech historykami „kultury", ani pod względem odkrywania coraz-to nowych niby praw rządzących rozwojem ludzkości, ani pod względem emfatycznie wypowiadanych uogólnień, które przez czas jakiś mogą znaleść powodzenie, ale późniéj idą do składu frazeologicznych rupieci;—lecz starał się jedynie o nagromadzenie wiadomości pewnych, ustalonych przez krytykę dziejową i o ich należyte uporządkowanie w formie podręcznika szkolnego. Po krótkim zarysie czasów przedhistorycznych (str. 1—13), określa znaczenie legend, historyi pewnéj, podaje źródła do historyi cywilizacyi starożytnych, streszcza główne zarysy etnograficzne (do str. 23), a następnie mówi po kolei o Egipcyanach (do str. 42), Asyryjczykach i Babilończykach (do str. 57), Aryach indyjskich (do str. 69), Persach (do str. 80), Fenicyanach (do str. 90), Żydach (do str. 101), Grekach (do str. 188), Etruskach i Rzymianach (do 315). Przy końcu zeszytu drugiego rozpoczynają się dzieje „Najazdu" narodów germańskich na państwo rzymskie. Rysunki wzięte z pomników autentycznych wybornie uzmysławiają szczegóły cywilizacyjne. Przekład dokonany jest starannie, a wydanie pod względem druku, papieru i odbicia ilustracyi ładne.

= **Nieszczęśliwi**, *obrazki na tle codziennego życia, skreślił J. K. Maćkowski* (Lwów, 1887, str. 138).—Autor sam uprzedza, że obrazki jego nie odznaczają się oryginalnością pomysłów i poglądów, że przedstawiają walkę ludzi „niezbyt szczodrze przez naturę uposażonych" z przypadkiem, drobnemi okolicznościami codziennego życia, albo wreszcie z własną nieudolnością i „naturalnemi skłonnościami do złego." Istotnie, są-to pospolitości bardzo pospolitym a w dodatku niedbałym sposobem opowiedziane. „Jeden z wielu" to młodzieniec słabéj woli a dużéj zarozumiałości, który będąc w gimnazyum, zamiast się uczyć, pisze wiersze i kocha się, a potém schodząc szczebel po szczeblu marnieje moralnie, kończąc pijaństwem. „Wyrodny syn" z miłości do aktorki zepsutéj i bezczelnéj dopuszcza się kradzieży w sklepie, gdzie był subjektem, wypędzony przez ojca, nauczyciela wiejskiego, wiesza się. „Kłusownik" to zamożny i uczciwy skądinąd chłop, który z zamiłowania myśliwstwa tajemnie w cudzych lasach poluje, ze strachu strzela do gajowego, idzie do więzienia, traci żonę, wyjeżdża do Ameryki. Wszystkie te wypadki w książce p. M. nie robią większego wrażenia nad opisy podobnych smutnych objawów życia społecznego w „Kuryerach"; artystycznego znaczenia, ani psychologicznego pogłębienia nie mają. Stosunkowo najlepszym, a zarazem najmniejszym jest obrazek p. n.

„Wilia za oceanem“, w którym odmalowane mamy z przyjęciem i serdecznością ostatnie chwile chłopa naszego, który zwabiony obietnicami do Ameryki, wraz z rodziną pojechał, nadwerężywszy nogi i ręce w fabryce, wydalony z niéj został, i kołacząc napróżno do serc ludzkich o zasiłek dla zgłodniałych dzieci, nie śmiał z próżnemi dłońmi wracać do chaty, zmarzł zasypany śniegiem u jéj progu, gdy biédna żona ciągle jeszcze uspokajała dzieci, że tata powróci i chleba na gwiazdkę przyniesie. — Język obrazków niestety nie tylko zalet piękności nie posiada, ale nadto zeszpecony jest germanizmami i niepoprawnością samych form gramatycznych. Autor przez usta zmarnowanego poety upomina się o wyrozumiałość dla talentów miernych; należy im się ona niewątpliwie, bo nikt za stopień swego uzdolnienia odpowiedzialnym być nie może; ale trzeba pamiętać, że to, co praca daje, a więc czystość języka i staranność stylu, pod sąd surowy podciągnąć wypada.

— **Stosunki i pieśni miłosne Mickiewicza w Odesie** *przez Józefa Tretiaka* (w „Przewodniku naukowym i literackim“, styczeń—marzec 1887 r.) Rozprawa ta, jak się okazuje z tekstu, lubo wydrukowana w 1887 r., napisaną została w końcu r. 1885; ta okoliczność wyjaśnia, dlaczego w biografii poety pozostało tu parę informacyi, których błędność w przeciągu owego czasu wykazano, jako to data wyjazdu z Petersburga a więc długość pobytu w Odesie, oraz brak roztrząśnięcia domysłów dotyczących zapoznania się Mickiewicza z przyszłymi dekabrystami i tym podobnych szczegółów. To téż nie strona życiorysowa zasługuje w téj rozprawie na uwagę, tylko rozbiór twórczości Mickiewicza w Odesie, a mianowicie sonetów erotycznych. Po raz pierwszy znajdujemy tu dokładniejsze oznaczenie stosunku naszego poety do Petrarki, wskazanie podobieństw zachodzących pomiędzy pomysłami i słowami obu, oraz różnic w duchu i nastroju. P. Tretiak bardzo trafnie wyróżnia w sonetach Mickiewicza dwie wyraźne grupy, z których jednę odnosi do Maryli, drugą do stosunków odeskich. Tylko w sonetach do Maryli widzi wpływ Petrarki, ale zastrzega się zaraz, że chociaż ich jest dwanaście jedynie, można w nich znaleść większą rozmaitość uczucia niż w paruset sonetach piewcy Wokluzy, oraz większą rozmaitość siły, z jaką się ono wypowiada, ton liryczny niekiedy głębszy, używanie wszędzie żywych obrazów nie zaś symboliki. Ślady wpływu Petrarki dostrzega w miękkości tonu niektórych sonetów, w pewnych obrazach, za najbardziéj zależne od włoskiego wzoru poczytuje: „Ranek i Wieczór“ i „Do Niemna“. Pierwszy ma odpowiednik w sonecie: *La sera desiar, odiar l'aurora*; co do drugiego nie podaje autor szczegółowéj wskazówki. Natomiast broni sonet III („Mówię

z sobą“) od zarzutu „naśladownictwa wyraźnego trzynastu takiejże saméj treści sonetów Petrarki“, zrobionego przez A. Rzążewskiego, twierdząc, że „takiéj saméj treści niéma ani jednego sonetu u Petrarki“, a natomiast wykazując, że jest kilka mających *podobne* motywa pojedyńcze. Sonet p. t. „Rezygnacya“ uważa p. T. za przejściowe ogniwo pomiędzy sonetami do Laury-Maryli a poezyą miłosnym stosunkom odeskim poświęconą. Stosunki te roztrząsa następnie szczegółowo, o ile same utwory na to pozwalają, łączy z sonetami inne poezye w tymże czasie powstałe i daje barwny obrazek tego życia salonowo-zmysłowego i odpowiadającéj mu twórczości, jaką podczas pobytu wśród arystokratycznych towarzystw w Odesie poeta nasz rozwijał. Epigraf z Petrarki położony przez Mickiewicza na zbiorze sonetów słusznie podaje p. T. za wyraz przekonania poety, iż od miłości i miłostek zwrócił już myśl i uczucie swoje ku innym natchnieniom. Rzecz cała żywo skreślona.

= **T. M. Plauta komedyi pięciu parafrazy** *przez J. I. Kraszewskiego* (Złoczów. Nakł. O. Zukerkandla i Syna, 1888, str. 219). — Powieściopisarz nasz, siedząc w więzieniu w Moabicie r. 1883, dla oderwania się od dotkliwéj i bolesnéj rzeczywistości, obok tworzenia powieści oryginalnych, zajmował się także przekładem najdowcipniejszego z komedyopisarzów rzymskich, który chociaż brał tematy ze sztuk greckich, umiał im nadać wybitny koloryt miejscowy, rzymski. Plaut już w XVI wieku zwrócił u nas uwagę na siebie: Piotr Cikliński przełożył wówczas i wydrukował jednę z jego komedyi, nadawszy jéj tytuł „Potrójny“, spolszczywszy nazwiska i dołączywszy, niezbyt zresztą szczęśliwie, kilkaset wierszy własnego pomysłu. Po nim dopiéro Jan Wolfram, profesor filologii klasycznéj w Szkole Głównéj, zajął się Plautem i przetłómaczył 6 sztuk, z których cztery tylko wyszły z druku r. 1873 w Poznaniu; pomiędzy niemi znalazła się i ta, którą niegdyś przełożył Cikliński, ale pod właściwym tytułem: „Trojak.“ Następnie ks. Kantecki dał tłómaczenie „Bliźniąt“ (*Menaechmi*). Kraszewski jest czwartym z kolei tłómaczem Plauta i po raz trzeci przetłómaczył „Trojak“, ale obok niego dał jeszcze przekłady czterech innych: „Samochwał“, „Pasożyt“, „Rozbitki“, „Koszyk.“ Z tych tylko „Samochwał“ (*Miles Gloriosus*) znajduje się przełożony w rękopiśmiennéj spuściźnie po Wolframie. Tym sposobem, gdybyśmy wszystkie dotychczasowe tłómaczenia Plauta połączyli, otrzymalibyśmy osiem sztuk z ogólnéj liczby 20. Kraszewski przekłady swoje nazwał „parafrazami“ zapewne dlatego głównie, że niekiedy skracał dość długie rozmowy, że zwięźléj nieco wyrażał to, co znalazł w oryginale, nie przekształcał go jednak i rubasznych nawet dowcipów nie zacierał, dobiera-

jąc tylko tu i owdzie wyrazów i wyrażeń mniéj rażących obyczajowość dzisiejszą. Co do treści i nastroju parafrazy, te wiernie odtwarzają sztuki Plauta i mogą dać o nim dostateczne pojęcie.

= Z nowym rokiem rozpoczął w Krakowie wychodzić pod redakcyą Zygmunta Sarneckiego dwutygodnik ilustrowany literacko-artystyczny p. t. „**Świat**.“ Dwa pierwsze zeszyty tego wydawnictwa, które się dotychczas ukazały, usprawiedliwiły w części wielkie zainteresowanie, jakie poprzedziło pojawienie się nowego pisma. Redakcya położyła główny nacisk na stronę zewnętrzną i ilustracye, których wykonanie pod względem artystycznym zadowolić może istotnie nawet bardzo wybredne wymagania. Nie w tym samym stopniu odpowiedziała natomiast oczekiwaniom część literacka. Z wyjątkiem większego powieściowego obrazka p. t. „Murowanka“, pióra ś. p. Kraszewskiego, i fragmentu komedyi Zalewskiego „Syn Bogów“, na dział literacki złożyły się przeważnie drobne, przemijającéj wartości sprawozdawcze artykuły. Przy poważniejszém traktowaniu części redakcyjnéj, któréj brak w nowém piśmie dotkliwy (z wyjątkiem polemiki), oraz staranniejszym doborze poważnego materyału, „Świat“ zająćby mógł w piśmiennictwie galicyjskiém równorzędne stanowisko z ilustracyami warszawskiemi, dla których stał się już dziś poważnym konkurentem. *P.*





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Kto wśród nas najpopularniejszy?—Pozwala nam to odkryć choroba rabina Eiglera.—Tajemnica pod bokiem.—Obojętność na odsłonięty przez p. Nussbauma rożek zasłony.—Jak się żydzi dowiedzieli o tém, że Eigler zachorował?—Jakie są obowiązki rabinów i na czém się opiera ich potęga.—Tajemnica moralnego wpływu kapłanów.—Korzyści poważnego badania socyologicznego u nas.—„Nie wypada"; p. p. Choiński, Bogusławski, prasa postępowa i Prus —„Niezbite fakty" i osobliwy sposób dowodzenia szanownego felietonisty.—Para wniosków, wyciągniętych *à la* Prus ze statystyki.—Podręczny socyolog.—Wiadomostka ze Skandynawii ma nas przejednać z poligamią.—Zdanie uczonych i zdanie felietonistów.—Czy opinia publiczna i prawodawcy zasługują na zarzut „wścibstwa" i „plotkarstwa".—Mowa Prusa na rynku i prośba do niego od słuchaczów.

Kto jest najpopularniejszą, a przez to najbardziéj wpływową osobistością w granicach Królestwa Polskiego?

Pytanie ważne, które dziś nasunąć się może czyjemuś umysłowi teoretycznie, ale które w pewnych momentach stawiane bywa ogółowi całemu przez bieg wypadków.

Gdybyśmy z tobą, czytelniku, rozwiązywali tę kwestyę nieprzygotowani zupełnie, tak sobie, w gawędce, a przytém w Warszawie, to niewątpliwie jako kandydaci przyszli by nam na myśl: autor „Potopu", wynalazca termomikrofonu i magnetyzer, redaktor jednego kuryera, felietonista drugiego, prezes Towarzystwa Dobroczynności, Żółkowski, doktór Ch., doktór B., jaki hrabia, lub jaki Rotszyld miejscowy, albo wreszcie „nasz znany bankier X", o którym tak często „Kuryer Świąteczny" opowiada ucieszne anegdotki. Zdaje się, żebyśmy się mylili. Miarą popularności może być ilość ludzi, występujących z oznakami współczucia w razie nieszczęścia, choroby, śmierci. A prawdopodobnie, gdyby którakolwiek z wyżéj wspomnianych osób legła na łożu boleści, nie otrzymała by tylu świadectw przywiązania i pamięci, co rabin lubelski Eigler. Według korespondenta „Kuryera Codziennego", duchowny ten, będąc niedawno chorym obłożnie, otrzymywał *codziennie* po *paręset* listów i po *kilkadziesiąt* telegramów. W d. 12 np. stycznia otrzymał *120* depesz! Specyalny sekretarz przygotowywał buletyny o zdrowiu pacyenta i *je-*

dnego dnia wysłał 450 listów otwartych do wielbicieli chorego rabina. Zapytania i depesze przychodziły z całego Królestwa.

Pierwsza myśl, pierwsze wrażenie, jakiego się doznaje, czytając o tym fakcie, jest: jak przerażająco, jak niesłychanie różni się od naszego ten świat naszych *współobywateli*; ocieramy się oń bokami, a ani okiem sięgnąć tam nie możemy, ani uchem pochwycić dźwięku żadnego, ani dotknąć się go nie jesteśmy wstanie. Ten rabin Eigler wywierał niewątpliwie wpływ duży; jeżeli wyzdrowieje, kierować będzie nadal siódmą niemal częścią ludności krajowéj; jeżeli umrze pozostanie po nim wpływ niezatarty, a my o tym potentacie, o téj sprężynie niejednego wypadku doniosłego wiemy mniéj niż o oberwańcu, który tém się tylko odznaczył, że wygrał wielki los na loteryi i poszedł do szynku, aby przepić i stracić zdobyte losem pieniądze.

Wyroki, rozporządzania i rady tego zakopanego w jakimś lubelskim zaułku rabina mogły były dotknąć każdego z nas, mogły były zrujnować lub ocalić niejedną znajomą nam rodzinę, wywołać drożyznę w dziewięciu gubernialnych i paru setkach małych miasteczek, a gdybyśmy go spotkali w atłasowym żupanie w futrzanéj czapce w dzień skwarny, z pejsami niedbale zwieszonemi za uchem, uśmiechnęlibyśmy się może pogardliwie lub z litością. Sprobujmy z nim się rozmówić—my jego, a on nas nie zrozumie. Może nawet nie mówi wcale po polsku.

Wieść o chorobie Eiglera rozleciała się po kraju całym—jaką drogą? Przyzwyczailiśmy się do tego, że drukowane słowo jedynie ma szerszy rozgłos, że prasa jest jedynym dziś zbiornikiem i roznosicielem wieści, obchodzących szerszy ogół; tymczasem żydzi do środka tego nie uciekają się i uciekać nie potrzebują. Może „Izraelita“ i Hacfiro“ podały wiadomość, ale chyba z nich téż dowiedziéć się nie można było dokładnie, co zacz jest naprawdę mistrz Eigler, boć inne pisma niewątpliwie byłyby powtórzyły ciekawą biografią.

Słowém, choroba rabina lubelskiego jest jeszcze jednym objawém, stwierdzającym doskonale zresztą znane zjawisko, że od wieków pleni się wśród nas i rozrasta życie obce nieznane i niekontrolowane. Taka jedna drzazga w organizmie wystarcza, aby każde społeczeństwo doprowadzić do niemocy i nawet do zupełnego upadku. Podobne więc fakty, choć nic nowego w gruncie rzeczy nie mówią, powinny być bodźcem, powinny nam przypominać, że się dla przedarcia tych osłon i połamania parkanów robi albo bardzo mało, albo nic. Wychowańcy byłéj szkoły rabinów i ich rówiennicy potrafili w sercu swojém zespolić miłość przeszłości dwu narodów i ukochać jedną wspólną przyszłość, krzątali się i zrobili wiele;

dzisiejsze pokolenie bodaj czy pamięta o téj ważnéj części *obowiązków*.

„Rola“ może pomyśli, że dmucham na skrzydła jéj młynka;— nie, nie należy pracy społecznéj rozpoczynać od urągania, a nawet krytyki, jeżeli się nie poznało dobrze zjawiska, jeżeli się *równocześnie* nie stawia programu i sposobu rozwiązania kwestyi. Znać zewnętrzne przejawy, nie znaczy znać społeczność ludzką; tymczasem pobudki, pragnienia, cele, cierpienia świata żydowskiego, są nam tak nieznane, jak budowa i ruchy systemów pozasłonecznych. Pan Hilary Nussbaum w kilku książkach, bardzo interesujących i ważnych ze względu na treść, próbował pokazać tajniki wewnętrznego życia naszych semitów; książki te jednak ani rozgłosu odpowiedniego nie znalazły, ani należycie rozpatrzone nie były, a niewłaściwe przycinki, jakie odezwały się o nich tu i owdzie, świadczą, że nie rozumiemy jeszcze dobrze ważności i fatalnego zabagnienia kwestyi żydowskiéj u nas, żeśmy nie dojrzeli do należytéj pracy nad jéj rozwiązaniem.

Sprawa ta ma jeszcze drugą stronę. Rabin Eigler w Lublinie nie jest zjawiskiem odosobnioném. Podobnie wpływowych osobistości posiadamy w Królestwie więcéj. O kilka mil od Warszawy, w Grodzisku, rezyduje rabin, mający niezmierne zaufanie wśród swoich. Wyznawcy zakonu Mojżesza płyną nieraz do niego po błogosławieństwo, nauki, rady i pomoc, jakby na odpust do świętego miejsca. Grodzisk nie ma gdzie pomieścić pobożnych, pomimo że zajęte bywają wtedy nietylko strychy i sutereny, ale nawet stodoły i chlewki. Tłumy pątników nie składają się wyłącznie z chałatowych zacofańców, jedzie tam wielu i takich mieszkańców Warszawy, którzy ubierają się krótko i mają wyższe aspiracye, niż powodzenie w handlu. Na czém się opiera wpływ i popularność rabina? Z książki p. H. Nussbauma („Z Teki weterana warszawskiéj gminy starozakonnych“) dowiedzieć się możemy, że: „rabin na czele duchowieństwa stanowi zwierzchność religijną dla wszystkich spraw wyznaniowych i obrządków rytualnych“; jednakże „duchowieństwo bez przewodnictwa rabina ma również prawo wyrokowania w tych sprawach“. Rabin jest jako brylant w sygnecie: stanowi piękną i pożądaną ozdobę, ale bez niego doskonale obejść się można. Są też gminy, nie mające wcale rabinów. Pomiędzy pytaniami, zadanemi w 1807 roku sanhedrynowi żydowskiemu, trzy tyczyły się władzy i stanowiska rabinów:

Pytanie 7-e. Kto mianuje rabinów?

Odpowiedź. Forma wyboru nie jest określoną.

Pytanie 8-e. Jaką policyjną jurysdykcyą wykonywają rabini między żydami? Jakim policyjnym rygorem prawnym posługują się?

Odpowiedź. Nie mają żadnéj władzy.

Pytanie 9-e. Czy ich wpływ polega tylko na zwyczaju tradycyonalnym?

Odpowiedź. Tak.

Mamy więc do czynienia z siłą moralnego czysto charakteru.

W czasach, kiedy znaczenie autorytetów, podkopane jeszcze w XVIII wieku, znikać niemal poczyna i coraz to mniéj widoczną odgrywa rolę w życiu społecznem, a same autorytety są coraz rzadsze i coraz krócéj mogą cieszyć się zaszczytnem stanowiskiem, byłoby niezmiernie ciekawém ze względów ogólnych i teoretycznych zbadać, co stanowi źródło potęgi i wpływów rabina. Rozstrzygać téj kwestyi nie mogę i nie mam zamiaru, ale pragnął bym zwrócić uwagę na niektóre jéj strony.

Rabina poważanego musi cechować zapał religijny, o wiele przewyższający pobożność pospolitego wyznawcy, powinien on być przytém biegłym w nauce tajemnic i zaciekań zarówno w Talmudzie, jak i w innych wcześniejszych i późniejszych księgach świętych. Prócz tego obowiązany on jest robić różne cuda, jak równie być rozjemcą sędzią i pośrednikiem w różnych sporach bądź familijnéj, bądź honorowéj, bądź ekonomicznéj natury.

Niewątpliwie pobożność i uczoność, cudotwórczość i mądrość sędziowska są jednakowo nieodzowne do zdobycia poważania wśród wiernych, ale, kiedy chodzi o rozgłos i wpływ, daleko przekraczający po za granice miasteczka, powiatu, a nawet gubernii, to znaczenie tych przymiotów i atrybucyj jest chyba różne.

Pobożność żydowska jest oparta na spełnianiu różnych przepisów, znanych, utartych, wynaleść tam coś nowego jest bardzo trudno; można się jéj nauczyć; wszyscy rabini potrafią być jednakowo pobożni i wszyscy téż niemal dochodzą do téj saméj doskonałości. Znający rzecz, świadczą, że nawet liberalni rabini, ktorzy na cztery oczy rozumują racyonalnie i wolni są od śmiesznego uwielbienia dla form, z których dawno już duch uleciał, pilnie jednakże przestrzegają spełnienia wszystkiego, co tradycya nakazała, a wyznawcy czczą. Na téj drodze trudno jest więc bardzo się wyróżnić i zasłynąć.

Każdy rabin siedzi w mądrości judaistycznéj po uszy, czyta, odczytuje, uczy się na pamięć. Jeden nie może umiéć o wiele więcéj od drugiego, gdyż wszyscy czerpią z jednego źródła A że ksiąg jest dużo, więc dla zwyczajnego chałaciarza *każdy* rabin jest niewyczerpaną skarbnicą mądrości, i tak by mu trudno było wyszukać między nimi różnicę, jak zrozumiéć o ile jeden matematyczny symbol nieskończoności wyraża więcéj niż inny. Sama też czysta mądrość talmudyczna nie może stworzyć jasnéj, daleko widzianéj aureoli.

Następują cuda. Ponieważ żaden rabin cudu nigdy nie zrobił, więc też i to nie jest jedyném źródłem ani rozgłosu, ani potęgi. Mogą być sprzyjające wypadki, zbieg okoliczności, to prawda, ale trudno przypuścić, aby *zawsze* działał ślepy traf.

Pozostaje ostatnia rola—rozjemcy i sędziego. Tu już różnice mogą być olbrzymie. Taine w pierwszym tomie dzieła: „o Pierwocinach Francyi“, tłómacząc powstanie feodalnego ustroju, robi uwagę, że nikt za darmo nie został przybrany we władzę i powagę, lecz musiał oddać istotne usługi. To niewątpliwie da się zastosować do wielu popularnych rabinów. Człowiek, osłonięty opinią świętości, a przytém mający w głowie nietylko paradoksalnie wykrzywione zdania Talmudu, lecz także odpowiedni talent, znajomość serca i umysłu ludzkiego, jego słabości i namiętności, znajomość stosunków, może niechybnie zrobić wiele dobrego dla swoich współbraci, zażegnać nie jedną burzę, odwrócić nie jedną ruinę itd. Taki człowiek potrafi wyzyskać skuteczniéj swoją wiedzę książkową, jaśniéj zabłysnąć nią w oczach tłumu, częściéj mu się cuda udają,—chociaż sądzę, że daléj dochodzi sława sprawiedliwych wyroków, trafnych przedstawień spraw zawikłanych, niż naprzykład cudowne zaradzenie na bezpłodność, tém więcéj, że to ostatnie musi się rzadko zdarzać. Niejeden z nas słyszał w świecie chrześciańskim o wielkim talencie rabinów do mądrego rozstrzygania sporów. P. Nussbaum zwraca uwagę, że w gminach, gdzie rabin prezyduje duchowieństwu, mniéj jest spraw czysto żydowskich, wynikających ze stosunków handlowych, towarzyskich lub rodzinnych.

Wpływ rabinów, dzięki społecznéj ich mądrości—jeżeli przypuszczenie nasze jest słuszne—nie byłby zjawiskiem odosobnionêm; wszędzie niemal u narodów wygasłych i obecnie żyjących w ich fazie ustroju teokratycznego, gdzie tylko widzimy duchowieństwo otoczone powagą i zaufaniem, tam oddaje ono realne usługi społeczeństwu, kierując jego życiem moralném i zadawalniając jego potrzeby duchowe; odwrotnie też, prawdziwie, doczesnie pożyteczne duchowieństwo otoczone jest czcią narodu. Socyolodzy znają to zjawisko i starają się odszukać i zbadać w niém pierwiastki, które wytwarzają siłę i autorytet moralny. W tym celu odbywają podróże za oceany, spędzają miesiące całe wśród dzikich, odczytują hieroglify, z mozołem niesłychanym badają każdy pyłek pozostały z przeszłości. My mamy podobny objaw pod bokiem, moglibyśmy go zbadać w przeszłości i w teraźniejszości; socyolodzy nasi mieli by doskonałe pole do pracy i do pozyskania nawet szerszego rozgłosu.

Prócz tego w zjawisku powagi rabinów tkwi jeszcze jedna osobliwość, którą bodaj czy gdzieindziéj spotkać można. Zwykle dla

duchowieństwa złoty okres trwa tylko przez czas ograniczony. Społeczeństwo coraz mniéj potrzebuje kapłanów, a przytém oni, jako organ, którego użyteczność zanika, demoralizują się, zamiast dawnéj czci ściga ich teraz urąganie i złośliwe szyderstwo. Tutaj o ile my z zewnątrz widziéć możemy, powaga władzy duchownéj przekazywaną jest, lub przynajmniéj długo była, z pokolenia na pokolenie bez żadnéj straty.

Rzecz prosta, że wyjątkowość położenia żydów zmniejsza doniosłość ogólną zjawiska; były przyczyny szczególne, którzy zmuszały ich do większego skupiania się wierzeń, egzaltacyi itd., ale położenie *każdego* społeczeństwa jest wyjątkowe, a jednak z życia Egipcyan starożytnych może socyolog wyciągnąć niejedną pouczającą prawdę dla Francyi; wszelkie pierwiastki społeczne należy badać w różnych przejawach, przy różnych warunkach.

Zresztą, jeżeli były powody, które czyniły z żydów społeczeństwo podatniejsze i czulsze na wpływy moralne, to były i inne zobojętniające. Jako klasa kupiecka, grzęźli oni zawsze w zabiegach materyalnych i ciągle czcili potęgę cielca złotego.

Zjawienie się wśród nas jednego choćby, poważnego badacza, albo nawet badania społecznego, prócz bezpośredniego pożytku przyniosło by prawdopodobnie i uboczną, ale tém nie mniéj ważną bardzo korzyść, a mianowicie przyprowadziło by może do upamiętania tych naszych niedzielnych socyologów, którzy z wnioskami i wywodami postępują sobie z taką śmiałością i tak bez ceremonii, jak gdyby żyli w epoce, kiedy jeszcze ani o jakichś pewniejszych wnioskach, ani o metodzie badań i rozumowania mowy nie było. Bardzo charakterystyczny przykład takiego socyologowania znaleść można w „Kuryerze Codziennym“, w „Kronice“ Prusa w nrze 22 z r. b.

P. P. Wołowski i Kotarbiński napisali pięknym stylem, udramatyzowaną deklamacyą p. t. „Nie wypada“, a teatr warszawski wystawił ją w ciągu ubiegłego miesiąca. W sztuce téj podniesione są między innemi piękne cnoty, zdobiące t. z. postępowców warszawskich, konserwatyści zaś zostali pohańbieni. Prócz tego p.p. Kotarbiński i Wołowski „zachęcają jeszcze społeczność—przytaczam słowa Prusa—do niejakiéj pobłażliwości dla związków t. zw. nielegalnych i dzieci nieprawych“. Sztuka została przez krytykę przyjęta nieprzychylnie, a p. p. Bogusławski i Choiński w dwu Kuryerach ostro zaatakowali tendencyą w imię obrony społeczeństwa od „najazdu antispołecznych instynktów.“ Prasa postępowa zgromiła znowu surowo dwu tych recenzentów, przyczém o rzeczy mówiło się bardzo krótko, a wiele o osobach krytyków. Prus gromi również, ale najzupełniéj przedmiotowo, za to rozumuje...

Socyalne wystąpienia Prusa odbywają się zwykle pod hasłem oryginalności i realizmu, a fundowane są na prostym bardzo racyonalizmie, który w XVIII wieku był modny, ale dzisiaj wychodzi zupełnie z użycia we wszystkich niematematycznych naukach.

Opowiedziawszy o co chodzi autorom „Nie wypada" i krytykom, szanowny felietonista tak rozumuje:

„Otwieram statystykę i widzę: że dzieci nieprawe stanowią w Europie 10% nowonarodzonych, że stosunek ten, np. w Niemczech, olbrzymio (?) wzrasta i to już od roku 1826-go".

„Fakta te uczą, że rozwój cywilizacyi i uspołecznienia nie cierpi *nic* na dzieciach nieprawych i związkach nielegalnych".

Co za przedziwna i prosta niewybredność w gromadzeniu danych, jaka zadziwiająca łatwość wysnuwania wielkich prawd z maleńkich napozór ziarnek! Taka metoda doprowadzić może do niesłychanych rezultatów, sprobujemy jéj użyć:

W roku x padał grad n razy, w roku y zaś $n+5$ razy; w roku y urodzaj był większy niż w roku x,—więc grad nie szkodzi zbożu.

Albo: statystyka poborowa wskazuje, że od roku 1864 ludność Królestwa jest coraz wątlejszą, a więc bat ekonomski i pańszczyzna zbawiennie wpływały na zdrowie chłopa, wolność zaś mu nie służy.

Jeżeli przykłady moje nie przekonają Prusa, to niech się uda do pierwszego lepszego podręcznika bądź statystyki, bądź ekonomii politycznéj, w którym się mówi o metodzie wnioskowania. Cyfry statystyki są tylko drobną cząstką danych w każdéj kwestyi społecznéj, a Prus chce je poprostu odczytywać, jakby były magicznym kluczem, którym uczony badacz zapisuje słowa ostatecznéj prawdy.

Daléj Prus w bezimiennéj swojéj statystyce znajduje: „że dzieci nieprawe są, wogóle biorąc, wątlejsze od prawych i skłonniejsze do chorób umysłowych i samobójstwa", to wywołuje znowu takie rozumowanie:

„— Dlaczego—pytam lekarzy—dzieci nieprawe są wątłe i zdenerwowane".

„— Gdyż ich matki cierpią z powodu prześladowań przez opinią publiczną" (a zmartwienie opuszczonéj kobiety i bieda nic nie znaczą?).

„— A dlaczego—pytam socyologa—zwiększa się ilość dzieci nieprawych"?...

„— A to, widzisz pan, coraz trudniéj jest żyć ludziom w związkach legalnych. Małżeństwo to rzecz kosztowna i nie dla wszystkich dostępna".

Gdzie u Boga-Ojca znajduje Prus w Warszawie socyologa tak na zawołanie? W każdym razie można mu życzyć, aby zmienił doradcę, gdyż ten, którego w tym razie użył, bywa albo niezawsze przytomny, albo nie chce poważnie rozprawiać z autorem „Placówki“. Naprzód, skąd on wziął, że od roku 1826 ze względów ekonomicznych *trudniéj* jest żyć ludziom w związkach małżeńskich? Wygląda to raczéj na zrzędzenie staruszka, wzdychającego za minionemi latami młodości, a nie na ścisłe rozumowanie, oparte poważnie na danych. O ile wiadomo, ogólnie biorąc, w zahaczonym okresie dobrobyt w Europie wzrósł, a przynajmniéj nie zmalał. Ale mniejsza z tém, jeżeli nawet ten punkt da się bronić, to w każdym razie pojąć trudno dla czego małżeństwo z dziećmi ma być kosztowniejsze niż związek nielegalny również z dziećmi. Nikt chyba nie słyszał, aby dla małżeństw legalnych cena mieszkań była wyższą, a produkty spożywcze na targach lub towary w sklepie—droższe. Sam akt ślubu, pomimo że w kancelaryach parafialnych w Warszawie panuje zwyczaj niewydawania reszty z rubla danego na zapowiedzi, nikogo jeszcze nie zrujnował. Cała różnica ekonomiczna związków dwojakiego rodzaju jest ta, że w legalnych mężczyzna myśli o zapewnieniu bytu rodziny, a w nielegalnych, w ogromnéj większości wypadków, na utrzymanie dziecka, lub dzieci pracować musi wątła, o wiele mniéj zdolna do zarobkowania, matka. W pierwszym wypadku ojciec przyjmuje obowiązki względem rodziny przed państwem i społeczeństwem, państwo téż i społeczeństwo mogą dopilnować wykonania, kiedy w drugim nie ma żadnéj gwarancyi, że strona słabsza nie zostanie skrzywdzoną. A więc opinia publiczna, broniąc pierwszy rodzaj związków i potępiając drugie, nie jest może tylko „wścibstwem“ i „plotkarstwem“ i należy jeszcze rozważyć czy godzi się w tym razie „walczyć z nią“. Ale do pytania tego wrócimy jeszcze, tymczasem zaś rozpatrzmy dalsze wywody Prusa.

„Kwestya legalności związków—mówi on,—albo prawności urodzenia, nie istnieje w chwilach poważnych życia. Człowiek, który się udławił, nie pyta lekarza: za pozwoleniem! a może pan jesteś dzieckiem nieprawém?... Tonący, gdy mu kto podaje rękę, nie mówi: *Attendez*!.. dowiem się najprzód, czy pan nie pielęgnujesz związków nielegalnych“...

Czy, dławiący się kością pyta lekarza: może pan przy rewizyach poborowych bierzesz łapówki? Czy tonący zwraca uwagę, że— wyciągnięta doń ręka należéć może do mordercy, potwarcy, zdrajcy i t. d.? A więc i złodziejstwo, podpalanie, ojcobójstwo w *poważnych* chwilach życia nie istnieją, i one też niezawodnie ujmy nie przynoszą, a opinia publiczna, ścigając je, popełnia „wścibstwo“.

i „plotkarstwo“, należy przeto je zwalczać. Chyba w obu razach rozumowanie jest identyczne?

Dalej czytamy: „Kiedy w Warszawie literaci wołają: „trzeba odróżnić przyzwoitość światową od obrony zagrożonego społeczeństwa“, w Skandynawii (pracowitszéj i oświeceńszéj od nas) są literaci (jak zapewnia niepodejrzane *Słowo*), którzy zalecają... wielożeństwo!.. Jakiś p. Gejgersjam jeździ po Danii z odnośnymi odczytami—znakomity lekarz Nissen na podstawie medycyny i higieny twierdzi, iż w interesie rozwoju liczebnego ludności niezbędném jest wielożeństwo, a po ulicach Chrystyanii biega tłum wołający: niech żyje wolność, niech żyje wielożeństwo!“

„Proszę mi teraz powiedziéć—konkluduje nasz liberalny feljetonista, —gdzie jest „bezwzględna prawda“: w Warszawie, czy w Chrystyanii?“

Dziwna rzecz, Prus jest od lat tylu dziennikarzem a nie wié jeszcze, że gazeciarskich wieści tego rodzaju w poważnéj sprawie nie można wcale brać pod uwagę. W r. 1883 obiegła świat pogłoska, że manewrujący korpus francuski przez omyłkę zajął Genewę. Czytaliśmy opisy manifestacyj w Paryżu, które nigdy miejsca nie miały; świeżo gazety lwowskie udzieliły nam wiadomości o spoliczkowaniu tam na miejscu, we Lwowie, pewnego pisarza politycznego, co późniéj zostało zaprzeczone. A u nas w Warszawie, co się nieraz nakomponują reporterzy o wypadkach miejscowych, a jeszcze bardziéj, co piszą najserdeczniejsi o nas w niemieckich naprz. gazetach. Kupy śniegu, wzięte na barykady, nie mają w sobie nic nadzwyczajnego. Cóż więc warta gazeciarska pogłoska o społecznéj rewolucyi w Chrystyanii, gdzie zapewne żadne pismo polskie naprawdę korespondenta nie ma, i o sprawdzeniu mowy być nie może.

Kto nam zaręczy, że „jakiś“ p. Gejgersjam, jeżeli wogóle istnieje, nie jest maniakiem. We Francyi bardzo długo podczas każdych wyborców stawiał kandydaturę swoją człowiek, propagujący ni mniéj ni więcéj tylko *antropofagią*! Należałoby dowiedziéć się, czy rzeczywiście p. Nissen jest „znakomitym lekarzem“; dodatek, iż swoje postulaty opiera na podstawie medycyny i hygieny nic nie dowodzi; nauka zna wiele kukułczych jajek, które jéj nieuctwo lub maniactwo podrzucało, trzeba by wprzód cokolwiek chociaż wiedziéć jakich mianowicie argumentów używa ta znakomitość

Pracowity i oświecony Paryż ma pannę Michel, pannę Barberousse i inne awanturnicze histeryczki; czemu by ich miéć nie mogła Chrystyania, i czemu nie miałyby one wykrzykiwać na ulicach różnych błazeństw. Dodatek o tém, że *wszyskie* kobiety stanę-

ły po stronie teoryi wielożeństwa, sam już czyni podejrzaną całą wersyą.

O wiele mniéj ryzykowne było by powołanie się na mormonów, jeżeli chodziło o przykład istniejącego wielożeństwa. Ale cóż to dowodzi? czy jedna anomalia tuła się po świecie? mormoni byli, wkrótce ich może nie będzie, a rozwój społeczny potoczy się koleją, jaką kroczył dotąd, utrwalając coraz mocniéj jednożeństwo i broniąc rodzinę, pierwszy fundament społeczny, od napaści rozpusty i anarchicznych teoryj.

Może za śmiałe wypowiedziałem twierdzenie, postaram się je uzasadnić świadectwem autorów, znanych lepiéj niż p. p. Gejgersjam i Nissen, autorów, których argumenty są nam dostępne, których badania przeszły przez analizę krytyki, również nam znanéj.

August Comte, fundator socyologii, uważał małżeństwo i rodzinę, uświęconą przez władze duchowe i świeckie, za tak ważny niezbędny warunek dobrobytu, ba, samego nawet istnienia społecznego, że nietylko surowo potępia wszelkie wykroczenia, nietylko jak najbardziéj stanowczo przeciwny jest rozwodom, ale zaleca nawet wieczne wdowieństwo, aby monogamia nie była niczém skażoną. W główném swém dziele, „*Système de politique positive*“, na wielu kartkach powraca do tegoż samego przedmiotu, szczegółowy zaś rozbiór społecznego znaczenia rodziny i warunków koniecznych dla jéj pomyślnego rozwoju znajduje się w tomie 2-im w rozdziale 3-im. Na str. 237 tomu 1-ego czytamy między innemi:

„Zasadniczy ten związek (małżeństwo), ażeby osiągnąć cel istotny, musi być jednocześnie wyłącznym (monogamia) i nierozwiązalnym. Te dwie cechy są mu tak właściwe, że nawet związki nielegalne dążą do ich ujawnienia. Tylko zupełny brak zasad moralnych i społecznych obecnéj chwili pozwala zrozumiéć, że się poważono postawić doktoralnie płochość i zmienność uczuć, jako zasadnicze rękojmie szczęścia ludzkiego“. A nieco daléj: „Zachodnie jednożeństwo stanowi jedną z najcenniejszych instytucyj, jakie zawdzięczamy wiekom średnim. Ono najbardziéj może ze wszystkiego przyczyniło się do uderzającéj wyższości wielkiéj dzisiejszéj rodziny.“

Drugi znakomity twórca nauki społecznéj *Le Play*, który wytworzył potężną szkołę badań pierwszorzędnych, gromadzącą od pół wieku biblioteki całe dokumentów, zebranych we wszystkich zakątkach pięciu części świata (do téj szkoły należą między innymi znakomitościami: Hipolit Taine, August Cieszkowski), dojrzał w rodzinie jeszcze ważniejszy pierwiastek bytu społecznego. „Cały system jego można zawrzéć w jedném słowie: „*przetworzenie społeczeństwa przy pomocy rodziny*“—powiada Ribot. W „*La constitution essen-*

tielle de l'humanité" sam Le Play mówi: „Organizacya rodziny (równie jak Comte nazywa ją zasadniczą instytucyą ludzkości) przeobraża się, to prawda, zależnie od miejsca, a w każdém miejscu skład osób przez narodziny i zejście ulega nieustannym zmianom. Cel jednak jest osiągnięty i społeczeństwo rozwija się pomyślnie, jeżeli zmiany te podlegają pewnym stałym zasadom. Jak tylko wkrada się niestałość, rodzina cierpi i natychmiast społeczeństwo upada (dépérit)".

A. Giraud-Teulon, profesor uniwersytetu genewskiego, autor wielu dzieł społecznych, którego jedna praca została przetłómaczona na język polski i dziwną ironią losu dała pochop i niby zasadę do różnych bluźnierstw przeciwko rodzinie, w drugiém wydaniu tegoż dzieła *(Les origines du mariage et de la famille)* powiada na wstępie: „W naszych oczach niema rodziny bez matki i *żony*, a bez rodziny społeczeństwo traci podstawę najbardziéj istotną, najbardziéj elementarną". W zakończeniu zwraca uwagę, że wszystkie badania nad ewolucyą rodziny stwierdzają, iż była ona nieustanną i główną dźwignią społecznego postępu, iż ona to wytworzyła właściwie człowieka ze zwierzęcia, iż rozwija się ciągle w jednym kierunku, szlachetnieje, staje się coraz stalszą i szanowniejszą. „Cywilizacya— mówi on—w ostatecznéj analizie spoczywa w naszych czasach na zasadzie rodziny jednożennéj, tj. na wierności małżeńskiéj."

Mógłbym ilość cytat pomnożyć bardzo, o ile wiem, żaden poważny socyolog nie negował nigdy pierwszorzędnego znaczenia rodziny dla pomyślności społecznéj. Nie mam zresztą zamiaru przekonywać Prusa—żyjemy w czasach, kiedy lekceważenie autorytetów i zdania ludzi kompetentnych stało się niemal obowiązującém. Liczę tylko, że chociaż szanowny feljetonista powołanie się swoje na statystykę, jak również świadectwo owych lekarzy i socyologa uważa za „fakty niezbite", to jednak zastanowi go może ta jednomyślność i stanowczość ludzi niepowszednich, należących do różnych kierunków, którzy badaniom socyalnym poświęcili całe życie, mieli tysiące danych sprawdzonych, zanalizowanych, umieli ściśle myśléć i nareszcie nie wypowiadali zdań swoich, nie pisali dzieł pod wpływem chwilowych wrażeń czy natchnienia, lecz oburącz trzymali się wypróbowanych w nauce metod. Argumenty ich mogą do przekonania nie trafić, ale powinny zachwiać pewność, opartą na tak kruchych podstawach, jak te, które Prus przytoczył, a to już powinno powstrzymać autora od występowania wprost czy ubocznie w popularnéj rubryce przeciwko świętości rodziny i od głoszenia, że „związki legalne i nielegalne są *kwestyą drugorzędną*" wobec próchnienia zębów u młodzieży radomskiéj.

Jeżeli ci uczeni mają racyą, jeżeli legalny związek małżeński jest warunkiem nietylko pomyślności, ale bytu nawet całego społeczeństwa, to może i prawodawcy *wszystkich* narodów (też zwykle nie pierwsi lepsi czciciele przesądów) i opinia publiczna, nazwana przez Prusa „wścibstwem i plotkarstwem“, mają racyą, ścigając wszelkie przejawy wykroczenia przeciwko rodzinie. Jeżeli nie uczeni się mylą, lecz nasz feljetonista, to należy wszczepić w duszę każdego wstręt i odrazę do występków, godzących w fundament naszego bytu—w ten tylko sposób powstają w nas pojęcia o tém, co złe i co dobre. Każde szlachetniejsze serce oburza się, widząc, że nietolerancya opinii ściga nieraz ludzi w gruncie niewinnych; pracować należy, aby humanitarne uczucia złagodziły wogóle obyczaje, ale gdzie tylko interes społeczny staje w sprzeczności z popędami egoizmu indywidualnego, tam indywiduum cierpiéć musi. Jest to złe zapewne, ale złe nieuniknione. Żyjemy na ziemi, daleko od doskonałości, musimy więc dźwigać często bardzo dolegliwe brzemię mizernych losów naszego rodu.

Prus tak wziął do serca niewłaściwość szacunku dla legalnéj rodziny, że pragnął by nawet w téj sprawie przemówić na rynku.

„Mowy moje—powiada—odznaczały by się zwięzłością. Damy i panowie pozwólmy ludziom być szczęśliwymi wedle ich własnego uznania!... itd.“

Gdyby słuchaczami w takim wypadku były pensyonarki lub młodzież męska w wieku krytycznym, kiedy w wyobraźni kiełkować poczynają plany przekształcenia świata, to niewątpliwie mówca usłyszał by gorące oklaski i gromkie okrzyki uniesienia. Ludzie zaś znający rzecz przerwali by mu prawdopodobnie temi słowy:

— Kochany panie Bolesławie! Co nam tu będziesz prawił takie stare bajki. Rousseau już sto lat przed tobą (a przed nim pewnie i inni) zawracał podobną piosenką ludziom głowy. Uwierzyli mu i to było przyczyną wielu fatalnych prób politycznych i społecznych. Od tego czasu uczeni—filozofowie napisali wielotomowe dzieła, aby rozbić popularne, a fałszywe hasło, zatrzéć w umyśle ludzkim faktami i rozumowaniem formułkę genewskiego poety-filozofa. Wymyślić coś nowego—bardzo trudno, zbłądzić, zaufawszy zbytnio samemu sobie bardzo łatwo. Jesteś pan pisarzem, który umie czuć i myśléć, chwycić za serce, rozweselić i przekonać, zdobądź się pan na nieco sceptyczmu względem własnego natchnienia socyologicznego, a niewątpliwie i talent pański i dobre chęci staną się o wiele owocniejsze.

Ludwik Straszewicz.

Pojedynek i sądy honorowe. — Zajmowanie się dziennikarstwa sprawami ludu.

W jednym z organów naszéj prasy ogłoszono przed kilkoma miesiącami list, zawierający oskarżenie przedstawicieli pewnéj poważnéj instytucyi publicznéj o postępowanie niewłaściwe w sprawie, mającéj styczność z ich stanowiskiem urzędowém. Rezultatem tego listu była umieszczona w gościnnych dla jednéj lub drugiéj strony łamach pism peryodycznych polemika stron zainteresowanych, lub w jakikolwiek sposób sprawą dotkniętych. Był to rodzaj rozprawy adwokackiéj, w któréj każda strona część tylko prawdy, odpowiednio do swych widoków oświetlonéj, przed forum opinii publicznéj wytaczała. W powodzi produkcyi dyalektycznych, opinia są Ізąса zbyt mało miała złożonego materyału dowodowego, żeby mogła odbyć sumienną a dokładną „*enquete judiciaire*“ i wydać stanowczy wyrok. Dla tego też publiczność podzieliła się na obozy, kierując się stopniem „sentymentu“ raczéj dla téj lub drugiéj strony, niż opartém na faktach przekonaniem, a kwestya sama pozostaje właściwie nierozstrzygniętą i dotąd. Nie o saméj jednak kwestyi głównéj w chwili obecnéj mówić zamierzam, gdyż i ja żadnych nowych dowodów, rozstrzygających sprawę, nie posiadam. Gdyby to było możliwém, byłbym nawet rad, żeby czytająca publiczność nie wiedziała o jakiéj sprawie mowa. Ponieważ jednak po przeczytaniu trzech pierwszych w téj materyi wierszy rzecz się stała dla każdego „sekretem poliszynela“, o jedno więc tylko proszę czytelnika, żeby wraz ze mną kwestyę osób pozostawił na uboczu, a sprawę jedynie w treści sobie uprzytomnił. Rzecz szła o to, czy zarzuty czynione pewnéj grupie osób, a co najważniejsza przedstawicielom instytucyi publicznéj, były słuszne lub niesłuszne. Otóż w liczbie środków dowodowych, jakich strona, któréj zrobiono zarzuty użyła, było wyzwanie oskarżyciela na pojedynek.

Muszę się zastrzedz, że nie jestem bezwarunkowym nieprzyjacielem obyczaju pojedynkowego. Znajduję owszem, że są wypadki, w których pojedynek jest odpowiednią, może nawet jedyną — w obecnéj chwili rozwoju społecznego—drogą restytucyi pokrzywdzonych praw jednostki. Pomimo przypadkowości rezultatów pojedynku i zależności ich raczéj od specyalnych uzdolnień—znajomości fechtunku, celności strzału itp.—niż od tego po czyjéj stronie jest słuszność moralna, nie można jednak zaprzeczyć, że pojedynek jest jedynym środkiem, za pomocą którego rycerz, gentleman zmywa w oczach społeczeństwa plamę policzka, wogóle obrazy czynnéj,—odzyskuje dawne swe miejsce w towarzystwie i utrzymuje na wodzy tych, coby go nieraz dotkliwie pokrzywdzili, gdyby wiedzieli, że

krzywda ta ujdzie im bezkarnie. Takiéj satysfakcyi państwo pokrzywdzonéj na honorze jednostce dać nie jest w stanie, musi więc w pewnym stopniu stosować do pojedynkujących się teoryę o obronie własnéj. Dla tego też im nowsze prawodawstwo, tém łagodniejsze przeciw pojedynkującym się kary ustanawia. Jeżeli państwo coraz łagodniéj pojedynkujących się sądzi, to opinia publiczna nieraz nawet wprost wymaga pojedynku, jako dowodu, że pokrzywdzony umié swéj nietykalności rycerskiéj bronić.

Czy w tém stadyum rozwoju opinii publicznéj będziemy należyć do wielbicieli pojedynku, znajdując, że rozwija on cnoty rycerskie—odwagę, subtelność poczucia honoru,—czy też będziemy tylko znosić ten obyczaj, jako „*malum necessarium*", wierząc, że kiedyś przyjdzie wiek złoty, w którym wojny, pojedynki i wszelkie gwałty ustaną, w każdym razie musimy się liczyć z istniejącym w obecnéj chwili obyczajem i powinniśmy się starać uregulować go przez odpowiednie wyrobienie opinii publicznéj tak, aby jak najmniéj niesprawiedliwości i szkody społecznéj sprawiał.

Z tego właśnie punktu widzenia chciałbym powołać czytelników do zastanowienia się wraz ze mną, czy w takiéj, jak wzmiankowana sprawie, pojedynek był środkiem rozstrzygnięcia w treści saméj i w sposobie wykonania odpowiednim. Wyżéj wzmiankowałem, że pojedynek jest względnie odpowiednim, t. j. prowadzącym do celu środkiem tam, gdzie chodzi jedynie o poskromienie krzywdziciela i o przekonanie społeczeństwa, że obrażony jest dość odważnym, by swojéj nietykalności — czynem lub brutalném słowem dotkniętéj— bronić, chociażby z narażeniem życia, jedném słowem tam, gdzie zniewaga ma charakter formalny, t. j. zewnętrzny. Ale w tych wypadkach, gdzie nie o formę, lecz o treść zarzutu chodzi, gdzie zrobionym jest — ewentualnie w przyzwoitéj zupełnie formie — zarzut o spełnienie czynu hańbiącego, tam pojedynek do celu nie prowadzi, gdyż nie rozstrzyga kwestyi, czy zarzut był słuszny, czy niesłuszny. Można być odważnym, a jednak nieuczciwym. Znane są typy rycerzy przemysłu, awanturników, zuchwalców, którzy są jednocześnie oszustami, szulerami i t. p. Tacy odważni zresztą jegomościowie kwalifikują się wprost na ławę karną. Ale może być i inne położenie. Może być przecież komuś zrobiony zarzut o spełnienie czynu, niekwalifikującego do więzienia, do użycia przeciw niemu środków represyi państwowéj, a jednak nieszlachetnego, niehonorowego. Jaki jest najskuteczniejszy środek do rozstrzygnięcia, czy podobny zarzut jest słuszny, czy niesłuszny, czy plama na dotkniętym oskarżeniem ciąży, czy nie? Pojedynek kwestyi takiéj nie rozstrzyga. Sądy państwowe znów nieraz same uznają swą nie-

kompetencyę w sprawach podobnych i rzeczywiście mogą być kompetentnemi w bardzo rzadkich chyba i wyjątkowych tego rodzaju wypadkach. Jedną, jedyną drogą, którą kwestya słuszności lub niesłuszności takiego zarzutu honorowego może być rozstrzygniętą, to sąd honorowy, który albo kończy sprawę ostatecznie, albo też, rozstrzygnąwszy stronę wewnętrzną kwestyi, pozostawia następnie stronom załatwienie obrazy formalnéj — drogą pojedynku, przeproszenia, odwołania i t. d. i t. d.

Jeżeli zarzut, dotyczący spełnienia czynu nieuczciwego w życiu prywatném, domaga się niejako sądu honorowego, to zarzut, imputujący czyn podobny, spełniony jakoby na stanowisku publiczném, czyni sąd podobny wprost koniecznym. Człowiek prywatny może nie chcieć poddania swéj sprawy pod wyrok sądu honorowego z powodu, że jest osobiście niepopularnym, że pojęcia jego i czyny tak dalece odbiegają od przeciętnéj normy form społeczeństwa, wśród którego żyje, iż nie wierzy w możność znalezienia sędziów nieuprzedzonych do niego. Ale ten, kto został wybranym przez pewne koła społeczne do reprezentowania go, widocznie cieszy się uznaniem i sympatyą wielu. Z drugiéj strony ten, kto przyjął pewien mandat publiczny na siebie, już przez to samo poddał się pod kontrolę opinii publicznéj i obowiązany jest przed nią zdawać sprawę ze swych czynności. Jeżeli mu to niedogodne, niech złoży mandat i wraca do życia prywatnego. Ale skoro przyjął stanowisko i pozostaje na niém, to musi przyjąć i wszelkie jego konsekwencye. *Il faut se soumettre, ou se demettre.*

Skoro stojącego na stanowisku publiczném opinia ma prawo przed swój sąd powoływać, to naturalném jest, iż wezwanie przed ten sąd opinii nie jest czynem, któryby sam w sobie dawał prawo do potępienia oskarżyciela. Niejednokrotnie wprawdzie spotyka skarżącego — jeżeli zwłaszcza skarży głośno, *coram publico* — zarzut sformułowany w przysłowiu: „zły to ptak co własne gniazdo kala“; ale mojém zdaniem zarzut ten bardzo często pod fałszywym bywa kierowany adresem, t. j. nie pod adresem tego, który gniazdo zabrzydził, ale tego, który woła, że należy zabrzydzone gniazdo oczyścić. A jednak, jeśli ktoś spostrzeże płomień, to obowiązkiem jego krzyknąć „gore“ i pobudzić sąsiadów. Tak samo i w sprawach społecznych. Jeśli spostrzegamy, że szkodliwa jakaś dla społeczeństwa zaraza szerzyć się zaczyna, to powinniśmy ostrzedz o tém społeczeństwo i zażądać przedsięwzięcia środków obronnych.

Powtarzam więc, że pociągnięcie winnych nadużycia funkcyonaryuszów publicznych przed sąd opinii nie tylko nie jest czynem nagannym, ale przeciwnie jest obowiązkiem obywatelskim. Ale

może się zdarzyć oskarżenie niesłuszne. Co ma czynić w razie podobnego oskarżenia dotknięty ciężko na honorze i dotknięty podwójnie: raz jako funkcyonaryusz publiczny, powtóre jako człowiek prywatny?

Ma on dwa obowiązki do spełnienia: jeden publiczny—to dowiedzenie ogółowi, opinii, że zarzut był niesłusznym; drugi prywatny — to obrona swego honoru osobistego. Z pomiędzy tych dwóch obowiązków (będących zarazem i prawem), który ma niesłusznie pokrzywdzony wypełnić wpierw?

Na to pytanie chyba nie może być dwóch odpowiedzi. Sprawa publiczna zawsze powinna iść przed prywatną.

Smutna jest przeto rzecz, gdy publiczna sprawa schodzi wobec prywatnéj na drugi plan, a jeszcze smutniejsza, gdy sprawa prywatna służy jako narzędzie do zakrycia, lub stronniczego rozwiązania sprawy publicznéj.

W ten sposób rozstrzygają sprawy publiczne doskonali może pojedynkowicze, wyborni bretterzy, celni strzelcy, wreszcie odważni awanturnicy, ale... źli obywatele kraju. Używam tak silnego wyrażenia nie w tym celu, żeby podać w podejrzenie czyjekolwiek uczucia obywatelskie. Można kochać kraj, a jadnak przynosić mu szkodę, jeżeli się prywaty nie umić poświęcić dla dobra publicznego. Ten zaś, kto zamiast wyświetlić sprawę, chce zakneblować usta opinii publicznéj za pomocą postrachów na wygłaszających nieprzyjemne fakta, lub zdania, popełnia względem dobra społecznego grzech nie do darowania. Jeżeli grzech ten wszędzie byłby ciężkim, to u nas, gdzie opinia publiczna jest jedynym niemal przejawem życia publicznego i jedyną w wielu kwestyach dyrektywą dla społeczeństwa, grzech ten jest stokroć cięższym.

To téż nie tłumić, lecz rozwijać należy opinię publiczną, nie straszyć kulą lub szpadą rzeczników téj opinii — choćby nawet błądzących w swych zdaniach — i nie zmuszać do milczenia, lecz pociągnąć ich przed wspólny trybunał poważny, głośny, bezstronny. Wybrać jak najliczniejszy sąd honorowy, przed tym sądem sprawę wyświetlić i do wiadomości ogółu podać, a potém dopiéro dochodzić krzywd swoich prywatnych.

Ale postępować na odwrót — wymuszać podpisanie pewnego cyrografu, który ma być w następstwie, za pomocą naciąganych tłómaczeń, użyty jako narzędzie do pożądanego przez stronę skierowania opinii w sprawie publicznéj,—wymuszać taki cyrograf drogą wyjątkowo morderczych warunków pojedynkowych, to w moich oczach niedalekiém już jest od mordowania nieprzyjemnych prze-

ciwników przez najemnych zbirów, albo wymuszania pożądanych zeznań drogą tortury. Nie po rycersku, nie po obywatelsku i nie po ludzku!

Winienem się tu zastrzedz, że nie mam żadnych dowodów do twierdzenia, że odwołanie w danym wypadku nastąpiło pod grozą pojedynku. Mogło ono nastąpić, i według wszelkiego prawdopodobieństwa nastąpiło, wskutek przekonania wewnętrznego, wskutek dobrowolnéj chęci restytucyi. Nie o skutek jednak, jaki w tym razie nastąpił, mi chodzi. Mogło nastąpić odwołanie z tych lub innych przyczyn, mogło nawet nie nastąpić wcale, mógł nastąpić lub nienastąpić pojedynek, — to są szczegóły, osób pojedyńczych dotyczące. Mnie chodzi o zjawisko doniosłości społecznéj, o to, że sprawa publiczna, zamiast być oddaną pod sąd opinii, była sprowadzoną na drogę represyi prywatnéj. Daléj chodzi mi o to, że odwołanie, pojedyńczéj osoby dotyczące, zostało przez stronę interesowaną tendencyjnie rozszerzone i podane do prasy *(is fecit cui prodest)* w téj formie, że kwestya społeczna jest powikłana i zaciemniona.

Nareszcie chodzi mi o to, że wogóle ci, na których pewien słuszny, czy niesłuszny, zarzut dotyczący ich działalności publicznéj został rzucony, powinni poczuwać się do obowiązku wyświetlenia faktycznego sprawy przed społeczeństwem, zamiast stawiania na pierwszym planie prywaty i w dodatku zakrywania tą prywatą sprawy publicznéj.

Mogą mi powiedzieć, że zrobili to wprawdzie ludzie w bliskim stosunku pokrewieństwa i zażyłości do piastujących godności publiczne stojący, ale nie sami ci dygnitarze. W takim razie powinniśmy byli usłyszeć głos wyrzeczenia się solidarności z niefortunnymi obrońcami, którzy bronionym niedźwiedzią—jak mi się zdaje— oddali przysługę.

Tak więc publicznego sądu honorowego oczekujemy dla sprawy publicznéj, która dotąd niestety ciemną być nie przestała.

Jeżeli sprawa publiczna wymaga sądu honorowego, który miałby za zadanie rozpatrzyć, czy rzeczywiście ci lub owi członkowie instytucyi zgrzeszyli bądź niewłaściwém postępowaniem, bądź dopomożeniem, bądź nareszcie nieprzeszkodzeniem właściwemu postępowaniu innych,— to i osoby prywatne mogłyby z wielką dla siebie korzyścią poddać swój sposób zachowania w danéj sprawie rozpatrzeniu przez sąd honorowy. Obie strony robią sobie zarzuty co do winy zwłoki załatwiania sprawy honorowéj prywatnéj i co do niewłaściwych nad protokółem téj sprawy komentarzy. Wszystkie te kwestye prywatne — aczkolwiek na drugim dopiéro po sprawie

publicznéj planie stojące — mógłby sąd honorowy dodatkowo do kwestyi głównéj rozpatrzyć i zdanie swe wyrzec.

* * *

W korespondencyi p. Chrzanowskiego z Dzierżązna pod Zgierzem do *Wieku*, omówionéj potém w artykule wstępnym *Dziennika Łódzkiego*, znajdujemy bardzo ciekawe, pouczające i pocieszające szczegóły z bytu chłopskiego. Obyśmy takich korespondencyi i takich artykułów co najwięcéj spotykali w naszych dziennikach. Dotychczas gazety nasze zajmują całe szpalty wiadomościami politycznemi nie tylko mocarstw pierwszo- ale i drugo-rzędnych, bawią się w dawanie rad Bismarckowi, odgadują zamiary Kalnoky'ego, stawiają horoskopy na wypadek powrotu Andrassy'ego do władzy, ale o tém, co się dzieje u nas w domu, co robi nasz mieszczanin, nasz chłop, nie wiedzą i wiedzieć nie chcą. Studya nad obyczajami ludowemi, monografie dotyczące ich zwyczajów prawnych, religijnych, ekonomicznych, rolniczych, rodzinnych, korespondencye dotyczące pojedyńczych, ale charakterystycznych w tym kierunku faktów, wszystko to są rzeczy nieznane prawie naszéj literaturze i naszemu dziennikarstwu. Jakże daleko pod tym względem jesteśmy zdystansowani przez literaturę niemiecką, francuską, angielską i przez literaturę wszystkich nieomal narodowości słowiańskich. Mają wprawdzie zachodnie i wschodnie społeczeństwa europejskie obok powierzonéj interesom miejscowym i prasę polityczną, ale bo też one — jako stanowiące podstawę organizacyi państwowych — żyją innêm zupełnie niż my życiem politycznêm. Ale my!—my powinniśmy jeśli nie wyłącznie, to przeważnie zwrócić się do pracy mrówczéj na polu oświaty, wzmożenia dobrobytu i moralności, wogóle do pracy skierowanéj ku ukrzepieniu naszego organizmu społecznego. W tym zaś celu powinniśmy jak najmniéj wzlatać do stref nadobłocznych aspiracyi, a zacząć studyować nasz lud, nasze mieszczaństwo — wogóle siebie samych. Powtarzam, co najwięcéj takich obserwacyi jak p. Chrzanowskiego. (— X —)

— Nadesłano nam z Jass następujące „Sprawozdanie Biblioteki Polskiéj w Rumunii za rok 1887“:

W ciągu 22-letniego istnienia przechodziła Biblioteka rozmaite koleje, nigdy atoli nie doznała tak niepowetowanéj straty jak w r. b.; śmierć bowiem jednego z najczcigodniejszych mężów naszego narodu, zabrała jéj najczynniejszego opiekuna.

Kraszewski od lat 20 aż do ostatnich niemal dni życia, pamiętał o instytucyi naszéj, otaczał ją powagą swego imienia, wspierał

radą i czynem. To też zarząd postarał się w miejsce banalnych wieńców i obchodów żałobnych uczcić pamięć nieodżałowanego opiekuna w sposób najgodniejszy przez rozdanie pomiędzy członków dzieł i portretów zmarłego.

Lecz na téj klęsce się nie skończyło. Śmierć zabrała nam drugiego opiekuna, który zwłaszcza w początkach istnienia Biblioteki wielkie oddał przysługi, późnićj zaś przez dłuższy czas wzbogacał książnicę naszę wieloma wyborowemi dziełami.

Biblioteka otrzymała w ciągu r. b. 108 dzieł w darze; przyczém szczegółowo Tow. Kasy Mianowskiego za 28 dzieł naukowych niepospolitéj wartości, serdeczne składamy dzięki.

Niemniéj wdzięczni jesteśmy Redakcyom: Tygodnika ilustrowanego, Słowa, Niwy, Roli, Gazety świątecz., Dziennika dla wszystkich, Wieczorów rodzinnych, Kroniki rodzinnéj, Prawdy, Ateneum, Gońca wielkopolskiego, Gońca świątecznego, Iskry, Ogniska domowego, Muzeum, niektóre wydawnictwa Księgarni katolickiej w Krakowie, które otrzymaliśmy darmo; zaś za pół ceny: Kłosy, Biesiadę literacką, Bluszcz, Romans i Powieść, Głos, Przegląd tygodniowy, Przegląd pedagogiczny i Gazetę rzemieślniczą.

Obok tego zakupiliśmy 86 dzieł najnowszych, tak, że obecnie biblioteka składa się z 4443 tomów.

Pragnąc rozszerzyć zakres działania i wywołać wymianę myśli z podobnemi nam towarzystwami polskiemi za granicą, zawiązaliśmy stosunki tymczasem z trzema, którym też ofiarowaliśmy pewną ilość dzieł, a mianowicie: Towarzystwu „Jedność“ w Chemnitz 42, „Ognisku“ w Mittweida 26, Bibliotece polskiéj w Wiedniu 71.

Oprócz tego posłaliśmy do Warmii 56 dzieł. Oby przyczyniły się do wzmocnienia węzłów jedności i solidarności narodowéj rodaków, pozostających pod zabójczym wpływem niemczyzny.

Stan finansowy Biblioteki jest zadawalniający, mimo nieakuratności niektórych członków.

D o c h ó d:

Składki 43 członków	331 fr.	—	ct.
Odsetki od funduszu żelaznego. . .	638 „	75	„
Dochód nadzwyczajny	170 „	20	„
	1139 fr.	95	ct.

R o z c h ó d:

Książki, czasopisma, druk katalogu .	430 fr.	10	ct.
Oprawa książek	134 „	60	„
Przesyłka paczek i listów	106 „	75	„
Pomieszkanie, opał i t. d.	423 „	50	„
Rozchód nadzwyczajny	45 „	—	„
	1139 fr.	95	ct.

Fundusz żelazny wynosi 7444 fr. 20 ct.

Fundusz szkolny pozostały z podziału w dn. 1 Grudnia 1885 r. w sumie 1014 fr., urosł do dziś przez oprocentowanie do 1126 fr. 85 ct. Z tego dano w r. b. uczniowi jednemu, w zaborze pruskim, 100 fr. złotem jednorazowéj zapomogi.

Bez chełpliwości tedy powiedzieć możemy: *annum non perdidimus!*

Jassy, 31 Grudnia 1887.

Zarząd Biblioteki Polskiéj w Rumunii:

Prezes *Dr. J. Łukaszewski.*

Członkowie:

ks. B. Chwała, *Dr. C. Lippa*, *A. Gąsiorowski*, *K. Szulc*, *E. Beldowicz.*



NEKROLOGIA.

† **Leonard Sowiński,** jeden z najznakomitszych epigonów romantyzmu, urodził się we wsi Berezówce na Podolu r. 1831 z ojca szlachcica, matki wieśniaczki. Nauki początkowe odbywał w szkole międzyboskiéj jednocześnie z Henrykiem Jabłońskim, znanym również poetą; gimnazyum skończył w Żytomierzu; czasy te opisał potém bardzo zajmująco we „Wspomnieniach szkolnych.“ W roku 1847 wszedł na wydział filozoficzny w uniwersytecie kijowskim i po 4-letnich studyach otrzymał stopień kandydata. R. 1852 przeszedł na wydział lekarski, lecz po czterech latach opuścił go i wrócił do literatury. Odbywszy w roku 1857 wycieczkę podróżniczą (Austrya, Włochy, Francya, Belgia, Saksonia i w. ks. Poznańskie), przemieszkiwał aż do r. 1862 już-to na Podolu, już-to w Kijowie. Do zawodu literackiego zachęcił go Kraszewski. Najpierw ogłosił w *Piśmie Zbiorowem* wileńskiém ustęp z poematu p. n. „Satyra“ (1859) i równocześnie w Kijowie zbiór 12-stu sonetów p. n. „Widziadła“, przedstawiających los poety na ziemi. W r. 1860 wydał w Wilnie „Studya nad literaturą ukraińską, a w następnym rozprawę o Tarasie Szewczence z przekładem jego „Hajdamaków.“ Pod koniec roku 1860 wyszedł w Warszawie najpiękniejszy jego poemat „Z życia“, który w przeciągu kilku miesięcy miał dwa wydania. Prócz tego w tym czasie (1860—1862) był spółpracownikiem *Kuryera Wileńskiego*, gdzie pisał stale korespondencye z Kijowa, oraz umieszczał

drobniejsze poezye i rozprawy. — Od roku 1862 do 1863 przebywał w gubernii kurskiéj, najprzód w Kursku, potém w Szczygrach. W r. 1868 przybył do Warszawy i został spółpracownikiem *Gazety Warszawskiéj*, potém *Wieńca* (r. 1872), *Gazety Polskiéj*, pisując do *Kłosów*, wreszcie *Tygodnika Powszechnego* i *Ilustrowanego* rozbiory literackie. Z poezyi wydał w tym czasie „Fragment powieści" (1869). przekład „Najemnicy" Szewczenki (1870), poemat „Satyra" (1870), tragedyę „Na Ukrainie" (1873), „O zmroku" (1886), wreszcie niezupełny zbiorek swoich „Poezyi" (Poznań 1875, 2 tomy). Pod koniec życia zwrócił się prawie całkowicie do prozy: dokonał 5-tomowéj kompilacyi p. t. „Rys dziejów literatury polskiéj", ogłosił „Wspomnienia szkolne i 3-tomową powieść „Na rozstajnych drogach." W czerwcu r. 1887 opuścił Warszawę i pojechał na Wołyń do żony, z którą od lat wielu się rozłączył. Tu we wsi Stetkowcach pod Lubarem umarł 23 grudnia r. z.

† **Roman Wierzchlejski** urodził się 5-go sierpnia 1825 r. we wsi Karśnicach pod Sieradzem; nauki gimnazyalne pobierał najprzód w Piotrkowie, potém w Warszawie; gdzie téż przygotowywał się do zawodu sądowniczego na kursach prawnych. Dostawszy stypendyum udał się do uniwersytetu petersburskiego i tu w r. 1849 otrzymał stopień kandydata, napisawszy rozprawę o Żydach w Królestwie Polskiém. Potém odbył jeszcze wycieczkę naukową po Niemczech, a za powrotém zamieszkał w Suwałkach jako urzędnik sądowy i nauczyciel prawa w tameczném gimnazyum. Dawszy się poznać ze swych zdolności; wezwany był roku 1862 do Warszawy, ażeby wziął udział w pracach nad wygotowaniem projektu kodeksu i procedury karnéj. Został wtedy kolejno podprokuratorem przy trybunale cywilnym, potém przy sądzie apelacyjnym, wice-referendarzem Rady administracyjnéj, a następnie Rady stanu. W 1867 oddał się adwokaturze, a przez dwa lata wykładał w Szkole Głównéj prawo cywilne. W życiu społeczném nader czynny brał udział. Prac naukowych nie wiele po sobie zostawił. Główniejsze są: „O statystyce Królestwa Polskiego" 1867. „O prawach kobiéty" 1882, oraz krytyki dzieł z zakresu prawa. Zastrzelił się 29 grudnia 1887 r.

† **Wincenty Majewski** urodził się we wsi Miłkowicach w Sandomierskiém r. 1806; szkoły pijarskie skończył w Radomiu, uniwersytet w Warszawie. R. 1825 rozpoczął zawód sądowy i przechodził z kolei wszystkie wydziały sądów cywilnych i kryminalnych, biorąc równocześnie udział w wydawnictwie czasopism specyalnych *(Themis Polska)*, jak i dzienników *(Kuryer Warszawski, Kuryer Polski)*. W r. 1834 mianowany był adwokatem przy sądzie apelacyjnym, po-

tém zaś obrońcą przy departamentach rządzącego senatu. W roku 1841 należał do pierwszych założycieli *Biblioteki Warszawskiéj.* On też wspólnie z Wysockim opracował pierwszą nomenklaturę kolei żelaznych; sam zaś zredagował taryfy i przepisy porządkowe. Po r. 1863 gdy hasło pracy organicznéj rozbrzmiało głośno w kraju, on głównie redagował ustawy fabryk, spółek, towarzystw, banków, biorąc udział w radach nadzorczych i zarządach tych instytucyi. Osobno w druku wydał tylko kilka prac ściśle fachowego znaczenia w r. 1843, 1867; w czasopismach zaś sporo było jego artykułów. Umarł w Warszawie 26 stycznia r. b.



Wydawca **W. Spasowicz**. — Redaktor **Piotr Chmielowski**.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Grudnia 1887 r.

---

1. **Bogusławski i jego scena**. Widowisko w 5-ciu aktach. Napisał *Wincenty Rapacki*. Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa, 1888, 8-o, str. 142.
2. **Mechanika** przez *J. Lubieńskiego*. Inżyniera. Warsz. nakład drukarni Zawiszewskiego, 1887. 8-o, Zeszyt 6 tomu I-go (od str 241 do 288).
3. **O pracach przygotowawczych do historyi prawa kanonicznego** w Polsce napisał *Bolesław Ulanowski*. Kraków, nakł. Gebethnera i S-ki, 1887, 8-o, str. 99.
4. **Poezye** *Konstantego Leona Kaszyńskiego*. Warsz. 1888, str. 128 (cena kop. 75).
5. **Gość Kalendarz** opracowany przez *K. Promyka* na rok przestępny 1888, 8-o str. 160 (cena złp. 1).
6. **Pan Wołodyjowski**. Powieść historyczna przez *Henryka Sienkiewicza*. Tom I, str. 280. Warsz. nakł. dziennika „Słowo“. 1888. 8-o.
7. **Laudum Vartense** opracował *Bolesław Ulanowski* (Odbitka z XXI tomu Rozpraw i sprawozd. Wydz. filzof.-histor. Akad. Umiej.). Krak. 1887, 8-o, str. 141.
8. **Gwiazdka 1887**. Wydawnictwo Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. Warsz. 1887, 4-o, str. 48 (z rysunkami).
9. **Kalendarz powszechny** na rok 1888. Rok X. Warsz. nakł. księgarni T. Paprockiego i S-ki, 8-o str. 138+XXVIII+21 kart nlb.
10. **Słownik geograficzny** Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich wydany pod redakcyą *Bronisława Chlebowskiego*, *Władysława Walewskiego*, według planu *Filipa Sulimierskiego*. Tom VIII, zeszyt 96 (od str. 881 do 960) Warsz. nakład Wład. Walewskiego, 1887, wielkie 8 o (Połyłta—Pożajście).
11. **Zasady Zoologii**. Napisał *August Wrześniowski* prof. uniw. Warsz. z 499 rysunkami w tekście i jedną tablicą chromolitogr. (Biblioteka umiejętności przyrodniczych). Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa. 1888, 8-o, str. XI i 475.
12. *Michał Bałucki*. **Poezye**. Wyd. drugie powiększone. Krak. 1887, małe 8-o. str. 260.
13. *Hajota*. **Nowelle**. Krak. nakł. J. K. Żupańskiego et K. J. Heumanna. Poznań J. K. Żupański. 1887, 8-o, str. 455.
14. **Do światła!** Powieść z piętnastego wieku. Napisał *Wincenty Rapacki*. Krak. nakł. księgarni J. K. Żupańskiego i K. J. Heumanna. Poznań J. K. Żupański, 1887, 8-o, str. 233.
15. **Szkice i poszukiwania historyczne**. Przez *Kazimierza Pułaskiego*. Krak. nakł. J. K. Żupańskiego et K. J. Heumanna. Poznań. J. K. Żupański 1887, 8-o, str. 307.
16. **Pan burmistrz z Pipidówki**. Powieść z życia autonomicznego Galicyi i **Dwie wizyty Jego Ekscellencyi**. Szkic wiernie zdjęty z natury przez *Michała Bałuckiego*. (Nowa Biblioteka uniwersalna). Krak. nakł. J. K. Żupańskiego et K. J. Heumanna, 1887, 8-o, str. 184.
